WARZECHA O „NEGACJONISTACH" KORONAWIRUSA

Czy walczymy z COVID-19 zbyt radykalnymi metodami?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 16/369 14–19 KWIETNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Władca polskich dusz – Masłoń o prymasie Wyszyńskim w przededniu jego beatyfikacji

ŁYSIAK W 500. ROCZNICĘ ŚMIERCI RAFAELA SKŁADA HOŁD GENIALNEMU MALARZOWI

Oszuści w czasach zarazy – jak się im nie dać

Wybór najmniejszego ryzyka

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ O GŁOSOWANIU KORESPONDENCYJNYM I SPORZE Z OPOZYCJĄ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 16 >

Nakład: 59 000 egzemplarzy

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl d662d706da

Sprawdzaj wiarygodne źródła:

www.gov.pl/koronawirus
Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590

KPRM

Tarcza Finansowa

100 mld zł na utrzymanie produkcji i zachowanie miejsc pracy

Jeszcze w kwietniu, polskie: mikro, małe, średnie oraz duże firmy, będą mogły prosto i szybko otrzymać gotówkę na zachowanie płynności i utrzymanie miejsc pracy. Rusza potężny, nowy program wsparcia finansowego dla firm dotkniętych skutkami koronawirusa.

Co to?

Tarcza Finansowa PFR to program subwencji skierowany do wszystkich polskich firm -
od zatrudniających na umowę 1 pracownika po duże przedsiębiorstwa, których obroty spadły co najmniej o 25% w wyniku skutków koronawirusa.

Ile i kto?

Do polskich firm trafi 100 mld zł, z czego większość do podmiotów zatrudniających 1-249 pracowników.
Mikrofirma (1-10 pracowników) może otrzymać ponad 300 tys. zł. Mała i średnia firma: 3,5 mln zł.

Jaka forma wsparcia?

Ten zastrzyk finansowy to subwencja na 3 lata.
Spłata pierwszej raty następuję dopiero w 13 miesiącu od jej otrzymania. **75% subwencji może mieć charakter bezzwrotny!**

Jakie dokumenty?

Program realizowany jest w oparciu o oświadczenia właścicieli firm, a nie segregatory zaświadczeń i dokumentów.

Na co można wydać?

Pieniądze z subwencji można przeznaczyć na:
utrzymanie działalności firmy, pensje pracowników, dopasowanie firmy do zmian rynkowych, a ¼ na spłatę firmowych kredytów.

Jakie warunki?

Żeby skorzystać z subwencji maksymalnie bezzwrotnej należy spełnić trzy proste warunki:
1. Płacisz podatki w Polsce. 2. Utrzymujesz produkcję/usługi.
3. Nie zwalniasz pracowników.

Gdzie?

Wszystko będzie działo się on line.
W kanałach bankowości elektronicznej. Robimy tak ze względu na stan zagrożenia epidemią i ze względu na szybkość działania. Pierwsze pieniądze będą mogły być wypłacone firmom jeszcze w kwietniu.

100 mld zł = 4.5% PKB
łączna wartość finansowania w ramach Tarczy Finansowej

60 mld zł
zakładana wartość subwencji bezzwrotnych

Więcej informacji znajdziesz na stronie: www.pfr.pl oraz infolinii: 800 800 120

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW
Tarcza Antykryzysowa
PFR Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl d662d706da

W poszukiwaniu stabilności

PAWEŁ LISICKI

Najważniejszym obecnie problemem polskiej polityki jest kwestia terminu wyborów prezydenckich. W tej sprawie od początku wyjątkowo konsekwentne stanowisko reprezentuje prezes PiS, Jarosław Kaczyński, który chce, żeby do głosowania doszło w wyznaczonym wcześniej terminie, 10 maja. W najgorszym razie – tydzień później. Temu celowi służyły kolejne zmiany prawa wyborczego, w ostateczności wprowadzenie zasady powszechnego głosowania korespondencyjnego. Z tego powodu na prezesa Kaczyńskiego wylała się istna fala hejtu.
Nie zamierzam tu przywoływać wszystkich epitetów, jakimi go obdarzono – określenie „szaleniec" należało do najłagodniejszych.

RYSUNEK TYGODNIA

Tymczasem rozumowanie prezesa PiS na pewno szalone nie jest.

Jak każdy polityk, tak i on nie wymyśla sobie dowolnie rzeczywistości, ale znajduje najlepsze wyjście z tej, w której się znalazł. Przecież to nie prezes PiS zdecydował o terminie wyborów 10 maja, nie on napisał konstytucję, w której nie przewidziano podobnego jak teraz kryzysu i nie on przygotował ustawę o stanie klęski żywiołowej, nakładającej na państwo zobowiązania odszkodowawcze. Podobnie, co jest truizmem, nie on odpowiada za epidemię i towarzyszącą jej społeczną psychozę.

Z jego perspektywy zapewne wygląda to tak: Polskę czeka wskutek obecnego zamrożenia gospodarki okres ciężkiej próby. Pojawią się zapewne: znaczne bezrobocie, masowe upadłości, dojdzie, co oczywiste, do wzrostu napięć społecznych. W takiej sytuacji interes państwa wymaga stabilnej władzy, a stabilność może zapewnić wybór kandydata wspieranego przez PiS. Inaczej wojna opozycyjnego prezydenta z rządem może rozbić zagrożone wielkim kryzysem państwo. Jeśli do tego dodać prostą konstatację, że akurat teraz Andrzej Duda cieszy się ogromnym poparciem społecznym, to wniosek wydaje się jasny: wybory trzeba zorganizować już, nie bacząc na nic innego. To rozumowanie, chociaż logiczne i politycznie rozumne, nie musi być jednak wolne od błędu: nie bierze pod uwagę stanu nastrojów społecznych.

W związku z epidemią polski rząd od początku przyjął konsekwentną strategię, polegającą na maksymalnej izolacji obywateli. Temu służyły ogłaszane co tydzień kolejne obostrzenia i nowe przepisy. Zapewne nie mógł postąpić inaczej. Niezależnie od tego, czy była to w ogóle najlepsza strategia, w polskich warunkach wydaje się ona jedyną możliwą. Ostry konflikt polityczny sprawiał, że każda inna stałaby się przedmiotem coraz bardziej wściekłych ataków opozycji. Ogólny brak zaufania do władzy tylko by takie napaści ułatwiał, podobnie jak, mówiąc eufemistycznie, nie najlepiej rozwinięty system opieki zdrowotnej. Polska to nie Szwecja, gdzie rządzący i opozycja mogą porozumieć się co do tego, by metody zapobiegania epidemii nie były przedmiotem walki politycznej. Ta strategia ma jednak swoją cenę. Jej efektem musiał być i jest stan powszechnej psychozy i traumy. Codzienne komunikaty o liczbie zachorowań i zgonów, zamykanie parków, lasów, nawet kościołów, uniemożliwienie wszelkich form kontaktów rodzinnych i towarzyskich – wszystko to razem sprawiło, że dla ogółu Polaków wybory prezydenckie stały się czymś psychologicznie nie do wyobrażenia. Po prostu nie da się jednocześnie zamknąć państwa i społeczeństwa na cztery spusty i organizować wyborów.

Dlatego jeśli nawet do nich dojdzie w maju, a to przecież prawdopodobny scenariusz, podstawowy cel prezesa Kaczyńskiego, którym jest zapewnienie stabilizacji władzy, może nie zostać osiągnięty. Wyobraźmy sobie, że wyborcza frekwencja wyniesie 30 proc. (wariant optymistyczny) lub 20 proc. (wariant realistyczny) i że Andrzej Duda wygra w pierwszej turze, zdobywając ogromną większość. W obecnej sytuacji w wyborach weźmie udział przede wszystkim elektorat PiS, i to ten najbardziej zaangażowany. Trudno też nie zauważyć, że przy wszystkich swoich zaletach i wadach Poczta Polska nie jest instytucją zaufania publicznego. Kto będzie liczył oddane w ten sposób głosy? Jak uchronić się przed możliwymi fałszerstwami? To nie niemożliwe, ale taka zmiana trybu wymaga czasu i konsensusu największych sił politycznych. W Polsce głosowanie powszechne korespondencyjne to nowość, na jego wprowadzenie potrzeba czasu i gwarancji uczciwości. Bez tego prawdopodobne zwycięstwo Andrzeja Dudy od razu będzie podważane i trudno będzie znaleźć dobre argumenty na jego obronę. Wybrany w ten sposób prezydent zamiast być podstawowym oparciem dla stabilizacji państwa, stanie się od razu celem ataków wszystkich niezadowolonych, a ich liczba będzie rosła. To na nim skupią się prawdopodobne społeczne rozczarowanie i frustracja, wynikające z kłopotów gospodarczych. Wątpliwa legitymizacja jego urzędu może się wtedy okazać trudna do obrony.

Z tego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby mimo wszystkich trudności udało się odsunąć termin wyborów i znaleźć taki, w którym ludzie będą głosować już bez traumy. Wymaga to też minimalnej chociaż odpowiedzialności od opozycji, a tej ona nie pokazuje. Jednak dla interesu państwa zawarcie kompromisu w kwestii daty głosowania jest kluczowe. ©℗

eprasa.pl d662d706da

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ
NIE WOLNO ZAGRAŻAĆ ŻYCIU POLAKÓW
Zachowanie opozycji jest niemoralne

22 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PIS KONTRA ZARAZA

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
GOWIN, CZYLI ZYGZAKI PO KRAKOWSKU
Zmienność lidera Porozumienia

26 MACIEJ PIECZYŃSKI
POLSKA JAK BAWARIA?

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
FIASKO CYFROWEJ SZKOŁY

30 RADOSŁAW WOJTAS
PRZEKRĘT NA KORONAWIRUSA

KULTURA

32 WALDEMAR ŁYSIAK
BOSKI RAFAEL
Hołd dla genialnego renesansowego pędzla

40 PIOTR GOCIEK
MAŁY MOŻE WIĘCEJ

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
IM GORZEJ, TYM LEPIEJ
Opozycja podsyca panikę

50 ŁUKASZ WARZECHA
CHOROBLIWA PRZESADA?

HISTORIA

54 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PRYMAS WYSZYŃSKI, WŁADCA DUSZ POLSKICH
W przededniu beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia

ŚWIAT

60 OLIVIER BAULT
KOMISJA ŚLEDCZA W SPRAWIE COVID-19?
We Francji z powodu pandemii przesunięto drugą turę wyborów

62 WOJCIECH GOLONKA
KORONAWIRUS: GRA SKOŃCZONA?

64 ROZMOWA Z POLKĄ MIESZKAJĄCĄ W SZWECJI
SZWECJA BEZ ZAKAZÓW

66 MARCIN MAKOWSKI
DYSKRETNY UROK ARKTYKI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
OD SZCZEPIONEK DO WIEDŹMINA
Komu koronawirus pomógł zarobić?

72 TOMASZ CUKIERNIK
WALKA Z RYNKIEM

JAK SIĘ LECZYĆ W CZASIE EPIDEMII

76 KATARZYNA PINKOSZ
RAK NIE POCZEKA

78 ROZMOWA Z PROF. JADWIGĄ NESSLER
DLA PACJENTÓW TO TRUDNY CZAS

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, MAKOWSKI (52), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (80), SIEDLECKA (82)

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański**, **Jacek Nadratowski**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d662d706da

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wielkanoc kardynała Pella

Sąd Najwyższy Australii uniewinnił kard. George'a Pella, byłego arcybiskupa Melbourne i Sydney oraz byłego watykańskiego skarbnika. Dwa lata temu, w marcu 2019 r., hierarcha został uznany przez sąd stanu Wiktoria za winnego przestępstwa molestowania seksualnego dwóch 13-letnich chłopców, do którego miało dojść w 1996 r. 78-letni hierarcha już opuścił więzienie o zaostrzonym rygorze w Barwon pod Melbourne.

Niechęć do Kościoła może wpływać na procesy sądowe dotyczące duchownych

Ze sprawy abp. Pella warto wyciągnąć trzy wnioski.

Po pierwsze – w XXI w. też zdarzają się sprawy sądowe przypominające niesławne polowania na czarownice. Wokół domniemanych przewin kard. Pella duża część prasy australijskiej wytworzyła atmosferę histerii, która wpłynęła pośrednio na niesprawiedliwy wyrok.

Działacze organizacji lewicowych wykreowali aurę moralnego potępienia wszystkich tych, którzy mieli odwagę wskazywać na słabości i luki w zeznaniach oskarżycieli. W ofiarach molestowania widziano cennych oskarżycieli ładu patriarchalnego i świadków „zakłamania kleru". Owszem, bywały w przeszłości sytuacje, gdy to świadkowie byli ofiarami nacisków pewnych siebie księży. Jednak dziś wahadło poszło w drugą stronę. Dewiza „ofiara ma zawsze rację" w tym przypadku zwyciężyła nad zasadą spokojnego i bezstronnego procesu.

Po drugie – kolejny raz zobaczyliśmy, jak silne może być oddziaływanie mediów na decyzje kolejnych ław przysięgłych.

W teorii ich członkowie powinni być poza medialnym wirem, jaki zawsze wytwarza się wokół procesu. W teorii. W praktyce perswazja mediów oddziałuje na nas mocniej niż jeszcze pół wieku temu.

Czy można wymagać od ludzi, którym polecono osądzić kard. Pella, by w trakcie wielotygodniowego procesu nie oglądali telewizji, nie czytali gazet i nie zaglądali do Internetu? A w australijskich mediach dominowało nastawienie niechętne kard. Pellowi.

Po trzecie – można zapytać, czy sami sędziowie w niższych instancjach procesu potrafili się wznieść ponad aurę niechęci wobec kardynała.

Przypomnijmy, że wyrok zapadł w oparciu o zeznania jednej z domniemanych ofiar. Odrzucono zeznania ceremoniarza, który z racji samej funkcji w Kościele uznany został za mniej wiarygodnego świadka. Zlekceważono też oświadczenie matki drugiego z chłopców, która wycofała swoje oskarżenia. Wreszcie uznano za mało istotne zeznania świadków, którzy wskazywali, że niemożliwe było, aby doszło do molestowania w katedralnej zakrystii, przez którą po niedzielnej sumie przewijają się liczne osoby.

Podczas pierwszej rozprawy obrona obaliła zarzuty prokuratury. A jednak wyższa instancja sądu zawiesiła pierwszy skład ławy przysięgłych, który uniewinnił kardynała. Jak się okazuje, niechęć do Kościoła może wpływać na procesy sądowe dotyczące duchownych. Losy kard. Pella są tego najlepszym dowodem. ©℗

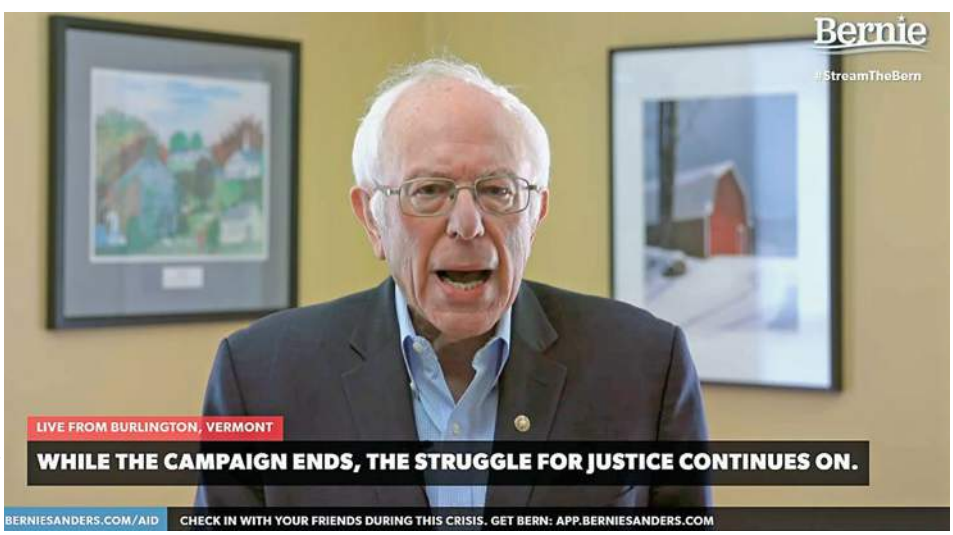

FOT. KREDYT AFP/EAST NEWS

BERNIE SANDERS PRZEGRAŁ WALKĘ

Amerykański socjalista senator Bernie Sanders uznał porażkę w prawyborach i wycofał się z wyścigu po partyjną nominację Partii Demokratycznej. To jego kolejna przegrana próba walki o Biały Dom, cztery lata temu nominację zgarnęła mu sprzed nosa Hillary Clinton. Decyzja Sandersa oznacza, że jest już praktycznie przesądzone, iż w listopadowych wyborach w USA zmierzą się prezydent Donald Trump oraz Joe Biden. Były wiceprezydent z czasów rządów Baracka Obamy formalnie nominację partyjną otrzyma jednak dopiero w lipcu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d662d706da

95 lat POLSKIEGO RADIA

POLSKIE RADIO

Unikatowe albumy okolicznościowe związane z obchodami 10. Rocznicy Katastrofy pod Smoleńskiem. Wydawnictwa stanowią fonograficzny i edytorski wyraz narodowej pamięci.

Patronat: Rada Mediów Narodowych

Smoleńsk – ostatnia misja. Pamięci Ofiar katastrofy smoleńskiej w 2010 roku

Lista 96. Ofiar Katastrofy z biogramami, dwa kanoniczne dla polskiej muzyki utwory – „Epitafium katyńskie" Andrzeja Panufnika oraz III Symfonia – „Symfonia pieśni żałosnych" Henryka Mikołaja Góreckiego.

Prezydent RP Lech Kaczyński. Świadectwo

Pełne fonograficzne kompendium wiedzy na temat prezydentury prof. Lecha Kaczyńskiego, na pięciu płytach CD archiwalne wypowiedzi Prezydenta uzupełnia przeszło sto fotografii.

www.sklep.polskieradio.pl

eprasa.pl d662d706da

PŁYWANIE W KISIELU

Myśmy wszystko zapomnieli

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Epidemia odwróciła uwagę od 10. rocznicy tragedii w Smoleńsku – i trudno nie odnieść wrażenia, że wszystkim to jest na rękę. I tym, którzy odpowiadali za rozdzielenie wizyt prezydenta i premiera w Smoleńsku, za bałagan w specjalnym pułku lotniczym, wołające o pomstę do nieba lekceważenie procedur w szkoleniu, remontach sprzętu i przygotowywaniu lotów, a potem, by to ukryć, oddali prowadzenie śledztwa Rosjanom i gorliwie sekundowali im w kłamstwach o „przekopywaniu ziemi na metr w głąb". I tym, którzy na obietnicy wyjaśnienia tragedii powrócili z politycznego niebytu wprost na ścieżkę wiodącą do władzy.

Wrak samolotu dalej leży w Rosji, śledztwa oficjalne się rozlazły bez żadnych ostatecznych wniosków, próba wyjaśnienia czegokolwiek przez specjalny zespół Macierewicza wyczerpała się na wieloletnim zasiewaniu wątpliwości, przy czym każda nowa wyszukana tam wątpliwość podawała w wątpliwość wątpliwości wskazane wcześniej, i w końcu z upartych prób udowodnienia wybuchów niepostrzeżenie przeszło to wszystko w udowadnianie, że je udowodniono. Tam natomiast, gdzie nie było miejsca na abstrakcję, gdzie nie trzeba było wraku ani czarnych skrzynek i nie można winy za udaremnienie śledztwa zrzucić na Putina – tam, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przez całą dekadę nie posunięto sprawy ani o włos. Za zaniedbania w Smoleńsku skazani zostali tylko były wiceszef BOR gen. Paweł Bielawny i Tomasz Arabski, ten drugi z oskarżenia prywatnego, wskutek uporu rodzin ofiar. Wcześniej prokuratura śledztwo wobec Arabskiego i innych umorzyła, uznając, że zaniedbań nie było. Po wyroku skazującym powinna była uznać to umorzenie za błąd i badanie sprawy wznowić, ale tego nie zrobiła.

Zamotaj dobrze węzeł, końce wrzuć do wody – jak pisał klasyk. Najwyraźniej smoleńskie emocje odegrały swą rolę i wszyscy są zainteresowani, by do nich nie wracać. Niech tam sobie każdy pamięta, co chce, i wyznaje swoją prawdę. Prawda obiektywna, jeśli w ogóle istnieje, najwyraźniej dla wszystkich jest niewygodna. Tylko osierocone rodziny i przyjaciele nie zapominają. Ale ich pamięć też już została rozegrana i wykorzystana. Gorzka to rocznica i kompromitująca. Dla wszystkich, a dla państwa polskiego – najbardziej. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jak to na wojence ładnie

Unia Europejska i jej organy poszły na wojnę. Nie w sensie, że z koronawirusem. A gdzie tam! Tu instytucje unijne wydają się całkowicie niewydolne, uznając za swój sukces przyznanie państwom członkowskim na walkę z epidemią pieniądze w dużej części z puli środków już tym krajom przyznanych wcześniej. Poszły na walkę polityczną z Węgrami i Polską, co akurat niczym nowym nie jest.

Wiceszefowa KE Jourová uderza w nasz kraj sloganami, jak to boi się o polską demokrację, i sugestiami, że wybory korespondencyjne w Polsce mogą się nie udać, bo będą pierwszy raz. Porażające dyletanctwo, w Polsce już głosowania w taki sposób prowadzono.

W ubiegłym tygodniu zaś Trybunał Sprawiedliwości UE zażądał – i to kuriozum – od Polski natychmiastowego zawieszenia Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Mówiąc wprost, powiedział: dajcie spokój kaście albo słono za to zapłacicie.

W tej sprawie warto zwrócić uwagę na dwie kwestie. Pierwsza, że jest to orzeczenie w języku prawniczym nazywane ultra vires, czyli wydane z przekroczeniem kompetencji i uprawnień. UE, a tym bardziej TSUE nie ma kompetencji do „zawieszania" całych organów konstytucyjnych państw. Po wtóre, że – jak wykazał raport Grégora Puppincka (opisywał go portal i tygodnik „Do Rzeczy") – europejski trybunał jest opleciony siecią powiązań, także finansowych, z fundacjami Sorosa, socjalisty walczącego z „reżimami" Polski i Węgier.

Wisienką na torcie całej sprawy jest postawa Mauro Ferrariego, wybitnego naukowca, który właśnie zrezygnował z funkcji szefa Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych, argumentując to utratą wiary w struktury UE. ©℗

eprasa.pl d662d706da

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O całkowitej zgodności poglądów

Tuż przed erą koronawirusa pani profesor historii Selina Todd z uniwersytetu w Oksfordzie miała wystąpić w tamtejszym Exeter College na konferencji z okazji 50-lecia National Women's Liberation Movement. Nie wystąpiła pod wpływem nacisków środowisk LGBT. Te miały jej za złe wystąpienie na forum feministycznej organizacji Woman's Place UK, gdzie oświadczyła, że nie wystarczy czuć się kobietą, by nią być. Dla wyznawców genderyzmu to grzech śmiertelny, któremu na imię transfobia, karany ostracyzmem.

Wygnanej z Exeter College prof. Todd ruszyła dzielnie z odsieczą bardzo znana dziennikarka superpostępowego „Guardiana" Suzanne Moore, przy okazji wybitna weteranka ruchu feministycznego, a na dodatek kobieta o nieskazitelnie lewicowych poglądach. Na łamach dziennika napisała, że płeć to nie kwestia emocji, ale klasyfikacja biologiczna. „Jeśli produkujesz nieruchome gamety, to jesteś płci żeńskiej. Nawet jeśli jesteś żabą. Dotyczy to wszystkich stworzeń". I wypaliła z grubej rury: „Czyż nie chronimy praw kobiet, bo są płci żeńskiej?".

Rozpętało sie piekło. Pracownicy „Guardiana" wystosowali list do redaktora naczelnego, domagając się natychmiastowego wyrzucenia z pracy Suzanne Moore, bo „zaszkodziła reputacji naszej i naszego dziennika, głosząc poglądy wrogie naszym transseksualnym kolegom i nierespektujące ich praw".

Zgoda, ludzie niespełna rozumu są wszędzie. Tyle że list do naczelnego „Guardiana" podpisali wszyscy pracownicy i współpracownicy dziennika – od piszących do sprzątaczek i portierów. Co do jednego i jednej – 338 osób. Przecież niemożliwe, żeby wszyscy byli szurnięci. Może sami obawiali się zwolnienia?

Przedtem takie rzeczy zdarzały się często, ale przynajmniej było wiadomo, że brak podpisu groził przeprowadzką na Kołymę. Dzisiaj w Londynie w Kings Place, gdzie znajduje się redakcja „Guardiana", kręgosłupy synów i córek dumnego Albionu łamią się jak zapałki pod ciężarem krzywego spojrzenia LGBT. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Nie będzie nas, będzie las

Polacy wiele są w stanie przetrzymać. Zamknięte galerie handlowe – trudno. Zamknięty fryzjer – poczekamy. Ale zamknięte lasy? Tego było za dużo. „Zakaz wstępu do lasów jest naturalnym odruchem władzy wobec możliwości powstania sił oporu w postaci partyzantki! Jest tylko jeden problem: czy ten rząd to okupant?!" – zapytał Bogdan Zdrojewski, a pod jego wpisem rozgorzała gorąca dyskusja. „Ziemianka już przygotowana? Granaty są?" – dociekała jedna z internautek. Bez skutku.

Niektórym nie było jednak do śmiechu. „Za chwilę ruszy fala depresji, załamań i gorzej. W tym czasie zakazuje się nam wstępu do lasów i zniechęca do uprawiania bezkontaktowych sportów, jak bieganie, rower, nordic walking etc. Czy ktoś o tym pomyślał?" – zastanawiał się Marcin Wyrwał z Onetu. „Jakich depresji? Jakich załamań? Ludzie obozy, więzienia i nawet dwie wojny przeżyli. Trzeba chronić życie, zbierać siły na walkę z kryzysem, zachować pogodę ducha. A tu jakiś frustrat histeryzuje z powodu zakazu uprawiania sportów?!" – przywołała go do porządku Marzena Paczuska.

Szybko spotkała się jednak z kontrą. „Proszę sobie nie robić żartów z depresji. To, że silni ludzie przeżyli dwie wojny i obozy, nie znaczy, że słabi nie odbiorą sobie teraz życia. Próbowałem dzisiaj umówić wizytę telefoniczną u psychologa. Do maja wszystkie terminy zaklepane" – zauważył anonimowy internauta. „Teraz każdy cierpi na depresję. W d... się poprzewracało. Bo życie jest takie trudne..." – ripostowała Paczuska. Gdy fala krytyki po jej słowach okazała się większa, niż podejrzewała, ograniczyła dostęp do swojego konta, uznając, że padła ofiarą hejtu. Dziwne, ludzie podczas wojny nie takie rzeczy wytrzymywali.

Na koniec rubryka z sympatycznymi ogłoszeniami drobnymi. „Za kilka miesięcy będziecie błagać o okrągły stół" – Adam Szłapka. „Do wszystkich, którzy z Jarosławem Gowinem wiązali jakiekolwiek nadzieje na zatrzymanie zamachu stanu: jesteście idiotami" – Bartłomiej Sienkiewicz. „Kiedyś terroryści przesyłali koperty z wąglikiem. Dziś rząd postanowił przesłać koperty z koronawirusem" – Platforma Obywatelska. ©℗

eprasa.pl d662d706da

Jak bezpiecznie pożyczyć pieniądze?

Przed wybuchem epidemii koronawirusa coraz wyższe zarobki i niskie stopy procentowe sprawiały, że Polacy chętnie zaciągali kredyty mieszkaniowe oraz konsumpcyjne. Wywołany przez wirusa strach przed bezrobociem i spowolnieniem gospodarczym może istotnie wpłynąć na liczbę udzielanych kredytów

Z danych NBP wynika, że tylko w grudniu 2019 r. Polacy na zakup własnego mieszkania pożyczyli 461 359,8 mln zł, czyli o 1359 mln zł więcej niż w listopadzie. W sumie w całym roku 2019 wartość udzielonych przez banki kredytów na nieruchomości dla gospodarstw domowych wyniosła ponad 65 mld zł. Tak wysokiej wartości kredytów hipotecznych nie odnotowano w naszym kraju od czasu wielkiego boomu w latach 2007–2008.

Z raportu NBP „Sytuacja na rynku kredytowym" wynikało, że w 2020 r. kredyty mieszkaniowe mogą być nieco trudniejsze do uzyskania ze względu na nieznaczne zaostrzenie polityki kredytowej przez banki. Sytuację może zmienić epidemia koronawirusa i związana z nią ewentualność wystąpienia spowolnienia gospodarczego. Część Polaków w obawie przed zwolnieniem lub obniżką pensji może wycofać się z zaciągania kredytów. Również banki mogą jeszcze dokładniej niż wcześniej analizować sytuację finansową klientów i ostrożniej szacować ich zdolność kredytową.

JAK WYBRAĆ KREDYT MIESZKANIOWY?

Jeszcze przed złożeniem w banku wniosku o kredyt hipoteczny – zwykle najpoważniejsze zobowiązanie, które bierzemy na siebie w całym naszym życiu – warto wybrać kilka najkorzystniejszych ofert.

W tym celu można wykorzystać dostępne w Internecie darmowe porównywarki ofert różnych instytucji finansowych oraz kalkulatory kredytowe. Warto na wszelki wypadek skorzystać z więcej niż kilku porównywarek, ponieważ może się okazać, że część faworyzuje konkretny bank lub współpracuje wyłącznie z wybranymi instytucjami finansowymi, które wcale nie muszą być najbardziej atrakcyjne.

Analizując dokładnie różne oferty banków, należy zwracać uwagę nie tylko na aktualne oprocentowanie nominalne, lecz także na maksymalną kwotę, którą dany bank jest skłonny nam pożyczyć, wysokość prowizji, dodatkowe opłaty związane z udzieleniem kredytu (np. obowiązkowe ubezpieczenie, opłaty za prowadzenie konta osobistego powiązanego z kredytem etc.), a zwłaszcza na marżę banku oraz Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania (RRSO).

Marża banku stanowi zapłatę za korzystanie z pożyczonego nam kapitału. Jest ona stała przez cały okres kredytowania i nie może być zmieniona bez zgody obu stron umowy (czyli zarówno kredytodawcy, jak i kredytobiorcy). Stanowi ona kluczowy element do obliczania oprocentowania kredytu hipotecznego, które jest sumą marży banku, a także zmiennej stopy referencyjnej (najczęściej jest to WIBOR 3M).

Tajemniczo brzmiący **WIBOR** to skrót od Warsaw Interbank Offered Rate. WIBOR określa wysokość oprocentowania pożyczek na polskim rynku

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

międzybankowym dla różnych terminów zapadalności. Stawka WIBOR jest zmienna. Jej wysokość zależy m.in. od stóp procentowych określanych przez Radę Polityki Pieniężnej. Trzeba więc pamiętać, że podwyżka stóp procentowych może prowadzić do wzrostu stawki WIBOR, a co za tym idzie – do zwiększenia wysokości comiesięcznej raty kredytowej.

Obecnie banki oferują kredyty z marżą (1,5–2 proc.). Niektóre dają jednak możliwość jej obniżenia, jeśli skorzysta się jednocześnie z innych produktów banku (np. rachunku bieżącego, karty kredytowej etc.). Oceniając atrakcyjność takiej łączonej oferty, warto dokładnie sprawdzić, ile będzie nas kosztował dodatkowy produkt i czy na pewno w ten sposób zaoszczędzimy, a nie damy zarobić więcej bankowi. Możemy też próbować wynegocjować obniżoną **prowizję** za przyznanie kredytu (to jednorazowa opłata, której wysokość ustalana jest jako procent od wielkości kredytu), np. jeśli jesteśmy wieloletnim klientem danego banku lub jeżeli zdecydujemy się na ofertę łączoną. W niektórych bankach na niższą marżę lub prowizję mogą też liczyć np. lekarze, adwokaci, radcy prawni, notariusze, architekci, doradcy inwestycyjni etc.

Obecnie są też jednak na rynku banki, które w ogóle nie żądają prowizji za udzielenie kredytu.

Aby ułatwić porównywanie ofert różnych instytucji, ustawodawca wprowadził obowiązek podawania przez banki **RRSO**, czyli Rzeczywistej Rocznej Stopy Oprocentowania. Określa ona nie tylko koszt odsetek, które będziemy musieli zapłacić, lecz także obejmuje wszystkie pozostałe opłaty, takie jak np. prowizja za przyznanie kredytu, ubezpieczenie, marże i inne koszty dodatkowe w ujęciu rocznym. Zasada jest prosta: im niższy wskaźnik RRSO, tym kredyt jest tańszy.

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

Dzięki RRSO prosto możemy się więc dowiedzieć, że kredyt w banku X z marżą 1,76 proc. i prowizją 0 proc. jest nieco droższy niż kredyt w banku Y z marżą 1,64 proc. i prowizją 1,25 proc. Sprawdźmy też zawsze różnicę w całkowitej kwocie do spłaty, a także harmonogram spłaty i wysokość rat.

Raty kredytu składają się z dwóch części: kapitałowej (dzięki niej systematycznie zmniejszamy saldo zadłużenia wobec kredytodawcy) oraz odsetkowej (ten element stanowi zapłatę za pożyczenie pieniędzy). Osoba zaciągająca kredyt hipoteczny najczęściej może zdecydować, czy woli spłacać go w **ratach równych (annuitetowych)** czy **malejących (kapitałowych).**

Najważniejszą cechą tych pierwszych jest to, że ich wysokość pozostaje niezmienna w całym okresie kredytowania lub do momentu zmiany stopy procentowej (wzrost lub obniżka wspomnianego powyżej WIBOR-u sprawia, że wysokość pozostałych do spłaty rat obliczana jest na nowo: wzrost stopy procentowej wpływa na podwyższenie wysokości raty, a jej spadek na jej obniżenie). Raty równe są niższe niż malejące, przez co najbardziej popularne (bardzo chętnie wybierają je osoby z niższą zdolnością kredytową).

Ich wadą jest jednak to, że początkowo znakomitą większą część raty równej stanowią odsetki, a dopiero po latach ich większość zaczyna stanowić część kapitałową. Mimo tego, że raty są równe, to co miesiąc zmienia się ich struktura (wzrasta część spłacanego kapitału, a maleje część odsetkowa).

Raty malejące (kapitałowe) są tak skonstruowane, że przynajmniej teoretycznie powinny maleć przez cały okres kredytowania (przy założeniu braku zmian stopy procentowej). Część kapitałowa raty jest bowiem stała, a zmienia się jedynie część odsetkowa. Dzięki temu znacznie szybciej niż w przypadku rat równych zmniejsza się saldo zadłużenia, a co za tym idzie – całkowity koszt kredytu jest istotnie niższy niż w przypadku wyboru rat równych. Różnica między kosztem kredytu jest tym większa, im dłuższy jest okres spłaty lub im wyższy jest poziom oprocentowania.

Na przykład jeśli pożyczymy na mieszkanie lub dom 500 tys. zł na 4 proc. w skali roku, to przez 30 lat spłaty rat równych wpłacimy do banku 859 347 zł. Jeżeli jednak zdecydujemy się na raty malejące, to suma wpłat w tym samym okresie wyniesie 800 833 zł. Oszczędność na przestrzeni 30 lat wyniesie więc 58 tys. zł.

Wybór rat malejących jest również korzystny dla tych osób, które np. planują wcześniejszą spłatę kredytu. To także dobre rozwiązanie dla tych osób, które stać na to, aby początkowo – gdy jesteśmy mniej więcej w stanie przewidzieć nasze zarobki i wydatki – płacić wyższe raty, aby potem cieszyć się, że comiesięczne obciążenie dla domowego budżetu regularnie maleje. Decydując się na raty malejące, trzeba jednak pamiętać, że w takim przypadku bank może udzielić nam kredytu na niższą kwotę niż w przypadku rat równych. Zdolność kredytowa jest bowiem wyliczana na podstawie wysokości pierwszej raty.

Wybór nie jest więc wcale taki oczywisty. Rodzaj rat warto więc dopasować do indywidualnej sytuacji kredytobiorcy i tego, czy ma on szanse w przyszłości zarabiać więcej, czy też okres najwyższych dochodów jest już za nim i spodziewa się systematycznego spadku zarobków. W przypadku, gdy bank oferuje możliwość bezpłatnego nadpłacania kredytu, można też wybrać raty równe, a powstałą nadwyżkę w domowym budżecie przeznaczać na nadpłatę kredytu. Takie rozwiązanie sprawia, że w razie chwilowego pogorszenia się sytuacji finansowej będzie mniejsze ryzyko problemów ze spłatą rat kredytu, a jednocześnie częste nadpłaty kredytu umożliwią skrócenie czasu kredytowania, a co za tym idzie – również zmniejszą jego całkowity koszt.

Niektórzy klienci – świadomi faktu, że stopy procentowe nie muszą wcale przez następnych kilkadziesiąt lat pozostawać na rekordowo niskim poziomie – wolą bowiem zamiast kredytu hipotecznego ze zmiennym oprocentowaniem zdecydować się na kredyt z oprocentowaniem stałym. W takim przypadku początkowe oprocentowanie nominalne jest zazwyczaj nieco wyższe (wynosi np. 3,6–4,5 proc.) niż w przypadku kredytu z oprocentowaniem zmiennym. Kredytobiorca kupuje sobie jednak trochę świętego spokoju – niezależnie bowiem od tego, co będzie się działo na rynkach i czy dojdzie do podwyżek stóp procentowych czy też nie, rata kredytu przez pierwszych kilka lat będzie bowiem dokładnie taka sama. Trzy banki w Polsce, które już oferują klientom nie tylko kredyty o zmiennej stopie, lecz także o stopie stałej, określają stałe oprocentowanie tylko na pierwszych pięć lat. Po tym okresie klient zazwyczaj może uzgodnić z bankiem kolejną stałą stawkę na następne pięć lat lub przekształcić kredyt na oprocentowany według zmiennej stopy (jeden z banków po pierwszych pięciu latach automatycznie zmienia jednak kredyt hipoteczny na oprocentowany według zmiennej stopy procentowej).

Nie jest wykluczone, że konkurencja w tego typu kredytach będzie rosła. Zgodnie z nową Rekomendacją S Komisji Nadzoru Finansowego najpóźniej do końca 2020 r. banki powinny umożliwić klientowi detalicznemu zmianę formuły oprocentowania kredytu ze zmiennej stopy procentowej na stałą stopę procentową lub okresowo stałą stopę procentową (banki spółdzielcze na dostosowanie się do nowej rekomendacji mają czas do końca roku 2022). Możliwość wyboru stałej stopy dotyczy również umów kredytowych zawartych przed wejściem w życie wspomnianej Rekomendacji. Jednakże niespodziewana marcowa obniżka stóp procen-

eprasa.pl d662d706da

towych, która sprawiła, że kredyty złotówkowe stały się rekordowo tanie (WIBOR3M spadł do 1,17 proc.), nie zawsze będzie oznaczała, że zaciągnięte już kredyty o zmiennym oprocentowaniu warto zamienić na kredyty o stałym oprocentowaniu. Ostateczna decyzja, dotyczącą zamiany zaciągniętych kredytów, a także nowych kredytów, powinna zostać podjęta po uwzględnieniu szczegółowych warunków umowy.

KREDYTY KONSUMENCKIE

Z opublikowanego 29 stycznia 2020 r. podsumowania roku 2019 przygotowanego przez Biuro Informacji Kredytowej (BIK) wynika, że na rynku kredytów w Polsce dominują kredyty mieszkaniowe (stanowią 69 proc.) oraz konsumpcyjne (23 proc.). Kredyty ratalne stanowią 3 proc. całego portfela kredytów, karty kredytowe – 2 proc., limity kredytowe – 2 proc., a pożyczki zaledwie 1 proc. Jak zauważa BIK, w 2019 r. banki oraz SKOK-i udzieliły łącznie 7,45 mln sztuk kredytów konsumpcyjnych, co w ujęciu wartościowym dało 88,66 mld zł (w tym samych kredytów gotówkowych na wartość 72 mld zł). W 2019 r. wzrosła również wartość kredytów gotówkowych: ponad 40 proc. z nich w 2019 r. opiewało na powyżej 50 tys. zł, a wraz ze wzrostem pożyczanych kwot wydłużeniu uległy również okresy kredytowania (okres spłaty 75 proc. kredytów jest dłuższy niż cztery lata).

Polacy chętnie korzystają też jednak z innych kredytów i pożyczek, np. na zakup nowego telewizora, remont mieszkania czy na atrakcyjne wakacje. W ofercie banków i SKOK-ów znajdują się np. kredyty gotówkowe, ratalne, samochodowe oraz konsolidacyjne. Różnią się one nie tylko przeznaczeniem, lecz także okresem spłaty, rodzajem zabezpieczenia czy wysokością oprocentowania. Dla tych, którzy zaciągnęli kilka (lub więcej) różnego rodzaju kredytów i pożyczek, banki mają w ofercie **kredyt konsolidacyjny** – umożliwia on połączenie kilku różnych zobowiązań w jedno, za to łącznie z niższą ratą, niż gdyby nadal wszystkie kredyty i pożyczki spłacać osobno.

Kredyt konsumpcyjny to produkt atrakcyjny zwłaszcza dla banków – pozwala im bowiem narzucić wysoką marżę. W zamian kredytobiorca dostaje gotówkę i nie musi się tłumaczyć, na co ją wydaje. W „Raporcie o stabilności systemu finansowego" z grudnia 2019 r. eksperci NBP ostrzegli jednak, że to właśnie kredyty gotówkowe na wysokie kwoty mogą okazać się najbardziej ryzykowne, gdy pogorszy się koniunktura gospodarcza. „Część kredytobiorców może mieć trudności ze spłatą tych zobowiązań w sytuacji wzrostu stóp procentowych" – zauważają autorzy raportu. Dlatego zarówno w przypadku kredytów konsumpcyjnych, jak i hipotecznych warto kierować się zasadą, że lepiej pożyczyć mniej, niż pożyczyć za dużo. Innymi słowy – nie wykorzystujmy maksymalnie naszej zdolności kredytowej, może się bowiem okazać, że w razie utraty pracy lub kłopotów zdrowotnych będziemy mieli spore problemy ze spłatą raty.

Ostrożnie warto też podchodzić do kart kredytowych. Rok 2019 wyróżniał się w Polsce wysoką dynamiką sprzedaży tych kart. Nowoczesny i wygodny produkt może być bardzo atrakcyjny dla osób, które potrafią w zdyscyplinowany sposób podchodzić do zarządzania własnymi finansami. **Karty kredytowe** dają bowiem możliwość regularnego korzystania z darmowego kredytu. Tak zwany okres bezodsetkowy waha się w zależności od wydawcy karty od 51 do ponad 60 dni – w tym czasie klient może bezpłatnie korzystać z pieniędzy banku, a własne oszczędności trzymać np. na krótkoterminowej lokacie. Wiele banków rezygnuje również z opłat za wydanie, a także za obsługę karty (w niektórych warunkiem bezpłatności jest jednak aktywne korzystanie z karty kredytowej, np. wykonanie określonej liczby transakcji lub wydania w ciągu roku określonej w tabeli opłat kwoty). Niektóre banki są nawet gotowe wypłacić premię pieniężną lub sprezentować wartościowy gadżet nowym klientom, którzy zdecydują się na kredyt w formie plastikowej karty.

Dla osób, które nie pamiętają o terminowych spłatach zadłużenia lub nie radzą sobie z pokusą życia ponad stan, karta kredytowa może być jednak pułapką prowadzącą wprost do pętli zadłużenia. Dług na karcie kredytowej należy bowiem do jednych z najwyżej oprocentowanych kredytów (ich oprocentowanie jest bliskie maksymalnego dozwolonego oprocentowania, które nie może przekraczać czterokrotności stopy lombardowej NBP, czyli obecnie 10 proc.). Aby uniknąć drogiego „karcianego" kredytu, trzeba w terminie spłacić całość zadłużenia, jeśli bowiem np. z 10 tys. zł zadłużenia spłacimy 9,9 tys. zł, to i tak bank naliczy nam wysokie odsetki od 10 tys. zł.

Warto też pamiętać o tym, że banki pobierają wysokie prowizje za wypłaty gotówki z karty kredytowej. W takich przypadkach nie możemy też zazwyczaj liczyć na żaden okres bezodsetkowy. Podobne prowizje obejmują również przelewy z karty kredytowej. Po stronie wad można też zapisać bardzo wysokie koszty ewentualnych monitów, przypominających o konieczności spłaty karty. Istotnym minusem z punktu widzenia osób planujących zakup mieszkania lub domu jest także to, że limit przyznany na karcie kredytowej zawsze obniża naszą zdolność kredytową, nawet jeśli z niego nie korzystamy lub wykorzystujemy tylko minimalną część przyznanego limitu kredytowego.

W niektórych przypadkach może się więc okazać, że lepszym rozwiązaniem od wysokiego limitu na karcie będzie tradycyjny kredyt gotówkowy. Pamiętajmy, żeby decydując się na któryś z kredytów konsumenckich, najpierw porównać oferty różnych banków i porównać ich koszty (w tym RRSO). Koniecznie trzeba też sprawdzić RRSO, gdy korzysta się z usług instytucji parabankowych.

W niektórych firmach pożyczkowych RRSO pożyczki zaciągniętej na 12 miesięcy może bowiem przekraczać 100, a nawet 1000 procent. Kilka takich „łatwych pożyczek" może zrujnować niejedno gospodarstwo domowe i doprowadzić do groźnej spirali zadłużenia.

W niektórych przypadkach może się okazać, że lepszym rozwiązaniem od wysokiego limitu na karcie kredytowej będzie tradycyjny kredyt gotówkowy

eprasa.pl d662d706da

ODDYCHANIE JAKO NOWY NAWYK

Anna Lewandowska postanowiła wspomóc swoje fanki, które – podobnie jak ona sama – z racji panującej epidemii spędzają czas w czterech ścianach. Żona Roberta Lewandowskiego poinformowała na swoim Instagramie, że wprowadza właśnie nową funkcję do swojej internetowej aplikacji. Co to za funkcja? Oddajmy głos pomysłodawczyni. – Co powiecie na to, abym zabrała Was w inne miejsce niż mieszkanie, ogród i balkon? Zrobię to za pomocą... totalnej nowości w apce. I tym razem nie jest to premiera nowego programu. BALANS to miejsce wypełnione nagraniami prosto ze świata przyrody, dzięki którym poczujecie się tak, jak byście właśnie spacerowali po lesie, siedzieli przy ognisku lub byli nad brzegiem morza – reklamuje Anna. Tak, chodzi o odgłosy natury w telefonie, które mają być namiastką przyrody w czasach kwarantanny. Lewandowska ma też dla wszystkich dobrą radę. – Pamiętajcie o oddechu!!! Wprowadźmy nowy nawyk... Oddychaj – apeluje. Ciekawe, co jeszcze Anna Lewandowska odkryje na tej kwarantannie? Trawienie może?

NIE CHCĘ BYĆ FRAJERKĄ

Anna Mucha tymczasem oburzyła się, obserwując świat z okna swojego mieszkania na warszawskim Ursynowie. Zobaczyła bowiem przez to okno spacerujących po ulicach ludzi, którzy nie przestrzegają zaleceń rządu i snują się po okolicy. – Zdjęcie sprzed chwili, Ursynów. Ludzie! Nie wygłupiajcie się! Siedźta w domu! Zaczynam się czuć jak frajer, siedząc w domu! – wyznała poirytowana. No właśnie, jeśli nie działają na was argumenty medyczne, przykłady Włoch i Hiszpanii, nawoływania medyków, wirusologów i epidemiologów, to niech chociaż dotrze do was apel Anny Muchy. Nie możecie pozwolić, by tego formatu gwiazda czuła się frajerką. Nie wypada po prostu.

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

FOT. PAWEŁ GRONADA

ZABIERZCIE INSTAGRAM!

Tymczasem eksmodelka Viola Kołakowska, która całkiem niedawno twierdziła, że cała ta historia z koronawirusem to jakaś ściema, bo pandemia de facto nie istnieje, teraz oburza się, że w czasie, gdy cały kraj stanął, telewizje śniadaniowe nadają program, jakby nic się nie wydarzyło.

– Pewnie się nie znam, ale czegoś chyba nie rozumiem... Kwarantanna, wszyscy przyspawani do domów, mandaty, straszenie i inne pierdy, ale TV śniadaniowe działają... Why? – zastanawia się Viola na Instagramie. Ciekawe, czy zauważyła, że w ogóle wszystkie telewizje ciągle nadają. I gazety się ukazują. I Instagrama nikt nie wyłączył. Chociaż to ostatnie warte jest przemyślenia. Zwłaszcza w odniesieniu do niektórych celebrytek. Większości. No dobra, wszystkich.

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

CZAS EKSPERTÓW

Reżyser Agnieszka Holland na łamach „Newsweeka" opowiada, jak ona rozwiązałaby kwestię pandemii koronawirusa. – Gdyby państwa zareagowały na czas i wprowadziły obowiązkowe testy dla wszystkich grup ryzyka, nie musiałyby teraz wdrażać barbarzyńskich rozwiązań zarzynających światową ekonomię. Wszystko jest spóźnione. Mści się brak przenikliwości, solidarności, woli politycznej – oznajmiła ze znawstwem. – Nasi geniusze z Morawieckim na czele nadal oczywiście wmawiają ludziom, że Unia Europejska się nie sprawdziła, i chronią nas tylko państwa narodowe, ale tego kryzysu nie zatrzyma żadna fala populistycznej ksenofobii. Jeszcze przez jakiś czas to będą złote czasy dla populistów, ale w perspektywie długofalowej to się okaże jałowe – prorokuje.

Nie dość, że zna się na filmach, polityce (krajowej i europejskiej, a jakże!), zjawiskach społecznych, to jest jeszcze ekspertem od wirusologii i epidemiologii. A na pandemiach to, wiadomo, zęby zjadła. W następnym numerze pani Holland opowie o tym, jak wyjść z zapaści ekonomicznej, która czeka świat po pandemii. Dla takiego eksperta to bułka z masłem. ©℗

eprasa.pl d662d706da

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zupełnie nie rozumiemy tego całego zamieszania wokół wyborów korespondencyjnych itp. Przecież obecnie prawie nikt już nie korzysta z poczty, która jest passé i można byłoby takie głosowanie załatwić zupełnie inaczej.

Od czego bowiem mamy media społecznościowe? Wystarczyłoby ustawić ankietę na fejsie i głosować za pomocą reakcji na wpis. Do każdego kandydata byłaby przypisana jedna reakcja, ponieważ i kandydatów, i reakcji jest sześć. Jak mówią katole, nie ma przypadków, są tylko znaki.

Wrr/złość – Andrzej Duda. Wiadomo, iż postać prezydenta budzi w nas słuszny gniew jako przedstawiciela aparatu obecnej władzy. A myśl o tym, iż miałby on sprawować kolejną kadencję, wkurza nas do reszty.

Lubię to – Robert Biedroń. Wiemy przecież, iż Robert jest postacią, która chce, żeby wszystkim było miło, nie da się więc go nie lubić czy myśleć o nim źle. Głosowanie na Roberta jest takim sympatycznym aktem, więc ikonka „lajka" będzie dla niego w sam raz.

Super/serduszko – Małgorzata Kidawa-Błońska. Po pierwsze dlatego, iż jest osobokandydatką największej zjednoczonej opozycji, po drugie dlatego, iż jest jedyną waginoosobą w tym skrajnie patriarchalnym zestawie i – chociaż oczywiście płeć nie ma żadnego znaczenia – należy jej się nasze szczególne wsparcie.

Wow/zaskoczenie – Władysław Kosiniak-Kamysz. Nie wiedzieliśmy, iż jest już na tyle dorosły, że może kandydować, ciągle mając go za młodą nadzieję ruchu ludowego. Poza tym zaskakują nas wciąż wyniki sondaży, które pokazują, iż cieszy się całkiem sporym poparciem.

Smutno mi/płacz – Krzysztof Bosak, wiadomo. Wszystkim rozsądnym ludziom powinno być smutno, iż do wyborów dopuszcza się przedstawiciela skrajnej prawicy. A jeszcze smutniej robi się wtedy, gdy się pomyśli, że taki Bosak rzeczywiście mógłby tym prezydentem zostać.

Haha/śmiech – Szymon Hołownia. Chodzi po prostu o ten uśmiech, jaki budzi ta kandydatura zarówno na prawicy, jak i lewicy, gdzie wyborcy są zgodni, iż nie zagłosują na niego, ponieważ mają poglądy prawicowe lub lewicowe.

A jeśli ktoś nie chciałby zagłosować w takich wyborach lub oddać głos nieważny, mógłby zostawić koment albo udostępnić ankietę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wyjście smoka

Jadziu, sama rozumiesz, że to już zbyt wiele. Na to się nie można zgodzić – wychodzimy z rządu.
Że co, Jarku? Chcesz, to sobie wychodź. Ja zostaję.

Ale jak to? Przecież jesteśmy w jednej partii!
Jesteśmy, nie jesteśmy, nie wiadomo, jak długo, a zresztą i tak nikt jej nie kojarzy.

Ale to ja cię do rządu wciągnąłem!
Polityka jest brutalna. Widziałeś kiedyś, żeby Naczelnik okazywał komuś bezinteresownie wdzięczność?

No... Nie.
Właśnie. A ja się uczę od najlepszych. Czyli nie od ciebie.

Ale jak to będzie wyglądało? Rozpad?
Nie, możesz zostać w naszej partii. Masz moją zgodę.

Ale...
Tu przygotowałam dla ciebie takie pisemko do pana prezydenta.

Mogę?
Nie, nie musisz czytać. Po co ci to? Tam stoi, że prosisz o mianowanie mnie wicepremierem na swoje miejsce. Tylko podpisz, tam leży długopis.

Proszę. Ale pamiętaj: podpisałem, ale się nie cieszyłem! A teraz odchodzę. Poczytam sobie „Państwo" Platona.
A ja „Księcia". I Carla Schmitta. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Głosować mimo wszystko, zachowując wszelkie środki ostrożności albo kartę do głosowania zniszczyć, najlepiej publicznie, najlepiej paląc. Innych możliwości dziś nie widzę".

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

eprasa.pl d662d706da

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

No i znów nastał czas patriotów. Poszukiwania patriotów trwają, przede wszystkim wśród posłów kukistów chwilowo przebywających w jednym klubie parlamentarnym z Peezelem. Idealny kandydat na patriotę musi wyróżniać się następującymi cechami: nie bać się głównego kukisty Kukiza, wyrazić gotowość do głosowania tak, jak wskaże krwawy Kaczafi, oraz gotowość do trudnej służby Polsce w charakterze wiceministra.

Wszystko w związku z kryzysem koalicyjnym, do którego doprowadził ten drugi Jarosław, który nie jest Kaczafim, czyli Gowin, niegdyś wicepremier. Większość głosów Porozumienia wciąż jest w zasobach Zjednoczonej Prawicy, tyle że większość, a nie całość, to za mało w czasach nikłej przewagi w Sejmie. Zwłaszcza że nigdy nie wiadomo, kiedy szef Porozumienia i jego Jadwiga Emilewicz będą głosować, lecz się nie cieszyć, a kiedy będą nie cieszyć się i nie głosować.

W cieniu draki z Gowinem, znanej też jako draka o głosowanie korespondencyjne, wszyscy zapomnieli o innym partnerze koalicyjnym, znanym jako ZiZou, czyli Zbigniew Ziobro. W tym przypadku naczelnik państwa może liczyć na pełną lojalność najważniejszego prokuratora w kraju. Zbyszek i wszystkie jego szable bezwarunkowo poparły propozycję Kaczafiego, by wybory przeprowadzić korespondencyjnie. I wcale nikt nie stawiał warunku, że ZiZou w ramach rekonstrukcji miałby zostać wicepremierem. To się rozumie bowiem samo przez się.

Apropos Gowina, to nieprawda, że stracił zaufanie do Kaczafiego w wyniku sprawy korespondencyjnego głosowania. Tak naprawdę stało się to wcześniej, kiedy podczas przeciągania liny o 2 mld zł dla mediów publicznych i związanych z tym sugestii prezydenta Andrzeja Sebastiana duży Pałac został ograny przez Nowogrodzką jak dziecko w piaskownicy.

Skoro już o dużym Pałacu. Dzień po tym, jak napisaliśmy tydzień temu o sekretnych negocjacjach prezydenta Andrzeja Sebastiana z różnymi krajami azjatyckimi w sprawie pomocy sprzętowej dla Polski, ujawniono, że rozmawiał on z prezydentem Korei Południowej. Oczekujcie nowych ciekawych wiadomości z tego kierunku. Jak widać, my wiemy, co piszemy.

Czytać nas muszą także w szeregach armii Saurona, bo np. Dominika Wielowieyska parę dni po naszych doniesieniach martwiła się w „GazWybie", że PiS kombinuje, jak tu załatwić sobie większość w Senacie. Powiemy więcej – on by już nawet tę większość miał, gdyby głosowania były zdalne, tak jak w Sejmie.

Co za pech, okazało się, że Rafcio Trzaskowski nie ma pieniędzy. Zgubił, biedaczek, 2 mld zł. Gdyby ktoś znalazł portfel, prosimy o kontakt z warszawskim ratuszem. Łatwo zauważyć zgubę, bo w tramwajach wreszcie luźniej, więc jeśli coś leży na podłodze, to szybko zauważycie. Ups, tak, przepraszamy, zapomnieliśmy, że Rafcio nie jeździ komunikacją miejską. Może więc portfel znajdzie się w limuzynie.

Za brak 2 mld w kasie Warszawy zdaniem Rafcia odpowiada zły rząd PiS, który sprowadził do Polski koronawirusa, kwarantannę i spowolnienie gospodarcze. Żeby wzmocnić tę konstatację, Rafcio postanowił wykonać artystyczny performance, w którym – udając prezydenta miasta – pyta, czy będzie musiał wykręcać ludziom ręce, żeby ich zaprowadzić na wybory. W sumie uważamy, że ludzie, którzy pozwoliliby Rafciowi na wykręcanie rąk, mogą na wybory nie iść i nic się wielkiego nie stanie.

Czekamy natomiast z utęsknieniem na chwilę, kiedy Rafcio w ramach walki z koronawirusem i szukania oszczędności zamiast ciąć etaty nauczycielskie, zacznie ciąć kasę na różne gejaria, karty LGBT i plakaty informujące o tym, że w kranie jest woda, a w tramwajach nie należy głośno mówić przez telefon. Niestety, czekaj tatka latka.

Czasem politycy mają rację ogólnie, ale mocno mylą się w szczegółach. Tak jest właśnie w przypadku Rafcia Trzaskowskiego, który jeszcze zanim zgubił portfel z 2 mld, wołał, że sytuacja w Warszawie staje się dramatyczna. Generalnie tak, ale nie z powodu koronawirusa i nie od wczoraj. Wszak Hanka Bufetowa została prezydencicą stolicy już w roku 2006, a Rafcio jest tylko kontynuatorem jej myśli i dzieła. Cała reszta to tylko konsekwencje, a nawet ich kumulacja. Jak mawiał nieodżałowany Kisiel: „To nie kryzys, to rezultat".

Niektórzy uważni czytelnicy naszej rubryki zauważyli zapewne, że w ostatnim czasie wyjątkowo mało miejsca poświęcamy kandydacicy na prezydencicę Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Rzeczywiście nie rozumiemy, jak możemy pomijać ważne dokonania tak istotnej postaci jak... Zaraz, moment, ehm, jak się ta pani nazywała?

W sztabie zawieszonej kampanii wyborczej Małgorzaty dwojga nazwisk sztabowcy zastanawiają się intensywnie, co zrobić z kiksami językowymi kandydatki. Sprawa poważna.

eprasa.pl d662d706da

Przestrzegamy Zjednoczoną Prawicę na wypadek przedwczesnej radości. Churchill też najpierw wygrał wojnę, a potem przegrał wybory

Bronek miał suflerkę, która siedziała mu na plecach i podpowiadała, kogo ma przytulić. Panią Małgosię proponujemy wyposażyć w erratę i sylabus. Naszej opinii nie zmienia to, że ostatnio jako sufler Małgorzaty służył Borys Budka. On nie zawsze może być w pobliżu, zatem sprawa paląca. Przypominamy też Eine Totalopposition, że teraz najbardziej modna jest edukacja on-line.

Najgorsze w związku z koronawirusem jest to, że świat zszedł na PiS. Wszystko spisiało. Jeśli nie raport, z którego wynika, że najmniej wrażliwe na uderzenie koronawirusa będą gospodarki Polski, Czech i Niemiec, to europejskie wyliczenia, że Polska jest w czołówce krajów, gdzie odnotowano najmniej zgonów w stosunku do liczby zarażonych na milion mieszkańców. Przestrzegamy jednak Zjednoczoną Prawicę na wypadek przedwczesnej radości. Churchill też najpierw wygrał wojnę, a potem przegrał wybory.

W świetle wspomnianych wyżej wyliczeń okazuje się, jak ważne dla Eine Totalopposition są akcje obywatelskie w rodzaju tej prowadzonej przez Durczoka Kamila. Publicznie pochwalił się on, że złamał zakaz wstępu do lasu i poszedł na spacer z psem, przy czym zaapelował do władz: „A wy nas, matoły, łapcie!". Bohaterska walka o zwiększenie liczby zachorowań to nowość w repertuarze wyborczych chwytów, z zaciekawieniem czekamy, na ile się przyjmie.

À propos różnych matołów, miglanców i kłopotów z prawem. Służby i prokuratura są nawet zadowolone z koronawirusa. Jak powiedział nam jeden z ludzi znających sytuację w obydwu miejscach, kotły zostały prawie wygaszone. Jedną przyczyną są oczywiście wybory, bo nikt nie chce ryzykować nowej Sawickiej. Druga i ważniejsza przyczyna to fakt, że chwilowo nie bardzo jest jak kręcić lody, więc łapówkarze i przekręciarze też działają na zwolnionych obrotach.

To nieprawda, że świat martwi się tylko stanem demokracji w Polsce i bardzo wolnymi sądami. Dostaliśmy np. list z Amnesty International. A w nim czytamy: „W warunkach pandemii koronawirusa niezagwarantowanie bezpiecznego dostępu do aborcji zagraża zdrowiu kobiet i dziewcząt". Oraz: „Należy bezzwłocznie usunąć wszelkie medycznie niekonieczne wymogi, które utrudniają możliwość skorzystania z usług aborcyjnych, i zezwolić kobietom na dostęp do wczesnej aborcji farmakologicznej wykonywanej w domu". To właściwie komentuje się samo.

Wśród podpisanych pod powyższymi opiniami jest niejaka Regionalna Dyrektorka na Europę w Centrum Praw Reprodukcyjnych pani Leah Hoctor. Wietrzymy pomyłkę w druku. Powinno być przecież „Leah Herod".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 5 kwietnia 2020 roku zmarła w Warszawie

ŚP.

mjr Jadwiga Zofia Obrembalska ps. Jaga, Tadeusz

urodzona 4 kwietnia 1932 roku w Warszawie.

Od lipca 1948 roku łączniczka antykomunistycznej organizacji młodzieżowej „Skorpion" działającej na terenie Warszawy.

Aresztowana 4 kwietnia, do 9 września 1949 roku więziona w aresztach WUBP przy ulicy Sierakowskiego, Cyryla i Metodego i w więzieniu karno-śledczym „Toledo" przy Ratuszowej.

Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie skazana na karę jednego roku pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Wieloletnia Prezes Zarządu Głównego Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego i członek Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

W latach 1993–2001 Przewodnicząca Komitetu Budowy Pomnika ku Czci Pomordowanych w Praskich Więzieniach 1944–1956 im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, odsłoniętego 8 października 2001 roku przy ulicy Namysłowskiej.

Uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Pro Bono Poloniae i innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl d662d706da

Ze Zbigniewem Ziobrą, ministrem sprawiedliwości
rozmawia Kamila Baranowska

Nie wolno zagrażać życiu Polaków

eprasa.pl d662d706da

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl d662d706da

KAMILA BARANOWSKA: Czy to normalna sytuacja, że miesiąc przed wyborami nie wiemy, czy, kiedy i w jakiej formule się one odbędą?

ZBIGNIEW ZIOBRO: Pandemia stworzyła nienormalną sytuację na całym świecie i niemal w każdej dziedzinie życia. Położyła się także cieniem na kluczowym dla systemu demokratycznego elemencie, jakim są wybory, w przypadku Polski są to wybory prezydenckie.

Dlaczego Zjednoczona Prawica tak bardzo upiera się przy terminie 10 maja? Dlaczego nie można wyborów przełożyć i zająć się dziś walką z pandemią oraz jej skutkami?

Opozycja wciąż wywiesza konstytucję na swoich sztandarach, a to właśnie ta konstytucja przewiduje, że kadencja prezydenta może trwać tylko pięć lat. Jedynym sensownym sposobem przeniesienia wyborów na czas po pandemii byłaby zmiana konstytucji, ale na to opozycja się nie zgadza. Przypomnę, że premier Gowin zaproponował zmianę w konstytucji wydłużającą kadencję aktualnego prezydenta o dwa lata i wykluczającą jego reelekcję. To była trudna do zaakceptowania dla naszego środowiska propozycja, ale poparliśmy ją w imię kompromisu, a nade wszystko wyższych racji związanych z ratowaniem zdrowia i życia Polaków zagrożonych przez koronawirusa. Opozycja to jednak odrzuciła.

Tyle że emocje społeczne są dzisiaj gdzie indziej. Nie wybory są najważniejsze, tylko ratowanie życia i zdrowia, a także obawa przed utratą pracy i pomoc dla przedsiębiorców, którzy mogą się z tego kryzysu już nie podnieść.

Absolutnie się z panią zgadzam. Teraz najważniejsze jest skupienie się na walce z pandemią. Na walce o życie i zdrowie nas wszystkich. Właśnie dlatego padła propozycja odłożenia wyborów o dwa lata. I już bez Andrzeja Dudy jako kandydata. Po to, by móc wspólnie – rządzący i opozycja – zająć się prawdziwymi problemami związanymi z zagrożeniem wirusem. Najbardziej prestiżowe ośrodki naukowe na świecie zajmujące się pandemią, w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemczech czy we Francji, zgodnie wskazują, że pandemia niestety potrwa co najmniej rok, a prawdopodobnie nawet dwa lata. Co więcej, światowi epidemiolodzy spodziewają się, że wirus uderzy ponownie z wielką siłą na jesieni. Czyli dokładnie wtedy, kiedy wybory chce przeprowadzić opozycja, która ma usta pełne frazesów o wrażliwości na drugiego człowieka, o trosce o życie Polaków, a w rzeczywistości w sposób wyjątkowo cyniczny odrzuca wszelkie kompromisy i racjonalne rozwiązania przez nas proponowane. Tylko dlatego, żeby choć trochę zwiększyć szansę swoich kandydatów na prezydenta. A że na jesieni narażą w ten sposób znacznie więcej Polaków na śmierć, to dla nich nie jest dzisiaj istotne. To dowód wyjątkowej obłudy i zakłamania opozycji, którą – jak wszyscy już widzą – interesują wyłącznie własne polityczne interesy.

Opozycja chce, aby wybory zorganizować jesienią. A wtedy może być znacznie gorzej niż dziś, może to zagrozić życiu tysięcy Polaków

Opozycja od początku powtarza, że należy wprowadzić stan klęski żywiołowej. Przewiduje to konstytucja. Dlaczego więc nie chcecie tego zrobić?

Ponieważ wprowadzenie takiego stanu w niczym nie zmieni skuteczności obecnych rozwiązań w walce z pandemią, narazi zaś polskie państwo na bardzo poważne konsekwencje finansowe, choćby w stosunku do koncernów zagranicznych, które będą mogły żądać krociowych odszkodowań. Państwo musi się zająć zapewnieniem bezpieczeństwa swoim obywatelom, a nie finansowaniem zarządów obcych firm.

Pana zdaniem wybory korespondencyjne to dziś jedyne i optymalne rozwiązanie?

Przy tak nieodpowiedzialnej opozycji, która odrzuca wszelką współpracę, wszelkie nasze propozycje przeniesienia wyborów na okres po pandemii, wybory korespondencyjne wydają się rozwiązaniem, które niesie ze sobą najmniejsze ryzyko w tej nadzwyczajnej i bardzo trudnej sytuacji. Niestety, nawet w tej sprawie nie widać choćby cienia gotowości opozycji do jakiejkolwiek współpracy nad przygotowaniem bezpiecznych procedur do przeprowadzenia takiego głosowania.

Każda wpadka czy pomyłka przy takim głosowaniu da asumpt do podważania wyników wyborów. W efekcie po wyborach może czekać nas jeszcze większy i niepotrzebny chaos.

Pandemia zaskoczyła cały świat i okazało się, że żadne państwo ani żaden rząd nie były przygotowane na taką sytuację. Słyszymy, jakie problemy mają znacznie bogatsze kraje od Polski – Stany Zjednoczone, Japonia, Szwecja. Nie dają sobie z tym rady. Na szczęście w Polsce bardzo szybko wprowadziliśmy znaczące obostrzenia, co uchroniło nas przed katastrofą. Trudno też o wystarczające słowa uznania dla polskiego świata medycznego, lekarzy, pielęgniarek, ratowników, personelu szpitali, którzy nadludzkim wysiłkiem ratują życie osób zakażonych. Wszyscy walczymy z pandemią, jak umiemy, mając takie możliwości, jakie mamy. W tej nadzwyczajnej sytuacji jesteśmy zmuszeni wybierać rozwiązania, które być może nie są idealne, ale niosą ze sobą niższe koszty społeczne i mniejsze ryzyko. Dlatego tak ważne jest współdziałanie dla dobra ogółu. Jakże cenna byłaby współpraca opozycji przy tworzeniu nowych nadzwyczajnych rozwiązań w tym nadzwyczajnym okresie. Niestety, opozycja woli narażać życie nas wszystkich w imię swoich partykularnych interesów.

Już teraz zapisy projektu ustawy dotyczącej głosowania korespondencyjnego dotyczące kar za nieoddanie karty do głosowania budzą kontrowersje. A zapewne będzie tego więcej, bo takie są skutki ekspresowo przyjmowanych ustaw.

Właśnie dlatego potrzebna jest konstruktywna pomoc opozycji, aby zminimalizować błędy nowych przepisów, które musimy przyjąć, aby uchronić całe nasze społeczeństwo przed katastrofą. Łatwo jest wszystko krytykować, wskazywać potknięcia i cały czas rzucać kłody pod nogi. O ile w normalnych czasach można to jeszcze zaakceptować, o tyle takie zachowanie opozycji w czasie pandemii koronawirusa, gdy giną ludzie, jest kompromitujące i niemoralne. Na rządzie i większości parlamentarnej spoczywa teraz odpowiedzialność za życie Polaków, a nie udział w jakichś politycznych gierkach. Dlatego trzeba podejmować odpowiedzialne decyzje, czasami wybierać mniejsze zło.

Z perspektywy czasu nie ma pan poczucia, że może trzeba było na samym początku spróbować dogadać się z opozycją – przyjąć kompromisowe rozwiązania, a nie twardo stawiać sprawę, że wybory muszą być 10 maja? Dzisiaj obie strony stały się zakładnikiem swoich wcześniejszych deklaracji.

Ależ od początku staraliśmy się porozumieć z opozycją w imię wyższego dobra – życia naszych obywateli. Skoro światowi

eprasa.pl d662d706da

badacze, eksperci, uznani epidemiolodzy ostrzegają, że pandemia wybuchnie ze zdwojoną siłą na jesieni, skoro dzisiaj mamy jeszcze w miarę opanowaną sytuację, skoro konstytucja nakazuje nam przeprowadzenie wyborów w maju, to musimy podjąć racjonalną decyzję. Nie mamy wyboru. I albo decydujemy się na wybory w maju – wtedy racjonalnym wyjściem jest głosowanie korespondencyjne, znacznie bardziej bezpieczne niż pójście milionów Polaków do lokali wyborczych, albo przesuńmy wybory o dwa lata, kiedy pandemia wygaśnie. Takie propozycje padły i obie zostały odrzucone przez opozycję, która chce, aby wybory zorganizować jesienią. A przecież wtedy może być znacznie gorzej niż dziś, może to zagrozić życiu tysięcy Polaków. Takie rozwiązanie to szaleństwo opozycji...

Jak pan przyjął decyzję Jarosława Gowina o dymisji? Ze zrozumieniem czy zdziwieniem?

Byłem zdziwiony.

Dymisja to wizerunkowy cios w koalicję, bo pokazuje, że działająca dotychczas sprawnie machina nagle się zacięła.

Paradoksalnie ta sytuacja potwierdza demokratyczny charakter naszego obozu. To, że są w nim różnice zdań i nie boimy się o nich rozmawiać publicznie. Ufam, że ten kryzys tylko nas wzmocni.

Trudno się jednak w tym wszystkim połapać. Z jednej strony wicepremier podaje się do dymisji, z drugiej jego partia pozostaje w koalicji.

Mimo poważnej różnicy zdań ugrupowanie Jarosława Gowina pozostaje w rządzie i większość jego posłów głosuje zgodnie z ustaleniami Zjednoczonej Prawicy. To tylko potwierdza, że jesteśmy odpowiedzialnymi politykami, którzy potrafią się porozumieć w imię wyższego dobra. Szkoda, że opozycja tego nie potrafi.

Pierwsze głosowanie nad wyborami korespondencyjnymi Zjednoczona Prawica jednak przegrała...

Tylko przez pomyłkę dwóch posłów, ale udało się to naprawić.

Jak pandemia wpłynie długofalowo na polską politykę? Coś pana zaskoczyło w ostatnich tygodniach?

Jestem zaskoczony zawziętością, wyrachowaniem i cynizmem opozycji. Wydawało mi się, że wszyscy Polacy w chwilach trudnych, przełomowych potrafią się jednoczyć, działać wspólnie mimo różnych zdań czy poglądów. Okazało się, że wobec śmiertelnego zagrożenia ogólnoświatową zarazą, gdy Polacy się jednoczą, próbują walczyć, wspólnie pokonać wirusa, opozycja staje obok i robi wszystko, byśmy tę walkę przegrali. To mnie naprawdę zaskoczyło. A jeśli chodzi o trwały wpływ pandemii na polską politykę, to wszystko zależy od tego, jak długo ona potrwa. Czy zostaną wynalezione lekarstwo i szczepionka, jak bardzo zniszczona zostanie światowa gospodarka, bo żyjemy w globalnym systemie naczyń połączonych. Trudno dziś ocenić, jak bardzo poobijani z tego wyjdziemy. I kiedy wyjdziemy. Dlatego dzisiaj najważniejsze nie są politykierstwo ani wróżby, tylko codzienna praca nad uratowaniem polskiej gospodarki i ochroną życia zakażonych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PRENUMERATA ROCZNA
PAKIETU TYGODNIK DO RZECZY I MIESIĘCZNIK HISTORIA DO RZECZY, W PREZENCIE KSIĄŻKA:
S. KOPER I T. STAŃCZYK „OSTATNIE LATA POLSKIEGO WILNA"

Cena: 281zł
Oszczędność: 465 zł

+ e-wydanie

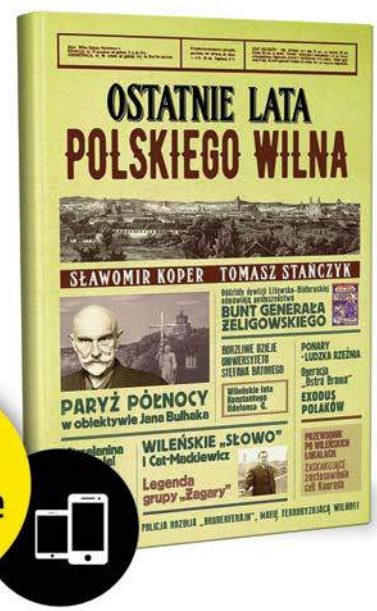

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
NOWY NUMER KONTA: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2020 w cenach roku 2019
ZAMÓW JUŻ TERAZ

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 TELEFON: 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl d662d706da

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

PiS kontra koronawirus

Wojciech Wybranowski

To miała być wiosna sukcesu PiS, ukoronowana wygranymi wyborami prezydenckimi. Zamiast tego są: kryzys epidemiczny, stygnąca gospodarka i chaos polityczny. Jak to się skończy?

Zmęczony minister zdrowia Łukasz Szumowski. Kolejne raporty podawane przez Ministerstwo Zdrowia mówiące o wzroście liczby Polaków zarażonych niebezpiecznym koronawirusem i zmarłych w wyniku wywołanej nim choroby. I lawina krytyki ze strony partii opozycyjnych oskarżających rząd o przespanie kolejnych miesięcy i niewłaściwe, jak twierdzą politycy głównie Platformy Obywatelskiej, przygotowanie instytucji państwowych i służby zdrowia do walki z pandemią.

Rząd próbuje sobie radzić, wprowadzając obostrzenia dotyczące funkcjonowania placówek handlowych i usługowych oraz sposobów poruszania się w przestrzeni publicznej. Te, związane z wysokimi mandatami za nieprzestrzeganie zasad kwarantanny i izolacji, budzą sporo zastrzeżeń. Jednak według ministra są konieczne. – Gdybyśmy zrezygnowali na czas Świąt Wielkanocnych, mielibyśmy o 10–30 proc., a nawet o 50 proc. więcej zachorowań – oceniał w środę w radiowej Trójce Łukasz Szumowski.

W walce z koronawirusem rząd sięgnął po potencjał spółek Skarbu Państwa. Niektóre z nich pozytywnie odpowiedziała na apel o wsparcie. Orlen i KGHM przestawiły część produkcji spółek córek na wytwarzanie środków higienicznych i ochronnych. Finansowo pomógł też Lotos. KGHM w ostatnich dniach sprowadził z Chin do Polski pięć samolotów transportowych wyładowanych respiratorami, maskami, kombinezonami dla lekarzy i ratowników, goglami ochronnymi.

– To jest akcja, którą podjęliśmy na wezwanie rządu Zjednoczonej Prawicy, by włączyć się w pomoc. Mamy swoich kontrahentów w Chinach, byliśmy w stanie ten sprzęt zdobyć i podzielić się naszymi kontaktami z innymi firmami. Produkujemy płyny biobójcze przekazywane do szpitali, policji, wojska, domów pomocy społecznej – mówi „Do Rzeczy" Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM.

Tuż po świętach Wielkanocy na warszawskim lotnisku ma wylądować największy samolot świata Antonov An-225 Mrija (pojemność 10 dreamlinerów), który przywiezie do Polski sprzęt medyczny i zabezpieczający zakupiony, na prośbę rządu, przez państwowe spółki – KGHM i Lotos. Przywiezie co najmniej 7 mln masek, kilkaset tysięcy kombinezonów ochronnych i kilkaset tysięcy przyłbic ochronnych.

Jednak pandemia koronawirusa to nie tylko gwałtowny kryzys w służbie zdrowia i epidemiologiczne zagrożenie dla Polaków, lecz także kolejne punkty zapalne, z którymi musi zmierzyć się Prawo i Sprawiedliwość.

– Mamy przed sobą trzy wyzwania, jedno to walka z koronawirusem jako takim, walka o zmniejszenie zachorowań i powoli powrót do normalnego funkcjonowania. Drugie to walka z kryzysem globalnym wywołanym koronawirusem, na razie to skutki lockdownu, a sam kryzys jest jeszcze przed nami – mówi nam poseł Radosław Fogiel, wicerzecznik PiS. – Trzecia sprawa to normalne funkcjonowanie państwa i przeprowadzenie wyborów. Kończy się kadencja prezydenta i państwo ma obowiązek zorganizować i przeprowadzić wybory.

TARCZA DO AKTUALIZACJI

W PiS nikt nie ukrywa, że pandemia spowoduje globalny kryzys, który także potężnie uderzy w Polskę. Już dziś wiele większych i mniejszych firm zmuszonych do zawieszenia działalności gospodarczej zwolniło pracowników.

– Najgorsze szacunki, którymi dysponujemy, mówią, że bezrobocie w Polsce na przełomie lat 2020 i 2021 może dotknąć nawet co 10. Polaka. Co to oznacza oprócz kryzysu państwa i zubożenia obywateli? Dla nas także poważne problemy polityczne – ocenia jeden ze współpracowników Jarosława Kaczyńskiego.

Już w ubiegłym roku prof. Rafał Chwedoruk, politolog UW, w rozmowie z „Do Rzeczy" prognozował, że wysokie poparcie dla rządu deklarowane w sondażach badania opinii publicznej może zostać zachwiane nie kolejnymi taśmami i rzekomymi aferami, ale dopiero w połączeniu tych rzeczy z kryzysem gospodarczym. – Prawda jest taka, że Polacy, jak wszyscy, głosują swoimi „portfelami". Jeżeli jesienią będą puste, to nikt nie będzie pamiętał o Szu-

eprasa.pl d662d706da

mowskim i o tym, że poradziliśmy sobie z wirusem lepiej niż Włochy czy Hiszpania, tylko to, że żyje im się gorzej. Dlatego opozycja tak bardzo prze do wprowadzenia stanu wyjątkowego czy klęski żywiołowej i przesunięcia wyborów prezydenckich na jesień – dodaje polityk PiS.

Z kryzysem gospodarczym i możliwym kryzysem władzy ma pomóc walczyć Tarcza Antykryzysowa – ustawa, którą pod koniec marca podpisał już prezydent. W pierwszym etapie ma ona pomóc przede wszystkim małym i średnim firmom oraz osobom prowadzącym jednoosobową działalność gospodarczą. W ubiegłym tygodniu Sejm już znowelizował Tarczę, wprowadzając m.in. ulgę w składkach dla firm do 49 pracowników czy zasiłek dla rolników objętych kwarantanną. „To dopiero początek, pierwsze działania. Tarcza 1.1 to zmiany kosmetyczne w momencie, gdy wirus gospodarczy rozwija się szybciej niż ten medyczny. Więc dzieje się to za wolno i zbyt skromnie" – oceniał w rozmowie z portalem wp.pl Maciej Witucki, szef Konfederacji Lewiatan.

Według informacji „Do Rzeczy" rząd PiS pracuje nad kolejnymi zmianami Tarczy, które mają się pojawiać wraz z rozwojem sytuacji i transferem do Polski środków unijnych. Nasi rozmówcy twierdzą, że kolejne pomysły mają być podawane cyklicznie. Następna nowelizacja Tarczy może, jak mówią nasi informatorzy, pojawić się w ciągu kilku tygodni po Wielkanocy.

W ubiegłym tygodniu rząd przedstawił kolejny projekt wsparcia dla przedsiębiorców przygotowany wspólnie z Narodowym Bankiem Polskim. Do firm potrzebujących pomocy na utrzymanie działalności trafi 100 mld zł. Z nowego programu ma skorzystać nawet 670 tys. przedsiębiorstw, których obroty spadły w ostatnim czasie przynajmniej o 25 proc. 75 mld zł trafi do mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, a 25 mld zł trafi do dużych podmiotów na ratowanie miejsc pracy. Subwencje te będą udzielane na trzy lata i spłaty zaczną się dopiero w drugim roku. Około 75 proc. subwencji będzie mogło być środkami bezzwrotnymi. – To moment oddechu dla firm, żeby chroniły swój udział w rynku – mówił premier Morawiecki. Firmy będą mogły skorzystać z tej pomocy pod warunkiem, że płacą podatki w Polsce.

PRAWICA MNIEJ ZJEDNOCZONA

W obliczu pandemii w ciągu ostatnich dwóch tygodni politycy PiS przeprowadzili przez Sejm nowelizację Kodeksu wyborczego, wprowadzając – mimo że do wyborów zostało mniej niż sześć miesięcy – istotne zmiany w trybie głosowania. Najpierw rozszerzono grupę osób uprawnionych do głosowania korespondencyjnego o seniorów, wreszcie zdecydowano o przeprowadzeniu wyborów całkowicie w trybie korespondencyjnym. To budzi zastrzeżenia opozycji, która podnosi, że bez kampanii wyborczej wybory nie będą uczciwe. Wielu komentatorów, także tych bliskich PiS, wskazuje również, że w ciągu kilku tygodni rządzący nie będą w stanie przygotować przeprowadzenia takich wyborów w sposób rzetelny i transparentny, wykluczający możliwość manipulacji głosami wyborczymi. PiS odpowiada, że mechanizm głosowania korespondencyjnego był już w Polsce praktykowany, a nad zabezpieczeniem skrzynek pocztowych i bezpieczeństwem oddanych głosów będą czuwać policja i wojsko.

– Wybory zostały zarządzone, a zadaniem państwa jest ich przeprowadzenie. Fakt, że wybory muszą się odbyć, jest zjawiskiem obiektywnym. Jeśli mamy skutecznie walczyć z kryzysem i koronawirusem, to potrzebujemy politycznej stabilności, a nie ciągłego rozedrgania i permanentnej kampanii – argumentował poseł Fogiel w rozmowie z Radiem Plus.

Plany PiS mogą zostać pokrzyżowane przez marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego. Jeśli bowiem Senat przedłuży pracę nad nowelizację Kodeksu wyborczego, to rządzącym zostaną trzy dni od jej ostatecznego przyjęcia, aby uruchomić wszystkie mechanizmy i wybory zorganizować. – Liczymy się z obstrukcją Senatu, ale praca wre. Karty do głosowania zostaną wydrukowane w terminie, obwieszczenia wyborcze też, dzisiaj pracujemy nad przygotowaniem policji i wojska do zabezpieczenia czynności wyborczych. Kiedy ustawa zostanie podpisana, większość czynności będzie już w toku – mówi jeden z naszych informatorów z PiS.

PiS zostawił sobie też furtkę w przepisach. Zgodnie ze znowelizowanymi przepisami marszałek Sejmu będzie mogła nieco przesunąć w czasie datę wyborów: o tydzień lub dwa, bez konieczności wprowadzania w Polsce stanu wyjątkowego. – Jest możliwość przesunięcia przez panią marszałek terminu wyborów, ale liczę na to, że nie będzie konieczności korzystania z takiego instrumentu – mówi „Do Rzeczy" Fogiel.

Wśród ludzi z otoczenia prezydenta Andrzeja Dudy panuje przekonanie, że bardziej realną datą wyborów jest 17 maja.

Tymczasem sprawa wyborów podzieliła już obóz Zjednoczonej Prawicy. Z funkcji wicepremiera oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego zrezygnował Jarosław Gowin, szef partii Porozumienie, który krytycznie ocenia możliwość przeprowadzenia wyborów w maju. „Jestem przeciwny organizowaniu wyborów 10 maja. Mówiąc wprost, jestem wściekły, że politycy w ogóle o tym rozmawiają. Powinniśmy je odwołać i skupić się wyłącznie na walce z epidemią! Takie jest stanowisko prawie wszystkich posłów Porozumienia" – mówił Gowin w rozmowie z „Super Expressem". W liście do działaczy Porozumienia napisał, że przeciwko wyborom 10 maja mieli być również premier Mateusz Morawiecki i minister zdrowia Łukasz Szumowski. Gowin chciał zmian w konstytucji, które przedłużałyby kadencję prezydenta o dwa lata bez możliwości ponownego kandydowania. Jego pomysł w Sejmie nie zyskał poparcia.

Wolta Gowina zatrzęsła obozem władzy. – Wiedzieliśmy, że zdradzi, spodziewaliśmy się tego już wtedy, gdy zaczął kwestionować reformy sądownictwa, nie wiedzieliśmy tylko kiedy. Ale że wbił też nóż w plecy Mateuszowi, z którym współpracował? – zastanawia się jeden z posłów PiS z tzw. zakonu PC, najstarszych współpracowników Kaczyńskiego.

Posłowie partii Gowina na razie pozostali w koalicji. Jednak w PiS mówi się, że to tylko kwestia dwóch, czterech miesięcy, w ramach nieformalnego porozumienia, które ma pozwolić na przeforsowanie projektów niezbędnych do walki z kryzysem. – Zaczęło się liczenie szabel i rozmowy z parlamentarzystami, w jedną i drugą stronę. Są tacy działacze Porozumienia, którzy chcą zostać w naszym klubie, ale są też tacy, którzy odejdą z Gowinem, licząc, że będą beneficjentami przyszłego układu rządzącego – słyszymy w klubie PiS.

Na razie w Zjednoczonej Prawicy przynajmniej do wyborów prezydenckich nie powinno dojść do radykalnych zmian. Wszyscy dali sobie czas i rozpoczęli własne gry. PiS liczy na zatrzymanie kilku posłów Porozumienia niezbędnych do utrzymania większości parlamentarnej lub przeciągnięcie kilku z PSL bądź Konfederacji. Gowinowcy nieoficjalnie rozmawiają już z kukizowcami (w sojuszu z PSL) i częścią działaczy partii Kosiniaka-Kamysza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Piotr Semka

Gowin, czyli zygzaki po krakowsku

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

„Hamlet", „człowiek z kręgosłupem zawiązanym na supeł"? A może, jak chcą jego obrońcy, „człowiek sumienia" i „ktoś z zasadami"? „Z Gowina wyszedł »krakówek« – obraził się i zabrał zabawki w kluczowej sytuacji, grzebiąc swoją karierę i komplikując życie innym" – to jeszcze inny internetowy komentarz. A może to ktoś, kto do polityki nie powinien w ogóle iść?

Ostatnie wydarzenia przypomniały o jednej z najbardziej intrygujących postaci naszej sceny politycznej. Czy droga życiowa Jarosława Gowina wyjaśnia przyczyny jego politycznych zygzaków? Autorzy jego sylwetek publikowanych w mediach zgodnie wskazują na liczne paradoksy w jego życiu. Urodzony w Krakowie w 1961 r., ale spędzający młodość w niewielkim Jaśle. Kojarzący się wszystkim z podwawelską elitą, ale w samym Krakowie długo uważany za przybysza z prowincji. Członek NZS od 1980 r., ale trzymający się nieco z dala od wieców i zadym, za to ślęczący w czasie solidarnościowego karnawału 1980/1981 nad książkami o filozofii. Bywalec spotkań duszpasterstwa dominikańskiego, ale miewający kryzysy wiary. Zauroczony naukami księdza filozofa Józefa Tischnera, a jednocześnie zdegustowany tym, jak kapłana instrumentalnie wykorzystywał Adam Michnik.

ZASKOCZENIA I TWARDE ŁOKCIE

W środowisku krakowskich elit orientujących się na III RP dość długo jeszcze uważano go za kogoś nieco narwanego, ale w gruncie rzeczy „swojego". Są krakowianie, którzy zaklinają się, że przez pewien czas w latach 90. typowano nawet, że przejmie szefostwo „Tygodnika Powszechnego" po Jerzym Turowiczu. Jednak w 1995 r. zostaje naczelnym innego szacownego tytułu – miesięcznika „Znak" – i wkrótce zaczyna się proces powolnego, choć pozbawionego ostentacji dystansowania się pisma od linii „Tygodnika Powszechnego". Gowinowi zdarzają się wtedy takie „wyskoki" jak krytyka Krzysztofa Kozłowskiego, wówczas polityka Unii Wolności. Wtedy takie herezje niemal wstrzymywały bieg ziemi w liberalnych elitach Krakowa.

Gowin ma wówczas swoją idée fixe – wykorzystując prestiż „Znaku", stworzyć prywatną wyższą uczelnię. Będzie to Wyższa Szkoła Europejska im. ks. J. Tischnera, której rektorem zostaje w 2003 r. Zaaferowany walkami o stworzenie finansowych ram dla istnienia uczelni zostaje wypchnięty ze „Znaku", w którym znów zwyciężają stare prądy. Potem, gdy uczelnia chwieje się, Gowin musi połączyć ją z prywatną szkołą stworzoną przez prof. Tadeusza Pomianka. „Krakówek" zapamiętuje sobie wtedy Gowina jako kogoś, kto potrafi być i obrazoburczy, i zdecydowany, a nawet bezwzględny, gdy mu na czymś naprawdę zależy. W 2001 r. w Instytucie Studiów Politycznych PAN uzyskuje stopień naukowy doktora za pracę „Kościół w czasach wolności 1989–1999". Praca znów naruszała w pewnym stopniu dotychczasowe schematy środowiska „Tygodnika Powszechnego", zwracając np. uwagę na salonowy antyklerykalizm lat 90. Promotorem doktoratu jest warszawiak Wojciech Roszkowski – ktoś spoza krakowskiego kręgu wzajemnej adoracji.

Nic dziwnego, że gdy w 2001 r. pojawia się polityczna alternatywa dla Unii Wolności w postaci Platformy, Gowin powoli zbliża się do tego środowiska. PO ma wtedy pewien konserwatywno-chrześcijański sznyt. W 2005 r. zostaje senatorem PO z Krakowa. Dwa lata potem wykorzystuje polityczną szansę – Tusk zrywa z Rokitą i potrzebuje jakiejś znanej twarzy do sukcesu Platformy w wyborach do Sejmu w Krakowie. Gowin wygrywa i zastępuje niegdysiejszego kandydata na „premiera z Krakowa".

To czas, gdy Gowin najlepiej czuje się w PO. Platformersi jeżdżą wtedy na rekolekcje do klasztoru Kamedułów na Bielanach. I nawet gdańscy liberałowie zawieszają na chwilę w tamtych latach pozę antykościelnych kpiarzy. Wtedy Gowin wstępuje do Platformy – wcześniej nie był członkiem tej partii.

Naraża się też pewnym kręgom kościelnym, wzywając, by skandal wokół abp. Juliusza Paetza stał się impulsem do wyczyszczenia kurii z „lawendowych mafii". Odsuwają się też od niego dawni mentorzy. W latach 90. Gowin miał z Tadeuszem Mazowieckim bardzo dobre relacje,

eprasa.pl d662d706da

m.in. zaproponował mu w czasie kandydowania byłego premiera w Krakowie korzystanie ze swego wolnego mieszkania. Z czasem jednak Gowin zaczął krytycznie patrzeć na bilans „grubej kreski". Gdy w 2009 r. dziennikarz gazety „Polska. The Times" chciał zapytać Mazowieckiego o Gowina, ten odmówił rozmowy.

Taka już uroda kariery byłego szefa „Znaku". Z biegiem lat rośnie liczba ludzi, których Gowin albo zawodzi, albo których zaskakują jego „twarde łokcie".

Na tym tle ważnym polem satysfakcji było dla niego patronowanie ciekawej i prężnej politycznej młodzieżówce – Klubowi Jagiellońskiemu, który starał się wypracować nowy styl prawicy: wolnorynkowy, ale i umiarkowanie konserwatywny. To z tego kręgu wyjdzie np. późniejszy ambasador RP w Londynie Arkady Rzegocki czy obecna wicepremier in spe Jadwiga Emilewicz.

GOWIN I WILCZE OCZY

Około 2009 r. po raz pierwszy pojawiają się plotki, że ambitny krakus działa Tuskowi na nerwy. Wrogowie Gowina są przekonani, że jego kariera polityczna właśnie się kończy. Jednak poseł pokazuje, że wiele się w parlamencie nauczył. – Potrafię być cynicznym graczem. Bez tego nie da się uprawiać polityki – mówił w jednym z wywiadów z tamtego czasu.

Jednak do rozgrywki między Tuskiem a ministrem sprawiedliwości w jego rządzie w końcu musi dojść. Gdy w 2011 r. lider PO zmienia front i zaczyna sygnalizować gotowość do akceptacji „związków partnerskich", Gowin ogłasza z trybuny sejmowej, że jest to sprzeczne z konstytucją. Blokuje też skutecznie przyjęcie przez Polskę konwencji stambulskiej. Zaczyna się konflikt, w który Gowin wchodzi bez kompleksów. W styczniu 2013 r. w głosowaniu nad projektem ustawy autorstwa klubu PO w sprawie związków partnerskich Gowin, a wraz z nim 46 posłów, głosuje przeciw. Projekt upada.

Wszystko kończy się odwołaniem w kwietniu 2013 r. Gowina przez Tuska. Były minister sprawiedliwości zyskuje wtedy sympatię katolików i biskupów za rzucenie premierowi wyzwania na polu wartości. Po dymisji rywalizuje o szefostwo nad Platformą. Przegrywa z Tuskiem, otrzymuje jedynie 20 proc. głosów. W tej sytuacji podejmuje decyzję o odejściu z partii. Zakłada własny ruch Polska Razem, ale nie odnosi on sukcesu. W 2014 r. przegrywa rywalizację o miejsce w Parlamencie Europejskim. W końcu w 2015 r. wchodzi ze swoim ugrupowaniem do koalicji pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego. Zostaje ministrem nauki i szkolnictwa wyższego oraz wicepremierem w rządzie Beaty Szydło.

Gdy zaczyna się reforma wymiaru sprawiedliwości, sypią się na niego gromy ze strony dawnych kolegów ze środowiska „Znaku". W 2017 r. demonstracyjnie usuwają go ze składu zespołu redakcyjnego pisma. Gowin stara się zaznaczać swój dystans wobec niektórych najbardziej radykalnych posunięć rządu. – Sam parę razy głosowałem, chociaż się z tego nie cieszyłem – przyznał w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną".

W ostatnich latach wydawało się, że stworzył z premierem Mateuszem Morawieckim duet konserwatywnych pragmatyków. Konflikt z Jarosławem Kaczyńskim w sprawie wyborów 10 maja wybuchł dość niespodziewanie. Zaczęło się od pomysłu Gowina przesunięcia wyborów o rok. Finałem tego starcia był poniedziałek 6 kwietnia, gdy w głosowaniach dwóch posłów Porozumienia (w tym sam Gowin) najpierw wstrzymało się od głosu, a w dwóch kolejnych opowiedziało się przeciw korespondencyjnemu głosowaniu. Ostatecznie lider Porozumienia opuścił rząd i został szeregowym posłem. Jego obrońcy z Klubu Jagiellońskiego tłumaczą byłego patrona, że bilans jego decyzji można będzie osądzić dopiero za miesiąc, gdy już dowiemy się, czy do wyborów w maju doszło.

SAMOTNIK

Skąd biorą się problemy Gowina? W największym skrócie można próbować przedstawić je tak – Gowinowi od lat nie udaje się stworzyć własnego skutecznego ugrupowania, a w formacjach szerszych idzie na zwarcie z liderami. Na przykład wygłaszając opinie, które liderzy uznają za kłopotliwe dla aktualnej strategii partii lub za rzucenie wyzwania ich wszechwładzy w partii. „Muszę tracić w partii wiele godzin na gaszenie pożarów, które ty wywołujesz" – tak miał krzyczeć na Gowina Donald Tusk na spotkaniu z klubem Platformy parę miesięcy po tym, jak w Sejmie przepadł projekt PO o związkach partnerskich. Dzisiaj być może podpisałby się pod nimi Jarosław Kaczyński, który niedawno demonstracyjnie zignorował Gowina, gdy ten chciał się przywitać z liderem PiS w Sejmie.

Gdy chodziło o kwestie związków partnerskich czy sprzeciwu wobec wprowadzania do prawa pojęć z ideologii gender, postawa Gowina jako ministra sprawiedliwości budziła sympatię części katolików. Teraz jednak wicepremier wybrał na przedmiot swojego „non possumus" wybory w maju. Jeszcze gdy nie było wiadomo, czy Kaczyński nie zarządzi na 10 maja tradycyjnych wyborów z lokalami wyborczymi, można było zrozumieć zdecydowany opór lidera. Kiedy jednak lider PiS przeszedł na promowanie formuły wyborów korespondencyjnych, Gowin nie zdecydował się na osłabienie swojej determinacji. Mimo że PiS zapalił zielone światło dla jego prób namówienia opozycji do wyborów za dwa lata. Tyle że ten akurat postulat był księżycowy. Jednocześnie nie zdecydował się na odejście z obozu Zjednoczonej Prawicy. A dziś ma z Kaczyńskim zerwane relacje.

A rezygnacja z wyciągania konsekwencji ze swoich wyborów osobistych podważa jego wiarygodność. W rezultacie niespecjalnie szanują go politycy opozycji, a w PiS zaczyna kojarzyć się z kłopotami. Może to cena, jaką muszą płacić ludzie, którzy weszli do polityki w latach 90., aby realizować swoje ideały. W podobny sposób popadł w konflikt z Jarosławem Kaczyńskim w 2007 r. Marek Jurek. Tyle że w polityce pełną swobodę działań w imię wyznawanych wartości gwarantuje tylko własna silna partia. A tej Gowin nie ma. Ba, trudno ocenić nawet, ilu z posłów Porozumienia gotowych jest „w razie czego" na odejście ze Zjednoczonej Prawicy razem ze swoim patronem.

Dominika Wielowieyska w „Gazecie Wyborczej" twierdzi, że Gowin ma prowadzić intensywne konsultacje polityczne z opozycją. Nie w sprawie przedłużenia kadencji prezydenta, bo ten projekt jest całkowicie nierealistyczny, ale tworzenia rządu „technicznego", „tymczasowego", „jedności narodowej". Jeśli to prawda, to lider Porozumienia ma w takiej grze wyjątkowo słabe karty. I jedyna siła, którą mogą skusić takie plany, to PSL walczące o status nowego lidera opozycji. Platforma, a już na pewno Lewica, w tak karkołomne plany raczej nie wejdzie.

W polityce można i powinno się oceniać zdolności polityka do przewidywania konsekwencji swoich działań. Gowin, wykonując polityczne salto mortale, nie zrealizował na razie żadnego z celów swojej politycznej akcji, znacząco za to osłabił zaufanie do swej grupy w Zjednoczonej Prawicy, opozycja go ignoruje. Tak naprawdę nie bardzo wiadomo, dokąd Gowin teraz chce też pójść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Polska jak Bawaria?

Maciej Pieczyński

Głosowanie korespondencyjne oznaczać może wyższą frekwencję i większe bezpieczeństwo w dobie pandemii. Niesie jednak ze sobą także konkretne zagrożenia

Wiele wskazuje na to, że prezydent zostanie wybrany w głosowaniu korespondencyjnym. I w dodatku będzie to jedyna forma udziału w wyborach. Dlatego też, aby zagłosować w ten sposób, nie trzeba będzie składać żadnych dodatkowych wniosków. Każdy uprawniony ma znaleźć w swojej skrzynce specjalny pakiet wyborczy. A w nim – instrukcję do głosowania korespondencyjnego, samą kartę do głosowania oraz do podpisu druk oświadczenia o osobistym i tajnym oddaniu głosu. To wszystko w dniu wyborów należy – samodzielnie lub za czyimś pośrednictwem – wrzucić do specjalnie w tym celu przygotowanej skrzynki nadawczej na terenie gminy. Tak czy inaczej, zdaniem części komentatorów, taka forma głosowania łamie zasadę tajności wyborów. W oświadczeniu o osobistym i tajnym oddaniu głosu trzeba będzie podać numer PESEL. Teoretycznie oświadczenie i karta do głosowania znajdą się w osobnych kopertach. Obie jednak będą umieszczone w jednej, większej kopercie, wrzuconej przez wyborcę do skrzynki. Członek komisji, rozpakowując pakiet wyborczy, może więc teoretycznie sprawdzić, jak który wyborca zagłosował.

– O „tajności" wyborów w głosowaniu korespondencyjnym mówi się tak, jakby było to narzędzie nieznane dotychczasowemu porządkowi ustrojowemu. Tymczasem art. 2 nowej ustawy wskazuje odwołanie do obowiązujących przepisów Kodeksu wyborczego – mówi „Do Rzeczy" mec. Agnieszka Zdanowska, prawnik, wykładowca akademicki. Jej zdaniem ustawa nie tworzy „nowego" prawa, a jedynie odsyła do już obowiązującej normy, rozszerzając krąg osób tą normą objętych. – Dotychczas obowiązującym przepisom znana jest instytucja głosowania korespondencyjnego w przypadku osób niepełnosprawnych – zauważa.

TO NIE NOWOŚĆ

– Głosowanie korespondencyjne nie jest nowością, ale czymś, co jest coraz częściej stosowane na świecie – przekonywał z mównicy sejmowej Krzysztof Sobolewski, który w imieniu PiS prezentował założenia projektu ustawy o szczególnych zasadach przeprowadzenia wyborów prezydenckich. „Ustanowienie trybu korespondencyjnego jedyną formą udziału w wyborach oparte zostało na bawarskim modelu w zakresie wyborów komunalnych i powiatowych" – czytamy w uzasadnieniu projektu. Rzeczywiście, Bawarczycy kilka tygodni temu dali przykład, jak w trakcie kampanii można zmieniać prawo wyborcze, aby dostosować się do warunków szalejącej pandemii. Już pierwsza tura odbyła się częściowo korespondencyjnie. W różnych okręgach o możliwość oddania głosu listownie wnioskowało 30–42 proc. wyborców.

Bawaria to jednak land o największej w Niemczech liczbie ofiar. Z powodu zagrożenia lokalny parlament przed drugą turą zmienił prawo, ograniczając głosowanie wyłącznie do formy listownej. Osoby uprawnione otrzymały wszystkie niezbędne dokumenty pocztą. Każdy musiał osobiście wypełnić swoją kartę do głosowania i podpisać specjalne oświadczenie, a następnie umieścić je w dwóch osobnych kopertach i wysłać przesyłkę do magistratu lub gminy. Ewentualnie – zanieść osobiście do specjalnej skrzynki pocztowej umieszczonej na budynku ratusza. Jak informuje „Deutsche Welle", członków komisji wyborczych obowiązywały nadzwyczajne środki ostrożności. Oprócz obowiązkowego odstępu półtora metra gwarantowano możliwość umycia rąk, dostępne były też jednorazowe rękawiczki i środki dezynfekujące. W części miejscowości albo ograniczono liczbę pomocników komisji, albo w ogóle nie dopuszczono wolontariuszy do liczenia głosów. Te względy bezpieczeństwa sprawiły, że wyniki nadeszły na drugi dzień. Frekwencja wynosiła 51 proc. i była wyższa niż w pierwszej turze. Właśnie dlatego PiS przewiduje, że głosowanie korespondencyjne może zapewnić udział w wyborach jak największej liczbie wyborców.

FOT. ADOBE STOCK

Przykład bawarski może być budujący. Jednakże dla Niemców głosowanie korespondencyjne to już tradycja licząca sobie ponad pół wieku. Po raz pierwszy taką formę zastosowano w wyborach do Bundestagu w 1957 r. Popularność tego rozwiązania stopniowo rosła. Pojawiały się

eprasa.pl d662d706da

też wątpliwości. Z jednej strony taka forma była traktowana jako ułatwienie dla osób starszych, a co za tym idzie – jako czynnik podwyższający frekwencję. Z drugiej strony zdawano sobie sprawę z zagrożenia tajności wyborów. Do 2008 r. trzeba było uzasadnić, dlaczego chce się zagłosować korespondencyjnie. Druga tura wyborów w Bawarii to pierwszy taki przypadek w Niemczech, kiedy głosowanie odbywa się całkowicie korespondencyjnie.

Wyłącznie w takiej formie głosują natomiast mieszkańcy pięciu stanów USA. Łącznie z takiej możliwości można skorzystać w 33 stanach i w Dystrykcie Kolumbii. Karty do głosowania rozsyłane są trzy tygodnie przed wyborami. Jak opisuje „Dziennik Gazeta Prawna", plusem tego rozwiązania w USA są oszczędności oraz wyższa frekwencja, minusem – większe pole do nadużyć. Dwa lata temu trzeba było powtórzyć wybory w jednym z okręgów Karoliny Północnej. Współpracownicy kandydata republikanów kupowali od wyborców puste karty do głosowania. Z kolei w Wielkiej Brytanii, gdzie również stosuje się głosowanie korespondencyjne, wybuchła afera rodem ze scenariusza filmu sensacyjnego. Policja nakryła kilku polityków Partii Pracy w opuszczonej fabryce nad stołem z otwartymi kopertami. W obawie przed nieprawidłowościami z wyborów korespondencyjnych wycofano się we Francji.

CO Z WYMOGIEM POWSZECHNOŚCI

Adwokat Tomasz Chudzinski z Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris jest sceptyczny wobec zaproponowanych przez PiS rozwiązań, wskazuje równocześnie, że wśród współpracowników Instytutu zdania na temat nowych przepisów są podzielone. – Od strony technicznej nie można mieć absolutnej pewności, czy dany głos został oddany rzeczywiście przez konkretną osobę, „Jan Kowalski" nie zagłosował za innych członków rodziny, a inna osoba nie została pozbawiona możliwości oddania głosu – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy". – Takich wątpliwości nie ma w przypadku wyborów w „tradycyjnej" formie. Absolutnie nie zakładam, że może dojść do fałszerstw, niemniej jednak na pewno wybory w takiej formie mogą dawać pole do ewentualnych nadużyć. Z kolei o powszechności wyborów korespondencyjnych trudno mówić w dobie globalizacji. Pakiety wyborcze mają być dostarczone pod adresy figurujące w spisie wyborców. W czasach, gdy coraz częściej zmieniamy miejsce zamieszkania, wiele z tych adresów może być nieaktualnych – mówi mec. Tomasz Chudzinski.

Jego zdaniem warto podkreślić, że w projekcie ustawy przewidziano skrócenie terminu na zgłoszenie się na listy wyborcze do jednego dnia od publikacji ustawy. W przypadku potencjalnego wydłużenia ogólnego zakazu poruszania się na obszarze RP oraz ograniczonej pracy urzędów gminy nie będzie fizycznej możliwości dopisania się do spisu wyborców. To, w połączeniu z wątpliwościami dotyczącymi technicznej możliwości oddania głosów przez Polaków mieszkających za granicą, może spowodować pozbawienie kilkudziesięciu lub kilkuset tysięcy osób możliwości oddania głosu. – Stawia to pod znakiem zapytania, czy zachowany zostanie konstytucyjny wymóg „powszechności" wyborów – twierdzi ekspert Ordo Iuris. Zwraca również uwagę na to, że w ustawie jest wiele zapisów, zgodnie z którymi szczegóły logistyczne będą określane w ministerstwach. – Nie wiemy zatem, jak technicznie będzie przebiegał cały proces, jak będzie przebiegał kolportaż 30 mln kart do głosowania. Nie wiadomo, jak będzie wyglądać zbieranie tych wypełnionych kart. Przy 50-procentowej frekwencji 15 mln kopert z głosami trafi do urn, które z jednej strony będą ogólnodostępne dla głosujących, z drugiej zaś strony – zabezpieczone przed nieuprawnionym dostępem. Jeśli urny miałyby być dostępne w placówkach pocztowych, to przypomnieć należy, że te z powodu epidemii pracują krócej. Nawet poczty „całodobowe" są całodobowymi jedynie z nazwy. Pytanie: W jaki sposób poczta dostarczy te wszystkie głosy do PKW? Czy przekaże je fizycznie, czy też wyśle skany? Wciąż jest wiele niewiadomych – zastanawia się mec. Chudzinski.

– W obecnej sytuacji panują warunki, z jakimi jeszcze żaden z istniejących ustrojów nie miał do czynienia, w konsekwencji dochodzi do kolizji wartości. Z jednej strony na ustawodawcy ciąży obowiązek konstytucyjnej wartości czteroprzymiotnikowych wyborów (powszechne, równe, bezpośrednie, tajne), z drugiej zaś powinność zapewnienia funkcjonowania państwa, w które wpisuje się także zagwarantowanie obywatelom właśnie ich konstytucyjnych praw wyborczych – zauważa mec. Zdanowska. Właśnie ta kolizja wartości może prowadzić do nierozstrzygalnego konfliktu politycznego. Może, ale nie musi. – Moim zdaniem wybory korespondencyjne, de iure, będą tajne – uważa prof. Rafał Chwedoruk z Uniwersytetu Warszawskiego. Politolog nie bierze pod uwagę fałszerstw. – Problem tajności wyborów samorządowych w większym stopniu mógłby dotyczyć niewielkiej społeczności, np. wyborów na poziomie lokalnym. W skali ogólnokrajowej, w XXI w., jakiekolwiek próby nadużyć szybko zostałyby ujawnione. Szczególnie w warunkach panującego w Polsce sporu politycznego. Na szczęście jesteśmy tak podzieleni, że wrogie obozy wzajemnie patrzą sobie na ręce, a najdrobniejsza nieprawidłowość zostaje nagłośniona w blasku fleszy. Mogą pojawić się problemy organizacyjne, np. ktoś wysłał swój głos, a głos nie dotarł – mówi prof. Chwedoruk.

WYNIK BĘDZIE PODWAŻANY?

– Konstytucyjność głosowania będzie zapewne podważana również dlatego, że zmiany wprowadzane są w toku kampanii wyborczej – twierdzi mec. Chudzinski. Opozycja wypomina rządzącym rozstrzygnięcie Trybunału Konstytucyjnego, zgodnie z którym w trakcie kampanii wyborczej nie powinny być wprowadzane poważniejsze zmiany w prawie wyborczym. PiS, w odpowiedzi, zwraca uwagę na to, że decyzja TK nie odnosiła się do zmian technicznych. – Jednak wprowadzenie głosowania wyłącznie korespondencyjnego, nawet jeśli jednorazowo, to sprawa fundamentalna, nie zaś techniczna. Przeforsowane zmiany zasadniczo wpływają na proces wyboru – mówi ekspert Ordo Iuris, zastrzegając przy tym, że to jego prywatna opinia, a nie stanowisko Instytutu.

Jak wiadomo, ważność wyborów stwierdza Sąd Najwyższy. A konkretnie: Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. – Wszyscy członkowie tej izby zostali powołani za czasów PiS. Z pewnością zatem jej orzeczenie będzie tym bardziej podważane przez opozycję, która przecież nie chciała się zgodzić na samą formę korespondencyjną wyborów – mówi adw. Tomasz Chudzinski.

Profesor Chwedoruk zauważa, że zamieszanie wokół głosowania korespondencyjnego dowodzi, jak bardzo polska polityka pełna jest paradoksów. – PO, która była entuzjastycznie nastawiona do tej idei, dziś krytykuje jej wykonanie przez PiS. Z kolei PiS, zawsze sceptyczny wobec wyborów korespondencyjnych, został zmuszony do ich przeprowadzenia – mówi politolog z UW.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Fiasko cyfrowej szkoły

Łukasz Zboralski

Przez dekady urzędnicy zmarnotrawili setki milionów złotych na „cyfryzację" polskiej szkoły. Dzisiaj – jak nigdy wcześniej – czujemy tego skutki

Gdy w związku z pandemią szkoły zostały zamknięte, błyskawicznie zaczęły się problemy. Po pierwsze, wyszło na jaw, że nie ma dobrego polskiego narzędzia do prowadzenia nauczania na odległość. Nie ma też żadnych dobrze zbudowanych zasobów edukacyjnych w sieci. Z braku takiego miejsca w większości szkół próbowano do tego wykorzystać narzędzie dostarczane placówkom przez prywatne podmioty – czyli np. elektroniczny dziennik Librus Synergia. Ten, przy tak wielkim obciążeniu, nie działał jednak stabilnie.

Po drugie, okazało się, że uczniowie i nauczyciele czasem nie dysponują w ogóle sprzętem pozwalającym na korzystanie z lekcji w sieci. Po trzecie wreszcie, w obliczu tych wszystkich trudności większość nauczycieli zachowywała się jak zagubiona we mgle. Nauczanie często sprowadzono jedynie do przesyłania uczniom zadań do samodzielnej realizacji. I ewentualnego ich sprawdzania. Pedagodzy stali się więc bardziej nadzorcami samokształcenia niż nauczycielami. Mało z nich wpadło na to, że choć narzędzi nie ma, to można uczniom zaproponować lekcje choćby w formie filmików zamieszczanych na istniejących platformach, takich jak YouTube, Facebook czy komunikatorów typu Skype.

Dla kogoś, kto śledził, jak przez dekady „cyfryzowano" polską szkołę, to wszystko nie jest zaskoczeniem. Kupowanie sprzętu, tworzenie narzędzi informatycznych i szkolenia nauczycieli w Polsce mogą być pokazywane jako przykładowy model marnotrawienia publicznych pieniędzy. Jako zły przykład tego, jak poza dobrem publicznym liczą się zupełnie inne dobra.

Dlaczego jednak wszyscy przymykali na to oko i dlaczego nikt za to nigdy nie odpowiedział?

PORTAL KOMPROMITACJI ZA 38 MLN ZŁ

Skoro nauczyciele z bezradności rzucili się do przesyłania prac na Librusie – i to często kartek do wydrukowania w domu! – można by uznać, że w ogóle nie istnieje portal internetowy, z którego mogliby skorzystać. On, niestety, istnieje. Niestety – bo to koszmar stworzony jako projekt w ramach rządowego programu „Cyfrowa szkoła".

Na portal Scholaris.pl, który miał być centralnym miejscem cyfrowych zasobów do edukacji w Polsce, wydano z publicznych pieniędzy, w tym dofinansowania z UE, 14,8 mln zł. Stworzył go podlegający resortowi edukacji Ośrodek Rozwoju Edukacji (wcześniej nazywający się Centralnym Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli). Projekt rozpoczęto 1 kwietnia 2009 r., czyli za czasów pierwszego rządu Donalda Tuska, a zakończono za czasów drugiego jego rządu – bo w grudniu 2013 r. Ministrami edukacji byli wówczas najpierw Katarzyna Hall, a potem Krystyna Szumilas.

Warto zauważyć, że portal nie powstał od zera, a była to modernizacja już wcześniej istniejącej strony internetowej – która jako internetowe zasoby dla nauczycieli została uruchomiona w 2004 r. i sfinansowana w ramach realizacji Programu Aktywizacji Obszarów Wiejskich (PAOW) na lata 2000–2005. Potem jeszcze go modernizowano trzykrotnie (w ramach: Sektorowego Programu Operacyjnego Rozwój Zasobów Ludzkich na lata 2004–2006 (SPORZL); zadań zleconych Centralnemu Ośrodkowi Doskonalenia Nauczycieli w latach 2008–2009 i w ramach POKL na lata 2007–2013). W sumie więc, jak wyliczyła potem NIK w raporcie z kontroli, na ten serwis internetowy polskie władze wydały blisko 40 mln zł!

Jak zmarnotrawiono te pieniądze, może zobaczyć dziś każdy. To strona internetowa, w której nagromadzono mnóstwo „zasobów" jako pojedynczych publikacji. Część to śmieci, w ogóle nieprzydatne. Na przykład dumnym „zasobem" jest tam fotografia pałacu. Teoretycznie nauczyciel może w serwisie sortować zasoby, ale… jakoś nie zauważono reformy edukacji i są one posegregowane m.in. w kategoriach „Szkoła podstawowa kl. 4–6" oraz „Gimnazjum". Czy kogoś dziwi, że nauczyciele dziś tam nawet nie klikną?

Zresztą wiadomo, że portal był w nikłym stopniu używany od początku. Złamano nawet zasady projektu i nie dokonano jego oceny (to też wytknęła NIK). Te miały bowiem ujawnić wskaźniki – m.in. to, czy udało się sprawić, że korzystają z serwisu miliony użytkowników. Oczywiste jest, że ORE i MEN wolały tego nie pokazywać. Dyrektor Departamentu Podręczników, Programów w MEN tłumaczył w 2016 r. kontrolerom NIK, że zapis o ewaluacji portalu pozostawiono we wniosku o jego dofinansowanie... omyłkowo.

Według wyrywkowej kontroli NIK w 30 szkołach, po 13 latach inwestowania w Scholaris, nauczyciele korzystali z jego zasobów w niecałych 5 proc. lekcji z wykorzystaniem technologii informacyjno-komunikacyjnych.

JAK ZNIKNĄŁ PAŃSTWOWY E-DZIENNIK

W czasie, gdy komercyjne e-dzienniki nie wyrabiają się z obsługą zdalnego nauczania w Polsce, trzeba też przypomnieć, że w ramach ministerialnego portalu

eprasa.pl d662d706da

Scholaris miał powstać państwowy e-dziennik, darmowy dla szkół. Dlaczego więc dziś szkoły wykorzystują komercyjne narzędzia, których wdrożenie i utrzymanie kosztowało w latach 2013–2016 w sumie ponad 4,5 mln zł? Bo choć ORE zamówił funkcjonalność dziennika elektronicznego w portalu i za to zapłacił (potwierdzone protokołem odbioru prac za 1,3 mln zł z 4 czerwca 2013 r.), to tej funkcji nigdy nie uruchomiono. Chociaż jeszcze w 2016 r. wiceminister edukacji Maciej Kopeć obiecywał NIK, że MEN „podejmie działania w celu jego wykorzystania".

Pieniądze roztrwoniono nie tylko na sam portal MEN. W Polsce wydano też mnóstwo na szkolenia m.in. 50 mln zł z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na szkolenie „umiejętności cyfrowych" nauczycieli z całej Polski. ORE szkoliło też w 2019 r. samorządowców z tego, jak rozwijać kompetencje cyfrowe uczniów oraz nauczycieli oraz z tego, jak wykorzystać e-zasoby w nauczaniu i uczeniu się. Jak te kompetencje po szkoleniach wyglądają, widzimy dziś, gdy polska szkoła musiała działać zdalnie. To najlepsza ewaluacja tych programów.

A przecież portal i szkolenia to tylko wierzchołek góry lodowej zwanej „Cyfrową szkołą". W ramach tego rządowego programu m.in. kupowano dla szkół komputery, których uczniowie potem nie mogli zabierać do domów nawet wtedy, gdy były to laptopy. Kupowano też masowo tablice multimedialne.

Można było przecinać wstęgi w nowych pracowniach komputerowych. Tyle że – jak wykazało potem badanie Instytutu Badań Edukacyjnych – samo wstawienie sprzętu do klas nie załatwiło niczego i wpływ na efekty nauczania dzieci oceniono jako niezauważalny, statystycznie pomijalny. Jedynym realnym zyskiem z tego programu był więc zysk dostawców sprzętu. Owszem, bez narzędzi nie da się w ogóle pracować cyfrowo, ale sam sprzęt nie uczy dzieci.

Dodajmy do tego zły od początku pomysł „cyfrowych podręczników" – bo zamiast nich trzeba było właśnie budować dobre zasoby edukacyjne – których zresztą nie umiano właściwie wykonać i projekt niemiłosiernie przedłużano.

FOT. ADOBE STOCK

TVP NA RATUNEK

To wszystko doprowadziło nas do tego, że w sytuacji największej potrzeby zostaliśmy w Polsce z niczym. Dziurę tę próbowała od razu załatać Telewizja Polska. Udało się średnio. Do prowadzenia lekcji w telewizji zagoniono nauczycielki, które zanotowały kilka spektakularnych wpadek, narażając się już nie tylko na uwagi, lecz także na regularny hejt.

Tymczasem, jak ustaliło „Do Rzeczy", znów nie zadziałał system. Nauczycielki poproszone o prowadzenie jednej lekcji i do niej przygotowane, na nagraniach były zaskakiwane prośbą o natychmiastowe dodanie dwóch, trzech kolejnych zajęć. Uczniowie siedzieli w domach, trzeba było działać szybko, więc improwizowały. Jednak nagrania w Białymstoku – bo tam doszło do największych merytorycznych wpadek – oglądały dwie metodyczki, które na co dzień w ramach swojej pracy kontrolują prace szkół. Nie zareagowały na błędy. To wiele mówi o kompetencjach nadzoru nad szkołami w Polsce, ale to temat na inną, dłuższą rozprawę.

W dodatku TVP umożliwiła pracownikom kuratoriów obejrzenie nagrań programów przed emisją. Mieli salę, sprzęt. Lecz – jak wynika z naszych informacji – posiedzieli tam krótko i zabrali się do domów.

Efekt jest taki, że nauczycielki, które próbowały pomóc w nauczaniu dzieci odciętych od lekcji, zostały pozostawione same sobie. Błędy, które popełniły, wytyka się im w sieci do dziś. Czasem przybiera to nawet postać wulgarnych przeróbek. To dla nich osobisty dramat. Do tego stopnia, że TVP zapewniła im pomoc psychologów i trudno dziś znaleźć kolejne osoby, które w telewizji mogłyby uczyć dzieci. Telewizja wciąż jednak nagrywa programy i stara się robić to coraz lepiej, aby uniknąć poprzednich błędów.

Cała złość ludzi skupiła się więc nie na tych, którzy marnotrawiąc publiczne miliony, doprowadzili do takiej sytuacji, lecz na tych, którym te miliony miały nauczanie ułatwić, a którzy z własnej woli mimo wszystko próbowali coś z tym zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Przekręt na koronawirusa

FOT. ADOBE STOCK

Radosław Wojtas

Pukają do mieszkań, dzwonią, wysyłają SMS-y i e-maile, tworzą fałszywe strony internetowe... Przestępcy żerujący na strachu przed COVID-19 wykorzystują każdą drogę do portfeli ludzi, którzy w czasie pandemii stają się dla nich łatwym łupem. Są przy tym bezczelni i bardzo pomysłowi

Rankiem 31 marca do starszej mieszkanki Bydgoszczy zadzwonił telefon. Głos w słuchawce ostrzegał, że w pobliżu znajdują się przestępcy, którzy chcą ją okraść. Do zadania przygotowali się doskonale – poznali zwyczaje ofiary, podrobili nawet jej dowód osobisty. Wiedzą też, że starsza pani nie ufa bankom i woli trzymać oszczędności przy sobie. – Ma pani szczęście, policja zabezpieczy pieniądze – przekonywał telefonujący „funkcjonariusz". Jednak ze względu na koronawirusa trzeba zachować środki ostrożności. Nikt po gotówkę nie przyjdzie, banknoty trzeba też zdezynfekować. Dlatego pieniądze zostawi pani w śmietniku przy zamkniętym placu zabaw. Policja odbierze, odkazi, wszyscy będą bezpieczni. Nietypowe procedury? Może i nietypowe, ale i czasy dziwne, skoro nie można porozmawiać twarzą w twarz, a pieniądze trzeba odkażać.

Tego samego dnia po południu identyczny scenariusz powtórzył się w przypadku starszego mieszkańca Bydgoszczy. Mężczyzna na prośbę fałszywego policjanta zostawił oszczędności w wiacie śmietnikowej. Seniorzy stracili łącznie prawie 100 tys. zł.

WIRUS W DOMU

Przestępcy sięgają po stosowane od lat metody, dostosowując je do warunków pandemii. Policjant nie przyjdzie po pieniądze, bo nie warto ryzykować zakażenia. Wnuczek czy inna osoba z rodziny w zmodyfikowanym scenariuszu nie uległa wypadkowi, ale jest izolowana w szpitalu z powodu COVID-19. Stan jest poważny, terapia wymaga pieniędzy. – Czy mamy kontynuować leczenie? – pytają oszuści, nie dając ofierze wiele czasu na zastanowienie się.

Paradoksalnie, w obecnej sytuacji, gdy ludzie powinni się izolować i nie opuszczać bez potrzeby swoich domów, przestępcom może być nawet łatwiej dostać się do mieszkań swych ofiar. Podszywają się pod osoby budzące zaufanie, np. pracowników służb sanitarnych. Jedną z najbardziej zuchwałych metod z ostatnich tygodni jest ta na dezynfekcję mieszkania. Przestępcy dzwonią do drzwi odziani w kombinezony ochronne, wyposażeni w sprzęt i środki mające służyć do dezynfekcji. Ofiara sama wpuszcza złodziei do domu, a płacąc za usługę z góry – na co nalegają oszuści – zdradza, gdzie w pierwszej kolejności powinni zajrzeć złodzieje. Przed przystąpieniem do dezynfekcji domownicy są wypraszani z mieszkania, bo użyte chemikalia mogą być dla nich szkodliwe. W tym czasie złodzieje plądrują lokal, a po skończonej usłudze proszą, by jeszcze przez jakiś czas nie wchodzić do środka. Kiedy środki odkażające, które okazują się albo zwykłą wodą, albo czymś zostawiającym dla zmylenia nieco „chemiczny" zapach wietrzeją, złodzieje mają mnóstwo czasu na ucieczkę.

WIRUS W SIECI

W czasie pandemii COVID-19 zwiększyła się aktywność cyberprzestępców. „W roku 2019 prowadziliśmy działania w sprawie 224 fałszywych stron logowania do Facebooka, a od początku roku 2020 mieliśmy już 236 przypadków" – informuje CERT Polska, czyli specjalny zespół powołany do reagowania na zdarzenia naruszające bezpieczeństwo w Internecie. Jak kradnie się takie dane? Tworząc strony łudząco podobne do popularnych portali informacyjnych i przyciągając chwytliwymi tytułami, co w dobie powszechnego strachu przed wirusem nie jest trudne. Kiedy już ofiara połknie haczyk, zostaje poproszona o zalogowanie się poprzez swoje dane z Facebooka, aby mogła np. obejrzeć załączony do artykułu film. Przejęte konta na portalach społecznościowych mogą posłużyć przestępcom w rozmaity sposób, np. do wyłudzania pieniędzy od znajomych ofiary.

– Im temat bardziej medialny, tym łatwiej się pod niego podłączyć przestępcom.

eprasa.pl d662d706da

Jesteśmy zalewani potokiem informacji zarówno tych złych, jak i dobrych. Przestępcy żerują na tych nastrojach, produkując własne informacje i prowadząc zwabionych internautów przez zaplanowany przez nich przekręt. Przestępcy w Internecie działają cały czas. To nie jest tak, że przyczajeni w ukryciu czekają na jakieś wyjątkowe okazje do swojej działalności. Należy jednak zaznaczyć, że stan pandemii jest przez nich wykorzystywany do zwiększenia skali swoich działań – mówi „Do Rzeczy" Sebastian Kondraszuk, ekspert z Zespołu Analiz Bieżących Zagrożeń CERT Polska.

Ataki cyberprzestępców często zaczynają się od niepozornej wiadomości. Na przykład takiej treści: „Z powodu dezynfekcji przesyłka nr 002877399111 wymaga dopłaty 1,20 zł. Opłać, aby otrzymać dostawę". Dokładnie taką wiadomość otrzymała w połowie marca 29-latka z Białegostoku. Klikając w link, została przekierowana do fałszywej bramki płatności. Kobieta podała tam login i hasło do banku, dzięki czemu przestępcy zalogowali się na jej konto i ustawili przelew wychodzący na 35 tys. zł. Brakowało im jeszcze tylko kodu autoryzacyjnego wysłanego przez bank SMS-em do klientki, ale i ten białostoczanka podała na stronie stworzonej przez cyberprzestępców. Nie przeczytała dokładnie wiadomości i autoryzowała przelew. Zniknięcie z konta 35 tys. zł zauważyła po chwili i tylko dzięki szybkiej interwencji policji transakcję udało się zatrzymać, zanim pieniądze zaksięgowały się na rachunku złodziei.

Przestępcy sięgają po różne socjotechniki. W niektórych wiadomościach chcą przestraszyć (np. informując, że z naszego konta właśnie znika tysiąc złotych na specjalną rezerwę), w innych zachęcają do częściowo refundowanych szczepień przeciw koronawirusowi (trzeba zapłacić z góry 70 zł), w jeszcze innych informują o przysługujących nam racjach żywnościowych. Każda z takich wiadomości zachęca do kliknięcia w niebezpieczny link. – Nie chciałbym dawać pomysłów, ale niewątpliwie możemy spodziewać się dalszego obrabiania tego tematu w takich obszarach jak choćby dopłaty dla przedsiębiorców, fali bankructw czy nawrotów epidemii. To są tematy, które mają nas zaintrygować i zachęcić do jakiegoś kliknięcia, jakiegoś wpisania swoich danych – mówi Sebastian Kondraszuk, dodając, że od 13 marca CERT Polska obsługiwał 30 spraw, w których wykorzystywany był motyw koronawirusa, a zgłoszeń wymagających podjęcia interwencji wpłynęło blisko 2 tys.

Cyberprzestępcy atakują też systemy informatyczne szpitali i firm medycznych zajmujących się walką z koronawirusem. „Ogólna liczba cyberataków na szpitale, laboratoria i centra medyczne rośnie. […] Operatorzy oprogramowania szyfrującego dla okupu Ryuk ostatni raz zaatakowali 26 marca. Ich działania były wymierzone w jednego z dostawców opieki medycznej w USA, gdzie liczba infekcji koronawirusem wyprzedziła już Włochy i Chiny. Związany z firmą SentinelOne Vitali Kremez twierdzi, że w ciągu ostatniego miesiąca odnotowano już 10 ataków na amerykańskie szpitale jedynie z użyciem tego ransomware" – podaje portal Niebezpiecznik.pl. Przestępcy paraliżują systemy IT szpitali, a za ich odblokowanie żądają okupu. W sytuacji, gdy służba zdrowia w wielu krajach działa na granicy wytrzymałości, takie ataki są szczególnie niebezpieczne.

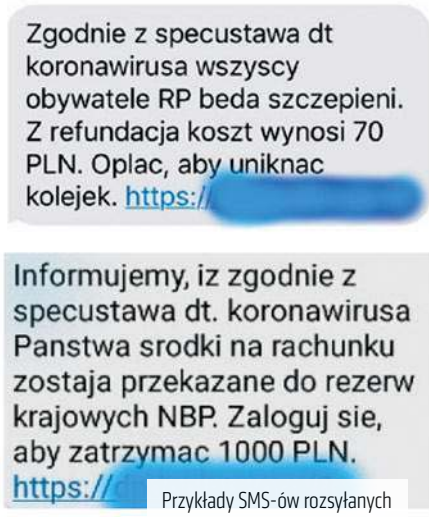

Przykłady SMS-ów rozsyłanych przez przestępców

Nieco w cieniu tych wszystkich cyberzagrożeń pozostaje jeszcze jedna kwestia. – Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na najbardziej bezbronnych spośród ofiar. Jestem bardzo zaniepokojona wzrostem wykorzystywania seksualnego dzieci w Internecie – alarmowała niedawno Catherine De Bolle, dyrektor wykonawczy Europolu.

SIARA BYDLĘCA I DIAGNOZA PRZEZ SŁUCHAWKI

Bardzo szybko interes na strachu przed COVID-19 zwietrzyli sprzedawcy różnych specyfików i terapii. Reporter programu „Uwaga!" wybrał się do centrum naturoterapii oferującego test na obecność koronawirusa. „Zakłada się słuchawki. Zajmuje to parę sekund" – został poinformowany. Wynik negatywny, koronawirusa brak. Miejscom oferującym podobne usługi i wątpliwego działania substancje oraz produkty przygląda się Biuro Rzecznika Praw Pacjenta. – Staramy się odnajdywać takie przypadki praktyk, które naszym zdaniem mają wymiar pseudomedyczny, kiedy bez żadnych dowodów, bez żadnych wskazań naukowych reklamuje się różne produkty i usługi jako mające zapobiegać zakażeniu koronawirusem czy je leczyć. Tak reklamowane bywają np. tlenoterapie czy ozonoterapie, wlewy witaminowe. Mieliśmy przypadek oferowania jako remedium na koronawirusa siary bydlęcej [czyli mleka od krowy tuż po urodzeniu cielaka – przyp. red.]. Na razie skierowaliśmy do Prokuratury Krajowej oraz UOKiK kilka zawiadomień z prośbą o podjęcie działań – mówi Tomasz Młynarski, zastępca dyrektora departamentu prawnego Biura Rzecznika Praw Pacjenta. Jedna z firm, których dotyczy zawiadomienie, jest wpisana do rejestru podmiotów wykonujących działalność leczniczą. – Tam podjęliśmy dodatkowo postępowanie wyjaśniające z naszej strony w sprawie podejrzenia praktyki naruszającej zbiorowe prawa pacjentów – dodaje Tomasz Młynarski.

Jako że o niektóre produkty wysokiej jakości – takie jak maseczki czy rękawice – na rynku trzeba wręcz walczyć, pojawiają się także oszustwa przy ich sprzedaży. Jedna z francuskich firm straciła 6,64 mln euro, bo zapłaciła z góry za dostawę maseczek oszustowi, który podszył się pod legalnie działające przedsiębiorstwo. W Polsce ofiarami oszustów padały nawet osoby, które chciały kupić sprzęt po to, aby przekazać go szpitalom. Pod koniec marca aresztowano kobietę i dwóch mężczyzn, którzy oferując sprzedaż maseczek, rękawiczek, kombinezonów ochronnych i płynów antybakteryjnych oszukali ponad 200 osób i podmiotów gospodarczych na blisko 70 tys. zł.

– Niestety, tych udanych prób ciągle jest zbyt dużo. Nasze doświadczenie pokazuje, że nie istnieje coś takiego jak górna granica tego, co można stracić. Na pewno nie jest tak, że atakujący po uzyskaniu dostępu do pieniędzy rozejrzy się, a potem zadecyduje: „Wezmę tylko połowę" – mówi Sebastian Kondraszuk z CERT.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Boski Rafael

[W 500-LECIE ŚMIERCI]

J.-A.-D. Ingres, „Rafael i Fornarina w pracowni" (1848)

Eugène Delacroix: *„Był Rafael największym z malarzy"* (1830)

Józef Pankiewicz: *„Słusznie zwano Rafaela «Boskim» – «Divino»"* (1932)

eprasa.pl d662d706da

Waldemar Łysiak

Umierając w Wielki Piątek 6 kwietnia 1520 roku Rafael miał równo 37 lat, gdyż ten dzień stanowił 37. rocznicę jego narodzin. Trwająca wieki legenda mówiła, że zmarło mu się tak młodo przez umiłowanie seksu. Według XVI–wiecznego kronikarza sztuki renesansowej, Giorgia Vasariego, miał wracać zimną nocą od kochanki, jeszcze spocony i rozpalony, a wiatr wysmagał go śmiertelnie, powodując *„febrę rzymską"*. Prawda była inna, żadne ekscesy erotyczne, tylko bieg do Watykanu na pilne wezwanie papieża Leona X. Wpadł tam zziajany, spocony, mokry, a przeciąg hulający po watykańskich salach zrobił swoje. Gorączkę, anginę, zapalenie płuc (et cetera) ówcześni medycy leczyli puszczając krew choremu. To dobiło Rafaela.

Śmiertelny bóg umierał w swoim rzymskim *„pięknym domu"* (pałacu na Borgo Nuovo, który kupił za 3600 sztuk złota). Zdążył spisać testament. Przyjaciele postawili obok śmiertelnego łoża **„Przemienienie"**, i grupki znajomych schodziły się, aby oddać hołd zmarłemu. Leon X płakał, cały Rzym płakał. Z wielkimi honorami pochowano Rafaela w Panteonie. Mówi się, że terminowo, bo *„stary Rafael jest równie trudny do wyobrażenia jak zgrzybiały Adonis"* (Peter Meyer, 1969); mówi się tak już parę wieków (Eugène Delacroix: *„Umarł w najwłaściwszym momencie, by zapewnić sobie niezniszczalną chwałę"*, 1830).

Ta *„niezniszczalna chwała"* to uczestnictwo w triumwiracie stanowiącym absolutny wierzchołek malarski klasycznego Renesansu. Michelangelowskie **„Stworzenia Adama"**, Leonardowska **„Gioconda"** i Rafaelowska **„Madonna Sykstyńska"** są punktami szczytowymi renesansowej włoskiej *„sztuki pędzla"* — *„nec plus ultra"* wedle powszechnej opinii. Z którą trudno dyskutować, nawet gdy się woli inne dzieła tej trójki geniuszów. Różnych nie tylko technicznie (warsztatowo), lecz i charakterologicznie tudzież erotycznie, gdyż Raffaello Santi (vel Sanzio) był — w przeciwieństwie do tamtych dwóch — heteroseksualnym mężczyzną. Miał urodę cherubina (damy mówiły o nim: *„Piękny Santi"*, *„Bosko piękny"*, itp.), ujmujący sposób bycia i naturalną łatwość zawiązywania koleżeńskich bądź przyjacielskich związków. Co prawda rzadko opuszczała go melancholia, jednak i wówczas, kiedy go dręczyła, potrafił bez trudu przywdziać maskę birbanta uśmiechniętego, zniewalającego inteligencją plus czarującą grzecznością, czyli osobistym wdziękiem. Sumując: *„latin lover"* — wiotki, słodki, modnie odziany i ufryzowany, rozmarzony, „nieobecny", baby to uwielbiają, a do tego sławny i zamożny, trudno się więc dziwić, że również *„kobiety stateczne"* wyrzucały dlań za okno swoją stateczność. Po salonach i ulicach Rzymu gadano: *„ — Piękny, szczęśliwy we wszystkim człowiek — piękna sztuka, piękny dom, piękne niewiasty"*. Po konkurencyjnych pracowniach sarkano, że jako artysta ma takie wzięcie, iż nie nadąża z angażowaniem *„uczniów"* (współpracowników, pomagierów — czasami było ich aż pięćdziesięciu!).

DOSKONAŁOŚĆ CZY ŁADNOŚĆ?

Każdy malarski geniusz popełnia techniczne błędy. Robił je i Rafael. Ale geniusze błądzą elegancko (Delacroix: *„Rafael kuleje z wdziękiem"*). Grzech główny? André Félibien: *„Rafael kiepsko znał gradację świateł i owo słabnięcie kolorów, które wywołuje warstwa powietrza (...) Figury w głębi obrazu są u niego prawie równie wyraźnie zaznaczone jak te na pierwszym planie obrazu"* (1666). Rzeczywiście — perspektywa linearna (zbieżna) jest u Rafaela doskonała, lecz jego barwnej i powietrznej perspektywie sporo brakuje, były *„piętą Achillesową"* Santiego. Nie wyłączną. A jednak stworzył sztukę, której przypina się metkę najwyższej jakości. André Malraux: *„Rafael Santi to pierwszy chrześcijański malarz, którego sztukę wyraża i symbolizuje słowo doskonałość"* (1957).

Autoportret (1510)

Przeciwnicy maniery Rafaelowskiej zawsze woleli nieco sceptyczne słowo *„ładność"*. Dzisiaj, gdy dominuje powszechna ignorancja wobec malarstwa klasycznego, *„wykształciuchy"* szpanują uwielbieniem dla Impresjonistów, Postimpresjonistów i wszelakich Modernistów, zostawiając *„ładność Rafaela"* prostaczkowi i dewotowi (obrazki komunijne). Jakby nie można było równocześnie cenić van Gogha i Rafaela. Znany niemieckojęzyczny historyk sztuki Peter Meyer stanowi wzór dwuznacznego czapkowania Santiemu (obowiązek) i jednoczesnego atakowania go od tyłu (przyjemność): *„Styl klasyczny równa się: Rafael. Doskonałość zakochana w sobie miłością Narcyza. Akuratność wprost obezwładniająca. Stanowiąca wierzchołek kusicielka, bardzo niebezpieczna dla naśladowców, wszystkich tych epigonów beznadziejnie ścigających ideał, któ-*

„Przemienienie", fragment (1519)

eprasa.pl d662d706da

„Madonna z Dzieciątkiem" (1504)

ry wyznaczył kryteria ł a d n o ś c i, uzależniając wartość malarstwa od piękna prezentowanych figur (...) Fizjonomiczna uroda Rafaelowskiej ludzkości jest trudna do zniesienia: porażająco głupiutkie i zarozumiale urodziwe Madonny, starannie trefieni i rozkołysani w biodrach młodzieniaszkowie, mężczyźni o rzadkich bródkach przypominający eunuchów", etc., etc. Protestancka antyMaryjność zaprzęgnięta do historiografii sztuki recenzencko.

Koneserom, których drażni *„doskonałość"* lub *„ładność"* dzieł Rafaela, ludziom, dla których formy jego sztuki są nazbyt nieskazitelne, przez co aż nudne, niczym rzeźba jaja — wielbiciele geniusza ripostują, że te formy są królewsko wzniosłe (Delacroix: *„Wzniosłość, wyrażająca się u Rafaela w liniach i w majestacie bohaterów"*), pełne wdzięku (włoskie określenia wdzięku — *„grazia"* i *„venustà"* — do niczego nie pasują lepiej niż do Rafaelowskiej maniery), wreszcie są przesycone bajeczną harmonią wszystkich składowych elementów, jak u perfekcyjnego reżysera–montażysty filmowego. Łącznie — są po prostu arcyurodziwe, urzekające, zniewalające; Aleksander Puszkin nie bez przyczyny nazwał **„Madonnę Sykstyńską"** *„wizją czystego piękna"*. Gdy zsumujemy wszystkie zalety Santiego (idealny rysunek, świetny koloryt, pyszna harmonia, bezbłędna reżyseria) — łatwo jest nam zrozumieć czemu jego sztuka stanowiła *„régle de beauté"* (kanon klasycznej wirtuozerii Renesansu) dla naśladowców, admiratorów i komentatorów kilku epok (jeszcze w wieku XIX akcje Rafaela stały rekordowo wysoko na giełdzie publicznej i scjentycznej, dopiero ze schyłkiem tego stulecia zaczął je osłabiać Modernizm). Wspomniani naśladowcy sprawili (przez masowość swej produkcji trwającej kilkaset lat), iż krytykowano Rafaela także jako *„ojca akademizmu"* (Lionello Venturi parował ten zarzut: *„Rafael bez wątpienia był ojcem sztuki akademickiej, lecz sam akademikiem nie był"*, 1947). Prędzej już można przypisywać mu eklektyzowanie, czerpanie ze stylów wcześniejszych, ale była to typowa dla mistrzów Renesansu wszechstronność wykorzystywania wpływu źródłowego — Richard Muther zwał to *„zjednoczeniem stylów u Rafaela"*, tłumacząc, że *„jego eklektyczność stała się genialnością"* (1901).

ŁATWOŚĆ PLUS EUKLIDESOWOŚĆ

Ciekawostka: Watykan chciał zrobić Rafaela księciem Kościoła, kardynałem. *„Księciem malarzy"* nie uczynili go belfrowie (pierwszym był ojciec, Giovanni Santi, później Timoteo della Vite, wreszcie mentor najważniejszy, Perugino), bo taki herb daje ingerencja wyższa, ręka Boga lub Losu, a belfrowie ziemscy dają tylko malarski warsztat, technikę pędzla oraz technologię (gruntowanie desek i płócien, wytwarzanie i dobieranie pigmentów, itp.). Reszta to talent plus pracowitość. Miał (wzorem innych geniuszy) talent wrodzony, jakąś instynktowną, nadludzką łatwość malowania (Hermann Grimm: *„Rafael tworzył mimo woli, jak przyroda"*; Józef Ignacy Kraszewski: *„Rękę jego wiodło jakieś mistyczne natchnienie"*; Delacroix: *„Wszystko u niego nosi piętno łatwości"*). Z równą łatwością kreował wielkie panoramiczne kompozycje freskowe oraz intymne portrety. Nagość czy stroje kardynałów, sacrum czy profanum, nic nie wyciskało mu potu rzemieślnika. Drugoligowcy też to miewają, ale łatwość urodzonego geniusza różni się od łatwości pacykarzy i grafomanów. Jedną różnicę dobrze wyraził Delacroix: *„U wielkiego mistrza łatwość nie jest główną zaletą i stanowi dlań tylko środek, gdy dla przeciętnych artystów jest ona celem"*. To prawda, lecz ważniejszą różnicę stanowi coś innego — rodzaj łatwości. Łatwość arcymistrza jest rutyną rozwijającego się arcytalentu, gdy łatwość pacykarza jest dyletanckim zadufaniem. Wielbiciele pędzla Michała Anioła, wrogowie Rafaela (głównie rzeźbiarze), zarzucali Santiemu, iż *„zubaża swą sztukę zbyt łatwą manierą"*, na co Lodovico Dolce słusznie ripostował (**„Dialogo della Pittura..."**, 1557): *„Mówić tak, oznacza nie wiedzieć, że łatwość jest szczytowym znamieniem doskonałości w każdej ze sztuk — jest najtrudniejszą do osiągnięcia sztuką ukrywania sztuki..."*.

Ze wspomnianym wyżej Michałem Aniołem, głównym rywalem współczesnym mu, zderzył się Rafael bezpośrednio wewnątrz Watykanu. Obaj w tym samym czasie (1509–1511/1512) malowali tam swe sztandarowe, formatowo olbrzymie freski: Buonarroti pokrywał farbą sklepienie Kaplicy Syskstyńskiej, a Santi ściany *„stanz"* (prywatnych komnat papieża). Ten pierwszy wygrał ów mecz, dlatego że malował samodzielnie, gdy ten drugi zatrudnił do współpracy grupę *„uczniów"*. Jednak czołowa z tych robót Rafaela — **„Szkoła Ateńska"** (576 × 817 cm, Stanza della Segnatura) — nie ustępuje rangą artystyczną **„Stworzeniu świata"** Buonarrotiego: ten fresk jest zasłużenie

„Szkoła Ateńska" (1511)

eprasa.pl d662d706da

jednym z godeł już nie tylko renesansowego malarstwa, lecz całego Renesansu jako kierunku. Ożenił tu Santi pędzlem to wszystko, co gromady ideologów tamtego czasu żeniły piórami: starożytność ze współczesnością, pogaństwo z chrześcijaństwem, naukę, sztukę i filozofię antyczną z nauką, sztuką i filozofią renesansową, ukazując Platona, Sokratesa, Arystotelesa, Alcybiadesa, Parmenidesa, Diogenesa, Euklidesa, Ptolemeusza, Pitagorasa, Heraklita oraz innych mędrców dyskutujących między sobą pod łukami monumentalnego gmachu, trochę przypominającego budownictwo cezariańskie, a trochę majestatyczne mury Bazyliki św. Piotra, którą Donato Bramante właśnie wznosił (Rafael sportretował go tu jako Euklidesa), a nad wszystkim unosi się brawurowa fraza renesansowych włoskich filozofów (Pico della Mirandola, et consortes): *„Święty Platonie, módl się za nami!”*. Żadnemu z tych *„pismaków”* nie udało się wyśpiewać zaślubin Antyku i Renesansu piórem równie celnie co Rafaelowi pędzlem.

Będąc wielkim hymnem ku czci *„odradzanego”* Antyku — cały ów imponujący spektakl **„Szkoły Ateńskiej”** był zarazem megareklamą renesansowego Humanizmu, konkretnie: florenckiej Akademii Marsilia Ficina i Medyceusza Wawrzyńca Wspaniałego, spadkobierczyni Akademii Platońskiej, którą cesarz bizantyjski Justynian skasował (w 529 roku) po 900 latach działalności. Był również hymnem ku czci Euklidesa, nie pierwszym i nie ostatnim u Rafaela (Rafael, wzorem Leonarda, z lubością geometryzował swoje kompozycje), lecz największym. Wszystko tu jest całkowicie podporządkowane idealnej perspektywie zbieżnej (zogniskowanej na osi środkowej), idealnej symetrii (linearnej i wagowej — chodzi o ciężar ludzkich grup i ciężar architektonicznych mas), wreszcie symfonicznej wprost grze figur geometrycznych (nie tylko kątowych — najważniejszy jest rytm półkolistych łuków cofający się w głąb).

Zwąc **„Szkołę”** spektaklem, miałem na myśli teatr. Bo głębia fresku ma tu charakter gigantycznej operowej sceny, a dwa czołowe widniejące pośrodku barytony (Platon i Arystoteles) „śpiewają” solowe arie w towarzystwie licznego chóru. O tych postaciach Michael Levey rzekł: *„Rafael daje swoim bohaterom nadludzką wręcz klarowność i wdzięk we świecie Euklidesowych pewników”* (1967). Doskonałą ilustracją tego są nie tylko freski, lecz i deski oraz płótna Rafaela zawierające tematykę religijną:

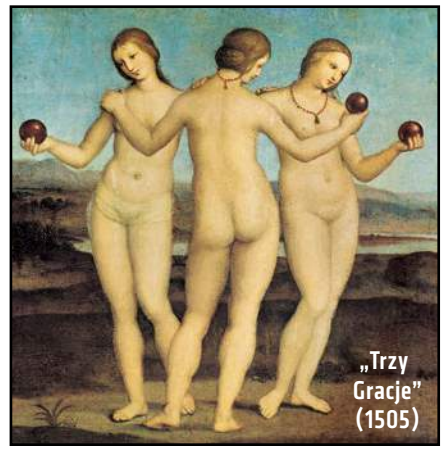
„Trzy Gracje” (1505)

„MADONNIERE” ARYSTOKRATYCZNY

Zainteresowania *„pogańskie”* (filoantyczne) symbolizują u Rafaela **„Trzy Gracje”**, wzorowane przezeń na starożytnych rzeźbach wyobrażających ów temat mitologiczny i wskrzeszające *„grecką nagość”* zgodnie z modą Odrodzenia. Tymczasem motywy chrześcijańskie eksploatowane pędzlem Santiego to w większości tematyka Maryjna — był fenomenalnym *„Madonniere”*, wedle potomnych głównie twórcą prześlicznych Madonn.

Bernhard Berenson: *„Dla Europejczyków przyziemnych, jak i tych dysponujących artystycznym smakiem, powiedzonko «piękna niczym Madonna Rafaela!» długo stanowiło najwyższą pochwałę kobiecej urody”* (1952). Czemu właśnie **„Madonny”** Rafaela? Przecież piękne Rodzicielki Boże malowało wielu mistrzów. Malarz Carl Gustav Carus: *„Bo on pierwszy uchwycił całkowite, mistyczne zjawisko dziewiczej Matki (...) Tylko Madonny Rafaela pozostają tymi, o których rzec można: «Są Boskie, ponieważ są!»”* (1869). Matteo Marangoni: *„Cóż dziwnego, że inne Madonny, choć też dają sercu przyjemność, nie mogą zdobyć aż takiego aplauzu, jaki dostaje każda Madonna Rafaela, jeśli brak im Boskości równie harmonijnej i przekonującej?”* (1933).

O **„Madonnach”** Santiego można pisać tomy, lecz ponieważ Lisicki nie dał mi nawet 100 stron dla rozwinięcia tematu — ograniczę się do ledwie czterech Rafaelowskich wizerunków NMPanny, w niniejszym rozdziale wzmiankując trzy Maryjne *„deski”* geniusza. Pierwsza — **„Madonna na krześle”** — jest okrągła (średnica 71 cm), Rafael bowiem użył pono denka beczki, by stworzyć tondo zachwycające całe generacje, prócz

„Madonna na krześle” (1514)

eprasa.pl d662d706da

awangardzistów. Jej zjawiskowości (siły Jej oddziaływania) nic nie dokumentuje lepiej niż casus Auguste'a Renoira, wielkiego Impresjonisty. Znając **„Madonnę della sedia"** ze sztychów, Renoir oceniał ją jako lukrowaty kicz, typowy zdaniem modernistów dla malarstwa tradycyjnego. W roku 1881 zobaczył oryginał. *„Poszedłem zobaczyć ten obraz, żeby się zabawić jego kosztem. Ale gdy stanąłem przed nim…"*. Gdy przed nim stanął — podziw zgiął mu kolana i schylił mu nisko głowę.

Dwie pozostałe *„deski"* Maryjne, na które chcę dzisiaj zwrócić uwagę Czytelników, są duże formatowo — to **„Zaślubiny NMPanny"** (170 × 119 cm) i **„Madonna Ansidei"** (209 × 148,6 cm), obie z 1504–1505 roku. Michael Levey pisał o tej pierwszej: *„**«Lo Sposalizio»** przemawia nowym, śmiałym językiem idealnych form — na tle idealnej świątyni idealne postacie poruszają się w tempie «adaggia», jakby były częścią idealnego renesansowego rytuału"* (1967). O **„Madonnie Ansidei"** (formalnie zwanej **„Madonną z Dzieciątkiem i dwoma świętymi"**) wypisywano peany jeszcze większe. Trudno nie smakować tego obrazu. Niby realistycznego, lecz znajdującego doskonałość dzięki idealnemu, abstrakcyjnemu pięknu poddanemu bezwzględnie prawom geometrycznym, oraz dzięki krystalicznie czystej formie rysunku, która pulsuje niesłychanym wdziękiem i poezją. Mordercza (mordercza dla konkurencji) równowaga wszystkich pierwiastków, porządek abstrakcyjny czyli surrealny, wreszcie wspomniana przez Leveya *„nadludzka klarowność"*, i coś jeszcze, metafizyczny syndrom, którym — używając jednego tylko wyrazu — mógłbym określić całe malarstwo Rafaela. A r y s t o k r a t y c z n e. Pędzel arystokratyczny, w najlepszym sensie tego słowa. Cechą owego pędzla arystokratyzującą postacie nie jest (jak choćby u Piera della Francesca) monumentalność, dygnitarskość, zimny majestat, tylko swoista elegancja, wytworność figur (Delacroix: *„Trzeba wszakże przyznać, że ta dominująca u Rafaela elegancja, ta wytworność malowanych przezeń świętych, nie zabija manierycznie ich naturalności"*). Co widać również na najsławniejszym *„płótnie"* Santiego:

NADREALNA BOŻA RODZICIELKA

Przyznaję, pełen wstydu, że długo nie lubiłem Rafaela. Nie przemawiał do mnie z siłą, która via szare komórki wędruje ku sercu. Ale to nie jemu brakowało siły, to moim szarym komórkom ilorazu brakowało. Drażniła mnie *„ładność"* (zbyt ładne!) i *„słodkość"* wielu jego scen. Figury Rafaela wydawały mi się lalkami z cukru, sama słodycz. Dziś uważam, że charakterystycznym rysem postaci Rafaela wcale

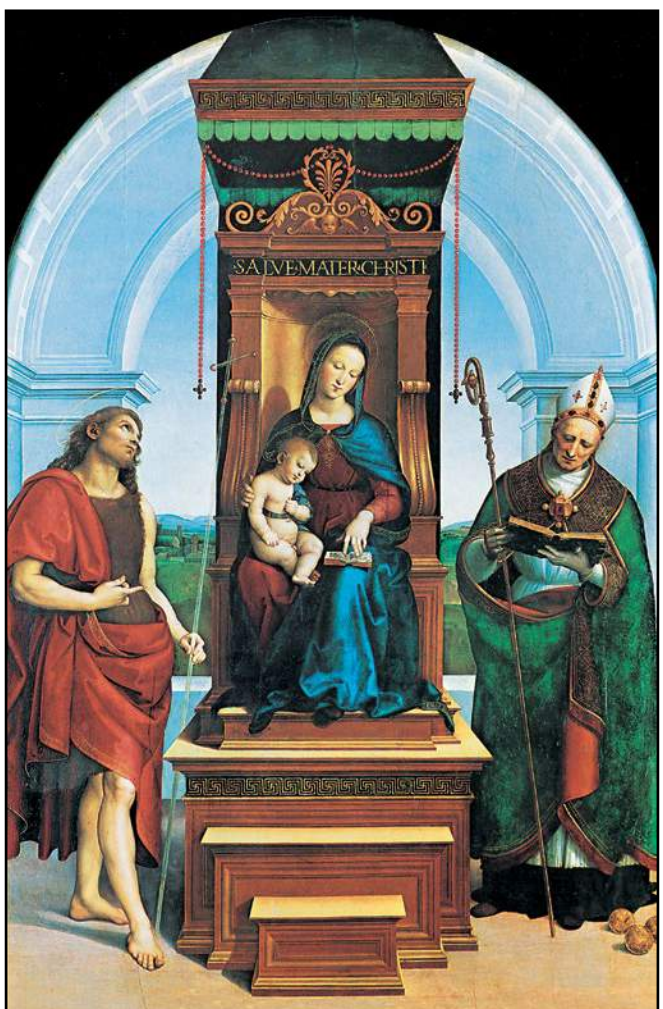

„Madonna Ansidei" (1505)

„Zaślubiny NMPanny" (1504)

eprasa.pl d662d706da

nie jest słodycz, tylko niewymuszona szlachetność, z akcentem na niewymuszona, przez co rozumiem dostojeństwo pełne wdzięku i nieudawane, błękitnokrwiste genetycznie, brak pozy czy aktorstwa. Ten typ szlachetnego dostojeństwa cechuje ludzi całkowicie wolnych. Głupstwo, że tacy ludzie nie istnieją. Rafael długo przed Corneillem wyraził opinię: *„Należy malować ludzi takimi, jacy powinni być”*. Nie — jacy są. Jakimi powinni być! Kres uznawania Rafaelowskiej słodyczy za przesłodzenie to jest ten moment, kiedy dostrzegasz różnicę między lukrowatą **„Madonną”** Murilla a nieskazitelną, wzruszającą **„Madonną”** Rafaela. Dla mnie tym momentem było zetknięcie się z **„Madonną Sykstyńską”**.

Za czasów Hitlera spaliły Drezno alianckie bomby. **„Madonna di San Sisto”** uległa wówczas częściowemu zniszczeniu. Odrestaurowano ją, lecz konieczne spore przemalowania nie pozbawiły arcydzieła wielkości Rafaelowskiej. Dalej rokrocznie pokolenia widzów sławią tę Matkę Bożą anielskiej urody. Bardziej dziewczyna niż kobieta, i bardziej Piastunka Świata niż Piastunka Zbawiciela — jest Ona wcieleniem wiotkości i delikatności, jakby utoczono ją z chmur i z najcieńszej porcelany, a równocześnie promieniuje Niebiańską Mocą. Goethe nazwał ją *„prawzorem Matki”* (1808), a historycy sztuki czołowym malarskim *„emblematem katolicyzmu”*, chociaż niektórzy sarkali, iż przez geniusz pędzla Rafaelowskiego jest Ona *„bardziej do podziwiania niż do modlenia się”*.

Gięła karki tysiącom ateistów, agnostyków, cyników. Również tym o pomnikowych nazwiskach. Fiodor Dostojewski był wrogiem katolicyzmu, lecz odkąd zobaczył **„Madonnę Sykstyńską”**, poczuł siłę duchowego balsamu i w swym mieszkaniu zawiesił nad kanapą dużą jej reprodukcję. Podobnie było z wieloma innymi Rosjanami. Przyjaciel Puszkina, dekabrysta Küchelbecker: *„Patrzcie, Ona wszystko wokół siebie przemienia! (...) Czułem się lepszy ilekroć od Niej wracałem do domu!”*; książę Władimir F. Odojewski (krytyk muzyczny, pisarz i filozof): *„Kiedy patrzymy na ten obraz, cichną występne żądze, mimowolna Bogobojność spowija duszę, serce zmierza ku dobru, a w umyśle rodzą się wzniosłe porywy, które zawracają człowieka od brudu życiowego”*; Wasilij A. Żukowski (poeta): *„Im dłużej się Jej przyglądasz, tym bardziej upewniasz się, że przed tobą rozgrywa się nadprzyrodzone”*; Nikołaj P. Ogariow (filozof, poeta i rewolucjonista): *„Mogę płakać u Jej stóp”*. Niemiec Otto Runge (gwiazdor malarstwa wczesnoromantycznego): *„Gdy wszedłem do galerii i stanąłem przed tym obrazem, tak mnie zachwycił, że straciłem poczucie miejsca i czasu. Dzięki niemu doświadcza się skupienia większego aniżeli wewnątrz świątyń”*. Inny niemiecki Romantyk, Alfred Rethel: *„U stóp tego dzieła czuję się jak pijany — tej rozkoszy nie oddałbym za żadne królestwo”*. Zimny i surowy krytyk francuski, Charles Blanc, zaznał identycznego wniebowstąpienia wchodząc do Galerii Drezdeńskiej: *„Gdy stanąłem przed Nią — zobaczyłem otwarte okno na Raj”*. Polska pisarka, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa: *„Kiedy nadeszła chwila opuszczenia Drezna, poszłam do Niej, żeby się pożegnać, i nie mogłam wyjść z Jej komnaty. Żadne inne malowanie nie zostało w mej pamięci równie mocno”*.

Ten swoisty hipnotyzm trwał też bez uszczerbku przez kolejne stulecie — przez wiek XX. W 1969 roku Brytyjczyk Norman Rosenthal (1977–2008 Dyrektor Wystawienniczy londyńskiej Royal Academy of Art) spędził cały dzień (12 godzin!) stercząc bez ruchu przed **„Madonną Sykstyńską”**, i gdy wieczorem zamykano muzeum, wycofał się idąc do drzwi tyłem, cały czas wpatrzony. Żałował, iż tego dnia nie mógł kontemplować

„Madonna Sykstyńska” (1514)

eprasa.pl d662d706da

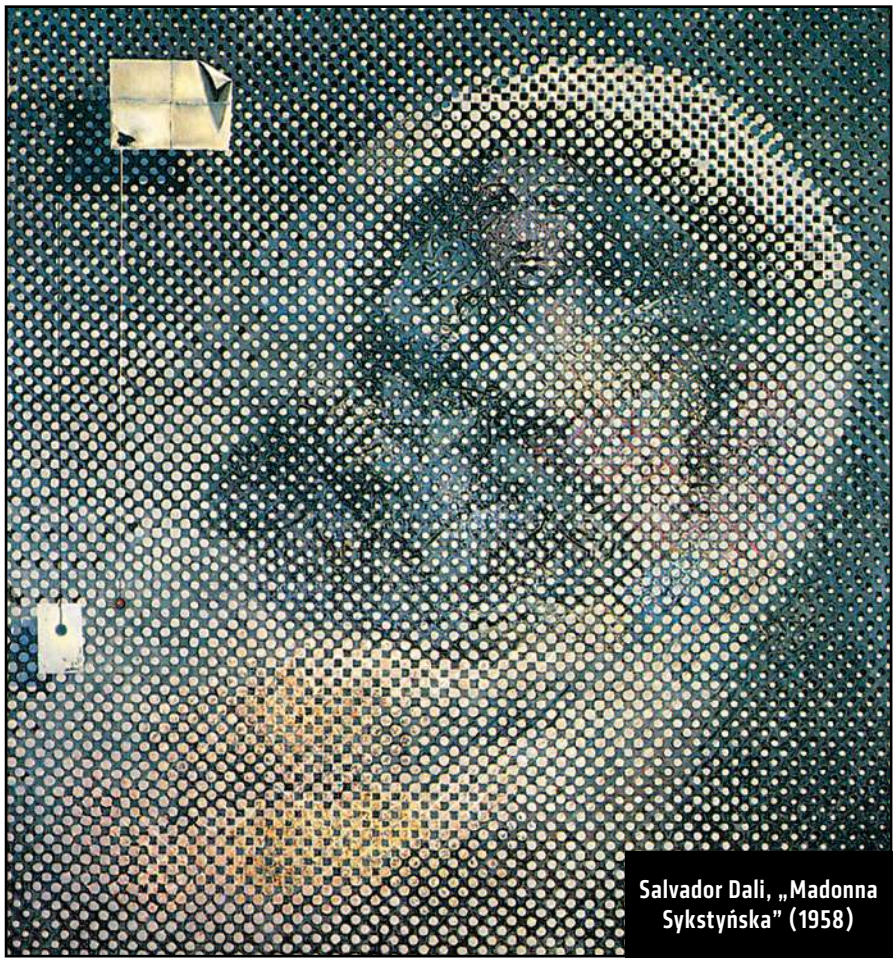

Salvador Dali, „Madonna Sykstyńska" (1958)

dłużej. Słowo *„dłużej"* jest tu kluczowe dla „zahipnotyzowanych" pokoleń fanów. Z większością było tak, jak to określił Karł P. Briułłow: *„Im dłużej patrzysz, tym mocniej odczuwasz niepojętość"* (1822). Malarz Briułłow przez *„niepojętość"* rozumiał swoistą nadmaterialność, pewien warsztatowy cud, który historyk sztuki Michaił Ałpatow ujął w zdaniu: *„Zdumiewamy się niezauważalnym mistrzostwem, jakby ten obraz nie wyszedł spod ludzkiej ręki, jakby nie wykonał go pędzel"* (1959). Wcześniej Józef Łepkowski pisał identycznie: *„Rafael zda się nie potrzebować pędzla i farby, ale mistrzostwem swoim, niby cudownym panotypem, samo natchnienie z nieba przeniósł na płótno"* (1857). Terminy *„cud"*, *„cudowny"*, *„cudownie"* padały wobec **„Madonny di San Sisto"** od wieków (malarz Iwan Kramskoj: *„Ten obraz to jest rzeczywiście coś prawie niemożliwego!"*, 1869; malarz Eugène Delacroix: *„Jest w nim jakiś czar cudowności, nieuchwytności"*, 1867). Salvador Dali, który kochał takie zjawiska *„nieuchwytne"*, *„niemożliwe"*, *„nadrealne"*, *„natchnione"* — złożył **„Madonnie Sykstyńskiej"** hołd roku 1958, pastiszując ją wedle surrealistycznej mody jako **„Kosmiczną Madonnę"**, oraz jako gigantyczne ucho zbierające modlitwy całego świata.

Dla porządku trzeba jeszcze w tym lapidarnym eseju dodać, że trzy pełnoletnie figury z **„Madonny Sykstyńskiej"** otrzymały od artysty portretowe fizjonomie. Świętemu Sykstusowi (papieżowi Syskstusowi II) Rafael dał twarz papieża Juliusza II (della Rovere), świętej Barbarze twarz jednej z wielkich dam ówczesnego Rzymu (znane mi są trzy hipotezy: twarz bratanicy Juliusza, Lukrecji della Rovere, bądź twarz jego siostrzenicy, Julii Orsini, bądź twarz księżnej Eleonory Gonzaga), natomiast samej Madonnie twarz Margherity Luti, czyli *„Fornariny"* (*„Piekareczki"*), swej ukochanej, największej miłości swego życia, którą malował często, traktując metresę jako modelkę, i dla której pisywał sonety miłosne pełne gorących słów (*„... ujarzmiłaś mnie blaskiem swych oczu, płonę tak, iż morza ni rzeki ognia tego nie ugaszą"*, etc.). Wcześniej miał całe tabuny pań, lecz żadna nie zawróciła mu w głowie równie mocno co córka piekarza z Sieny. Przyozdabiając pędzlem loggie pałacu swego przyjaciela, Agostina Chigi, ciągle przerywał malowanie, by gnać na randki, więc pragmatyczny Chigi, chcąc skrócić wagary mistrza, zainstalował *„Fornarinę"* w pałacu, by mistrz miał ją pod „ręką". Konając *„Piękny Santi"* wydzielił testamentem ze swego iście bajecznego (16 tys. dukatów) majątku hojne zaopatrzenie dla dziewczęcia, które unieśmiertelnił **„Madonną Sykstyńską"**, co gniewało recenzentów purytańskich, lecz ja nie mam nic przeciwko temu.

* * * * *

Nie mam także nic przeciwko temu, by **„Madonna Sykstyńska"** wisiała w galerii saksońskiej. Trafiła do Drezna Roku Pańskiego 1754, gdy król Polski, elektor saski August III, nabył ją od mnichów klasztoru San Sisto, płacąc 60 tysięcy florenów, czyli 40 tysięcy skudów, czyli 2 tysiące dukatów (plus kopia dla klasztoru zrobiona przez Nogariego). Całą tę sumę wycisnął z Polski, co do jednego grosza! A więc kupił dzieło za pieniądze Polaków, tedy — sprawiedliwie rzecz biorąc — winno być ono własnością Polaków. Ja jednak nie domagam się rewindykacji, gdyż nie chcę się narazić Madonnie Częstochowskiej. Pamiętam, że kiedy Józef Piłsudski, będąc szefem państwa, wizytował miasta prowincjonalne, Wieniawa zwrócił mu uwagę, iż wypadałoby jechać do Matki Boskiej Częstochowskiej. Komendant rzekł po chwili namysłu:

— Nie mogę, bo Ostrobramska się obrazi. ©℗

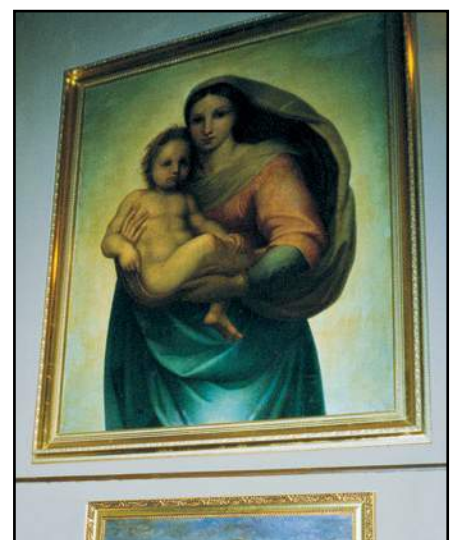

XIX-wieczna kopia centralnego fragmentu „Madonny Sykstyńskiej" wisząca na klatce schodowej rezydencji autora eseju

eprasa.pl d662d706da

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

pgnig.pl d662d706da

Piotr Gociek

Mały może więcej

W czasach pandemii maleńkie wydawnictwa mogą skutecznie rywalizować z gigantami. Gdy galerie i księgarnie są zamknięte, wszyscy mają równe szanse: w Internecie

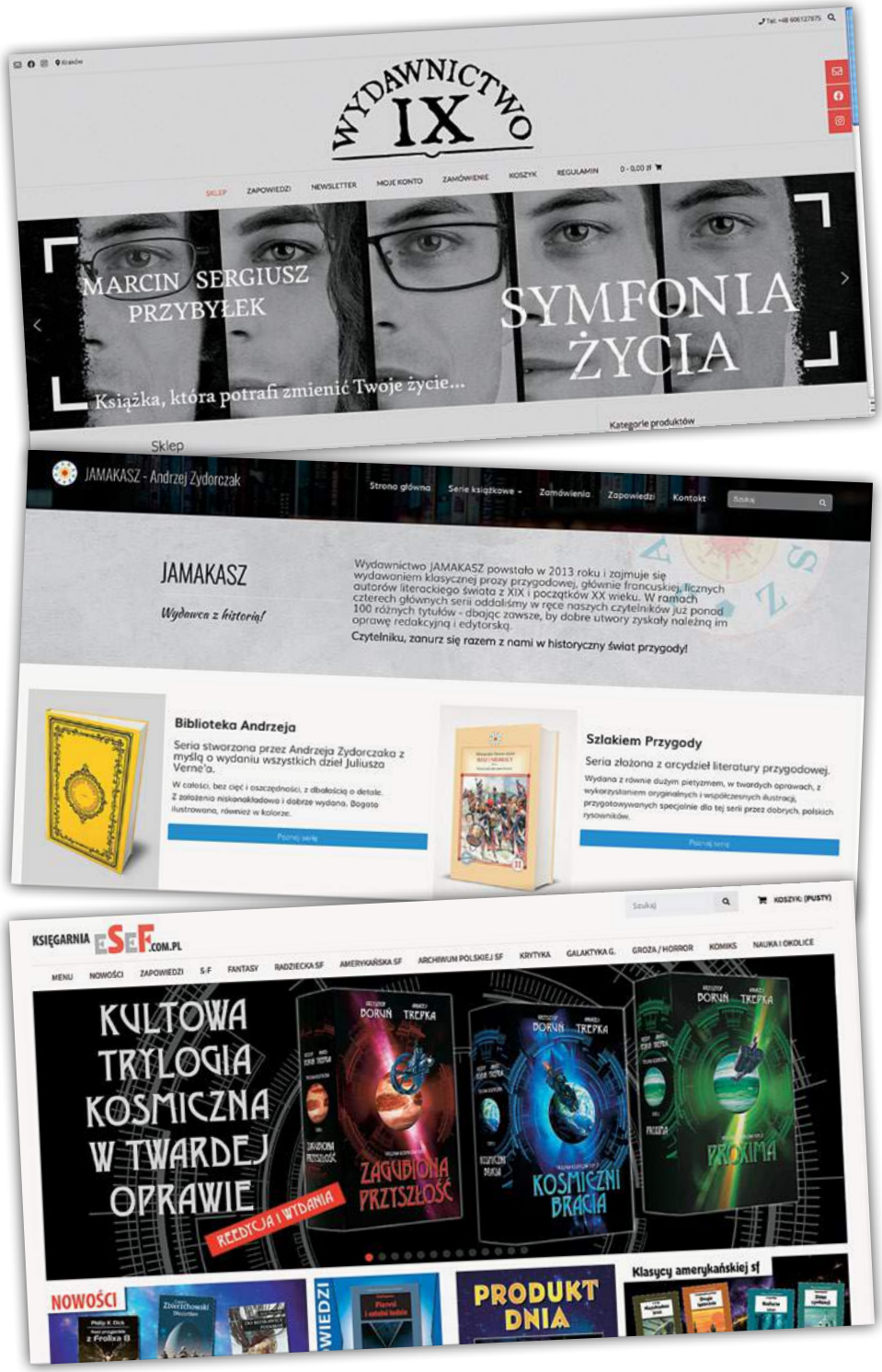

Książek, o których dziś opowiem, nie znajdziecie na księgarskich półkach. Ich wydawcy dokonali trudnego, lecz ze swojego punktu widzenia racjonalnego wyboru. W czasach, kiedy na pieniądze z rynku czeka się często pół roku albo dłużej, w czasach, gdy ponad połowę ceny detalicznej książki zabierają kolejni pośrednicy: hurtownie, sieci salonów księgarskich, księgarnie, małemu wydawcy nie jest łatwo przetrwać.

– To nie jest rynek wydawcy – mówi Wojtek Sedeńko, właściciel podolsztyńskiego wydawnictwa Stalker Books (wcześniej Agencja Solaris) i księgarni internetowej Esef.com.pl. Wyliczając wszystkie wydatki, które musi on ponieść (od redakcji przez korektę do składu i druku), kończy smutno: – A sieci księgarń nie robią potem nic, by mój produkt sprzedać. Mają go tylko w ofercie. Jeśli chcę jakieś specjalne półki, gazetki, promocję, to muszę dodatkowo zapłacić. I to słono.

Sedeńko zna rynek jak mało kto. Jest wydawcą weteranem – zaczynał od fanzinów poświęconych fantastyce jeszcze w ostatniej dekadzie PRL, kiedy w latach 80. XX w. eksplodowało zjawisko klubów miłośników fantastyki. W III RP otworzył wydawnictwo, osiągnął wielotysięczne nakłady i spory rozgłos (choćby antologią polskiej fantastyki „Wizje alternatywne" – polską odpowiedzią na „Niebezpieczne wizje" zestawione przez Harlana Ellisona).

Jeszcze dekadę temu książki wydawane przez Sedeńkę można było znaleźć w Empiku i innych sieciach sprzedaży. Dzisiaj funkcjonuje plecami do tradycyjnego rynku książki w Polsce. Wydawane przez niego nowości można kupić tylko na jego stronie internetowej oraz na Allegro. – Wybieram to, co mi się podoba, i mam przeczucie, że spodoba się także czytelnikom skupionym wokół wydawnictwa – mówi Sedeńko. – Jestem z nimi

eprasa.pl d662d706da

w kontakcie, e-mailowo, na zlotach, konwentach, w mediach społecznościowych. Dobrze sprzedają się antologie klasyki, a także sama klasyka. Dzięki wydawnictwu Sedeńki ukazały się już setki tytułów z kanonu science fiction, wiele świetnych książek rosyjskich autorów (w tym tak popularnych w Polsce jak Kir Bułyczow), kultowe cykle Edgara Rice'a Burroughsa. Jest obecna polska fantastyka – zarówno premiery, jak i wznowienia – jest bezcenna seria „Krytycy o fantastyce".

Podobnych oficyn jest w Polsce więcej. Opinie i gust czytelników to dla nich kluczowa kwestia, wokół poszczególnych inicjatyw skupione są stałe, prężnie działające społeczności odbiorców. Wydawców i kupujących łączą wspólne pasje, wspólny pogląd na literaturę, wspólne oczekiwania. Drogi, które prowadziły ich do wydawniczego świata, były bardzo różne.

Andrzej Zydorczak z Rudy Śląskiej przepracował ponad 40 lat jako geolog w kopalni Halemba (dziś Ruda). – W roku 2013, trzy lata przed pójściem na emeryturę, założyłem wydawnictwo JAMAKASZ – opowiada. Nazwa to skrótowiec utworzony z imion członków rodziny.

– Zacząłem wydawać powieści Juliusza Verne'a, początkowo tylko we własnym tłumaczeniu, ze wszystkimi ilustracjami z XIX-wiecznych wydań francuskich i licznymi przypisami, w twardych oprawach – wylicza Zydorczak. – Potem serię „Szlakiem Przygody", w której ukazują się powieści autorów z XIX i początków XX w. Ostatnio zaczęła się ukazywać kolekcja „Rocambole" Ponsona de Terailla obejmująca tasiemcową powieść gazetową, bardzo popularną w XIX w.

Plany Andrzeja Zydorczaka są nie tylko ambitne, lecz także dla kultury nie do przecenienia. – Chcę wydać po polsku wszystkie powieści, opowiadania i eseje Verne'a (a także przeróbki tych dzieł dokonane przez syna pisarza, Michela, nieraz diametralnie różniące się od oryginału) – mówi właściciel wydawnictwa JAMAKASZ. Ukazało się już 80 tomów. Na jego stronie internetowej można przeczytać, że oferuje on pełne wydania w nowym przekładzie. – Każde dotychczasowe polskie wydanie powieści Verne'a ma skróty lub nieścisłości (np. wynikające ze słabej wiedzy z dziedziny żeglarstwa) – tłumaczy Zydorczak. – Stąd nowe przekłady i przypisy, czasem wychwytujące też błędy autora. Dlatego uważam, że dopiero moje wydania są pełne.

Krakowskie Wydawnictwo IX Krzysztofa Bilińskiego specjalizuje się w literaturze grozy, mimo że jego właściciel zastrzega w rozmowie, że choć tak jest postrzegany i tego typu książki sam uwielbia czytać, to jego celem jest po prostu wydawanie dobrych, ciekawych pozycji. Biliński ćwierć wieku temu wydawał własny fanzin muzyczno-literacki, dziś jest wydawcą, który w ciągu ostatnich trzech lat przygotował ponad 20 tytułów. Wykorzystuje zdobyte doświadczenie. – Współpracowałem wcześniej z małymi wydawnictwami, dla których realizowałem często cały proces składu i opracowania graficznego książek – wspomina Biliński. – Pracowałem również jako grafik w drukarni realizującej przede wszystkim wydania książkowe i gazetowe.

Dzięki temu sam jest w stanie nie tylko wyszperać ciekawy tytuł, lecz także profesjonalnie przygotować go do druku, negocjować warunki z drukarnią, samemu przygotować wersję e-book. Największym sukcesem wydawniczym były dotąd dwie pozycje Wydawnictwa IX – zbiór nieznanych wcześniej w Polsce opowiadań klasyka grozy H.P. Lovecrafta oraz… „Browary w Polsce. Przewodnik". Biliński wydaje klasykę polską (Tadeusz Miciński) i zagraniczną (książki Abrahama Merritta, zbiory opowiadań Roberta Aickmana czy słynna powieść Edwarda Bulwer-Lyttona „Nadchodząca rasa"), ale sięga także po inne pozycje. Na przykład to dzięki niemu ukazała się powieść obyczajowa Marcina Przybyłka „Symfonia życia" – autor znany jest m.in. z popularnej serii SF „Gamedec").

Strategie wydawnicze wszystkich wymienionych wyżej miłośników książek są podobne, a ich realizację umożliwia im nowoczesna technologia. Dzięki drukowi cyfrowemu można działać w systemie „na życzenie". Zatem nowe książki najpierw ukazują się w niewielkim pierwszym nakładzie, który zwykle rozchodzi się wśród stałych klientów wydawnictwa. – Każdy egzemplarz jest ręcznie numerowany i podpisany moim imieniem i nazwiskiem – mówi o swoich edycjach Verne'a Andrzej Zydorczak. – Gdy zostanie przekroczony limit 200 sztuk, tak jak to się już stało z „Podróżą do wnętrza Ziemi", kolejne egzemplarze ukazują się jako wydanie II, już bez numeracji i podpisów.

Podobnie wygląda to w przypadku Wydawnictwa IX. – Nasz model wydawniczy opiera się na dwóch wydaniach: oprawie twardej limitowanej, kolekcjonerskiej, ręcznie numerowanej oraz miękkiej, stale dostępnej – mówi Krzysztof Biliński. – Pierwsze nakłady wynoszą od 100 do 200 (czasem więcej) egzemplarzy w oprawie twardej i 100 egzemplarzy oprawy miękkiej. Zazwyczaj 100 egzemplarzy oprawy miękkiej sprzedajemy w ciągu miesiąca, a następnie realizujemy dodruki w zależności od rokowań książki.

Wojtek Sedeńko niektóre tytuły ma w sprzedaży od lat. Są i takie, w przypadku których setki sprzedanych egzemplarzy zamieniły się w tysiące. Potrzebna jest jednak cierpliwość. I niezależność. Tę daje funkcjonowanie z dala od mainstreamu. I od tradycyjnych łańcuchów dystrybucji trapionych narastającymi kłopotami z płynnością finansową.

Ostatnie miesiące to dla małych wydawnictw okazja do konkurowania z potentatami rynku na uczciwszych zasadach niż dotąd. Gdy zamknięte są galerie handlowe, wielkie salony książki, największe sieci księgarskie, to jedynym miejscem, w którym można zaopatrzyć się w nowe książki, jest Internet. Tu także są rekiny i płotki, ale wybór czytelnika jest w mniejszym stopniu zaburzany przez agresywny marketing wielkich wydawnictw, które w realu wydają pieniądze na billboardy, ogromne wymyślne stoiska na targach książki czy dodatkową ekspozycję towaru w księgarniach. W Internecie bardziej liczą się opinia odbiorcy, głos małych społeczności, prywatne rekomendacje, jakość i unikatowość oferty, a nie tylko promocja „kup trzy tytuły w cenie dwóch".

Niewielkich wydawców w Polsce jest bardzo wielu, często funkcjonują jednak dzięki dotacjom. Nic w tym złego, przy wsparciu samorządów, ministerstwa, ambasad innych krajów czy instytutów kultury pojawiają się książki cenne i ważne. Książki, które ukazać się powinny. Kiedy jednak przyjdzie kryzys, jak wiele z tych przedsięwzięć utrzyma się na rynku? Pierwsze cięcia w trudnych czasach będą dotyczyć sfery kultury. Ci, którzy tak jak bohaterowie tej opowieści, działają na własny rachunek, za własne pieniądze, dzięki wspólnej z czytelnikami miłości do książek, dzięki sprzedaży bezpośredniej – przetrwają. Taką mam nadzieję. To nie znaczy, że są jedynymi na rynku, którzy książki kochają, a nie tylko wydają. Wśród dużych wydawców też znajdziemy ludzi pokroju Sedeńki czy Bilińskiego, ale najsilniejsi z nich każdego dnia i tak sami opowiadają swoją historię kolejnymi premierami. Tym najmniejszym w jej opowiedzeniu warto dopomóc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Twarze dżihadu

★★★★★☆

TWÓRCA: WILHELM BEHRMAN
„KALIFAT"
SZWECJA 2020, DYSTR. NETFLIX

wyst. Aliette Opheim, Amanda Sohrabi, Nora Rios

W „Kalifacie" udało się spleść w emocjonujący sposób dwie opowieści. Pierwsza to walka służb o udaremnienie zamachu planowanego przez dżihadystów w Szwecji, druga to wielowątkowa historia społeczna.

Przede wszystkim to rzecz o kobietach dżihadu (i jednej walczącej z terrorem jako pracowniczka szwedzkich służb specjalnych). Punkt widzenia wybrano świetnie: dobrze się opowiada fabułę z perspektywy outsiderów (wszyscy wiedzą, jakie miejsce w świecie dla kobiet przewidują bojownicy ISIS), po drugie uzyskujemy wgląd w życie codziennie zarówno radykałów na Bliskim Wschodzie, jak i rodzin żyjących od lat na Zachodzie. Po trzecie wreszcie obserwujemy na ekranie uwodzenie i pranie mózgu jednocześnie, czyli jak łatwo młode dziewczęta padają ofiarą wytrawnych manipulatorów, obiecujących im cudne życie w egzotycznych krajach, a tak naprawdę poszukujących niewolnic lub mięsa armatniego dżihadu.

Wilhelm Behrman (twórca serialu) i wspomagający go scenarzyści nie musieli niczego na siłę wymyślać, sięgnęli po wątki z pierwszych stron gazet i przetworzyli je fabularnie. Niemal każdy kraj Europy zmaga się z tym problemem – zagubieni, kontestujący pusty, bezreligijny i konsumpcyjny styl życia Zachodu młodzi ludzie zwracają uwagę ku tym, którzy obiecują życie (a czasem i śmierć) „w imię czegoś". To ciekawe, że tak mocna produkcja na ten temat powstała w głęboko zsekularyzowanej Szwecji. Kolejny problem przedstawiony w „Kalifacie" to kłopoty z asymilacją drugiego, czasem trzeciego pokolenia muzułmańskich imigrantów. Powstało na ten temat w ostatnich latach kilka ciekawych filmów, ostatnio „Młody Ahmed" braci Dardenne, wcześniej brytyjski komediodramat „Cztery lwy".

Żeby nie było jednostronnie, dostajemy też moralnie wątpliwy obraz z życia tych, którzy z terrorem walczą. Czy cel uświęca środki? Czy zaangażowani w tajne rozgrywki wewnątrz jeszcze bardziej tajnych operacji funkcjonariusze nie tracą z pola widzenia wartości ludzkiego życia i obywatelskich wolności? Wyszedł z tego „Homeland" na poważnie, czyli zaskakująco dobry serial i jedna z ciekawszych premier tego roku. Zamiast perypetii jak z powieści Roberta Ludluma dostajemy bowiem wielką dawkę realizmu, co nie przeszkadza w utrzymaniu napięcia do samego końca. ©℗

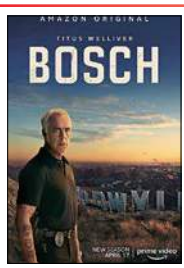

NOWE SERIALE: „BOSCH"

Szósty sezon serialu według książek Michaela Connelly'ego o detektywie Boschu wykorzystuje wątki z dwóch powieści. „Punkt widokowy" został wydany w Polsce w roku 2008, „Dark Sacred Night" (powieść najnowsza) jeszcze nie została przełożona. To jedna z najlepszych serii kryminalnych, które znaleźć można na małym ekranie, i życiowa rola Titusa Wellivera w roli głównej (i tytułowej). Jak ogłosili producenci, jest to przedostatni sezon tej produkcji, która doskonale uchwyciła dwuznaczny klimat Los Angeles, miasta blichtru i miasta zbrodni. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***sezon 6. „Bosch", USA 2020, dystr. Amazon Prime***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***sezon 3. „Obsesja Eve" („Killing Eve"), Wielka Brytania / USA 2020, HBO i HBO GO, premiera: 13.04***
- ***sezon 3. „Fauda", Izrael 2019, Netflix, premiera: 13.04***
- ***reż. Hiner Saleem, „Kto zabił lady Winsley" („Lady Winsley"), Turcja 2019, Cinemax, premiera: 15.04***

eprasa.pl d662d706da

To jest w wodzie

player

Mark Ruffalo, z twarzy trochę podobny do Hulka, najwyraźniej polubił rolę pogromcy możnych tego świata. Niedbały strój żurnalisty, demaskującego ustosunkowanych księży-pedofilów, zamienił na garnitur prawnika, który zagiął parol na jeden z najpotężniejszych koncernów chemicznych. Oczywiście są drobne różnice. Reporter ze „Spotlight" od początku wiedział, na co się waży. Bohater „Mrocznych wód" bez większego entuzjazmu podejmuje się walki o odszkodowanie dla farmera, któremu padły krowy, nie spodziewając się, że sprawa urośnie do mamucich rozmiarów i zagrozi jego karierze w korporacji, rodzinnemu szczęściu oraz zdrowiu.

★★★★☆☆

REŻ. TODD HAYNES
„MROCZNE WODY" („DARK WATERS")
USA 2019, DYSTR. MONOLITH, DVD, PLAYER

wyst. Mark Ruffalo, Anne Hathaway, Tim Robbins

Kino moralnego niepokoju made in USA różni się od polskiego przekonaniem (tutaj wyrażonym wprost), że nie ma się co oglądać na państwo, tylko samemu walczyć o sprawiedliwość. Skoro wielki biznes w pogoni za zyskiem nie przestrzega nawet tych norm, które sam sobie wyznaczył, to uczciwość trzeba na nim wymusić biczem. A tym biczem jest niezależne sądownictwo. Historia robi tym większe wrażenie, że jest oparta na faktach. Filmowcy niestety zapragnęli ją trochę podkręcić. Stąd sugestie, jakoby dzielnemu prawnikowi i pozywającym groziło fizyczne niebezpieczeństwo ze strony trującego koncernu. Sorry boys, ale pomyliliście gatunki. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POTRAWKA Z GRZECHOTNIKA

„Nie było w dziejach kina aktora o tak absolutnie nic niewyrażającej twarzy" – tak pół wieku temu oceniali Clinta Eastwooda krytycy filmowi. Ich zdaniem wielkolud z Kalifornii nadawał się tylko do westernów, gdzie zamiast grać, wystarczy wsiąść na konia, strzelać i walczyć na pięści. „Dwa muły dla siostry Sary" tę opinię utrwaliły. Bohater, nieogolony jeździec znikąd, z cygarem w zębach i laską dynamitu w dłoni, wygłasza kąśliwe uwagi typu: „Muszę być nieźle pijany, bo się wzruszyłem" oraz ratuje z opresji zakonnicę, która lubi whiskey i zna tak brzydkie słowa jak „tyłek". Niby to western, ale dziwny, bo nakręcony w Meksyku, czarnymi charakterami są zaś okupujący kraj kaktusów i grzechotników Francuzi. Don Siegel tak jak Sergio Leone porusza się na granicy pastiszu, lecz nigdy jej nie przekracza. Eastwood tworzy wspaniały duet z Shirley MacLaine. Za rok zagra Brudnego Harry'ego i oburzeni krytycy nazwą go faszystą.

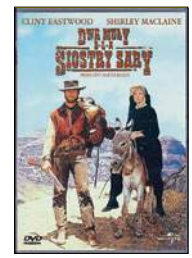

wyst. Clint Eastwood, Shirley MacLaine, Manolo Fábregas

★★★★☆☆

REŻ. DON SIEGEL
„DWA MUŁY DLA SIOSTRY SARY" („TWO MULES FOR SISTER SARA")
USA 1970, DYSTR. FILMOSTRADA, DVD

PODRÓŻNIK W CZASIE

vod.pl

Co nie udało się Machulskiemu w komedii „Ile waży koń trojański", to koncertowo wykonał Nicolas Bedos. Akcja rozgrywa się w niedalekiej przyszłości, gdy gazety istnieją już tylko w Internecie, ale tęsknota jest towarem pierwszej potrzeby. Wykorzystuje to firma organizująca zblazowanym bogaczom „pobyty" w dowolnie wybranej epoce. Jeśli chcesz, to możesz się napić wódki z Hemingwayem albo negocjować z Hitlerem pokój w Europie. Victora, outsidera z wyboru i malkontenta z charakteru, zadowoli wycieczka w czasy młodości, do roku 1974. Żona, zafascynowana nowoczesnością, z coraz większym obrzydzeniem patrzy na faceta, który czyta papierowe książki, pali papierosy i bojkotuje wino bezalkoholowe. Film jest uroczy i zarazem przewrotny, przywraca wiarę we francuski esprit. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

wyst. Daniel Auteuil, Doria Tillier, Guillaume Canet

★★★★☆☆

REŻ. NICOLAS BEDOS
„POZNAJMY SIĘ JESZCZE RAZ" („LA BELLE ÉPOQUE")
FRANCJA 2019, DYSTR. GUTEK FILM, VOD.PL, CINEMAN.PL, PLAYER.PL

GRA TYGODNIA: „HALF-LIFE: ALYX"

★★★★★☆

Oryginalny „Half-Life" z 1998 r. to gra, która ukształtowała całe pokolenie fanów pierwszoosobowych strzelanek. Idealne połączenie gęstego klimatu horroru SF, świetna jak na ówczesne czasy grafika i jeszcze lepszy sequel – wystarczyło trzymać tę kurę znoszącą złote jajka na grzędzie i regularnie ją dokarmiać. A jednak studio Valve postąpiło inaczej, na kilkanaście lat zamrażając spekulacje o kontynuacji przygód Gordona Freemana. Aż do teraz, gdy wracamy do świata opanowanego przez obcych, ale w formie, której do tej pory nie uświadczyliśmy – produkcji wydanej w całości na gogle VR. Warto było czekać. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS/VR*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Valve Software*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl d662d706da

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pieniądze to nie wszystko

Nowa książka Wacława Holewińskiego „Oraz wygnani zostali" jest znakomita. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że w dorobku tego autora – najlepsza.

Bohaterem jej uczynił autor hrabiego Ignacego Karola Korwin-Milewskiego (1848–1926), bogacza, właściciela ziemskiego, ekscentryka, kosmopolitę, konserwatystę, ale przede wszystkim mecenasa i kolekcjonera dzieł sztuki. Wspaniałych obrazów polskich malarzy. Tylko polskich.

Dlaczego kupował Gierymskiego i Chełmońskiego, Matejkę i Malczewskiego, Wyczółkowskiego i Czachórskiego, a nie równie świetnych Francuzów choćby? Na impresjonistach na przykład zarobiłby krocie. On jednak skupował dzieła polskich malarzy, wywoził je następnie na swoją (!) wyspę na Adriatyku, gdzie zdobiły wnętrza zbudowanego specjalnie dla niego zamku. On sam w jednym ze swoich tekstów publicystycznych tak to w 1893 r. tłumaczył: „Nabywam obrazy artystów-rodaków, obecnie żyjących, a między takimi wyłącznie tych, co należą lub należeli do szkoły monachijskiej. Każdy rozwój kulturalny związany jest ze swą ojczyzną tylko przez pewien, często krótki okres czasu. Tak więc na początku XIX wieku Polska wydała bohaterów, rycerzy, poetów o zabarwieniu narodowym, a w ostatnich 30 latach malarzy, którzy zapewne nie będą mieli swych następców. Żeby te dzieła nie rozproszyły się, ale zostały zachowane dla Ojczyzny – gromadzę je, by świadczyły o kulturze Polski. Malarze polscy w szczęśliwy sposób połączyli swe narodowe właściwości z realistyczną sztuką szkoły monachijskiej".

Szkoły, w której studiował i sam Korwin-Milewski, który też bardzo chciał zostać malarzem,

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

ale doszedł do wniosku, że wielkim artystą nie zostanie, a przeciętnym – nie chce. Biegle władał wieloma językami, zmieniał obywatelstwa, o Polakach wyrażał się na ogół paskudnie, jawił się lojalistą wobec zaborców i autentycznie kochał polską sztukę. Był czy nie był patriotą? – niech rozsądzi czytelnik, którego uwadze szczególnie polecam kapitalne dialogi głównego bohatera powieści z m.in. Olgą Boznańską, Józefem Brandtem i Janem Matejką.

To z kolekcji tego urodzonego w oszmiańskim powiecie, a zmarłego w chorwackiej Puli miłośnika i znawcy sztuki pochodzą tak wspaniałe dzieła polskiego malarstwa jak: „Stańczyk" i „Autoportret" Jana Matejki, „Opera paryska w nocy" i „Żydówka z pomarańczami" Aleksandra Gierymskiego, „Babie lato" Józefa Chełmońskiego czy „Odpoczynek żniwiarzy" Wincentego Wodzinowskiego. Znajdziemy je, wśród innych, na wkładce z ilustracjami tej – podkreślam raz jeszcze – bardzo dobrej książki.

Powieść Holewińskiego zawiera też fragmenty szczególnie dziś interesujące. Oto, na przykład, natrafiamy w niej na opis Wystawy Światowej urządzonej w Wiedniu w roku 1873: „Wiedeń miał się bawić, błyszczeć, olśnić cały świat. Był [bohater książki, Ignacy Korwin-Milewski – przyp. K.M.] proszony na trzy bale i nie zamierzał rezygnować. Trzeciego dnia lotem błyskawicy obiegła jednak miasto wiadomość o epidemii cholery. W jednej chwili na ulicach zrobiło się znacznie luźniej. A i w hotelach nagle znalazły się miejsca.

Nie był tchórzem, wierzył w swoją dobrą gwiazdę, nie zamierzał uciekać, chciał się bawić, żyć, romansować, ale kiedy na Gloriettegasse zobaczył wymiotującego mężczyznę, oddalił się czym prędzej.

Jakby nieszczęść było mało, piątego maja przyszło załamanie na giełdzie. Miał niewielką kwotę ulokowaną w węgierskim banku, od którego ruszyła lawina. Zdołał wyrwać swoje pieniądze, to prawda, nie wszystkie, ale w przeciwieństwie do innych i tak miał szczęście. Stracił parę tysięcy koron, mógł więcej, mógł mniej, nie zaprzątał tym sobie głowy. Obserwował szaleńców, którzy za wszelką cenę chcieli się pozbyć trefnych papierów. Z dnia na dzień nikły fortuny, wszyscy oszaleli na punkcie złota, tylko ono miało wartość. Wiedział, że trzeba czekać, a potem kupować. Że nie będzie lepszej sposobności. Tylko kiedy? Nie odważył się. I dobrze. Bo choć lubił ryzyko, teraz było zbyt wielkie. Na zawsze przyswoił sobie słowa prawej ręki Bismarcka, Rudolfa von Delbrücka, że państwo nie może zabronić głupcom pozbywania się swoich pieniędzy. Nie, nie był głupcem. Lubił pieniądze, ale nie zamierzał z ich powodu strzelać sobie w łeb".

W dobie koronawirusa warto sobie zakonotować te słowa. ©℗

WACŁAW HOLEWIŃSKI „ORAZ WYGNANI ZOSTALI" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2010

eprasa.pl d662d706da

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rozważania nad kloaką

W jednej z najciekawszych serii wydawanych przez IPN pojawiła się pozycja, której przegapić nie można. „Twórczość na zamówienie" to zbiór szkiców o PRL-owskich literatach związanych z resortem spraw wewnętrznych lub tworzących tak, by w oficjalną linię resortu i partii się wpisać. Nazwiska wielu są dziś kompletnie zapomniane (słusznie), o niektórych pamiętają nieliczni czytelnicy i historycy literatury.

Pojedynczy nadal cieszą się pewną sławą, jak choćby Zbigniew Nienacki (ten od przygód Pana Samochodzika), o którego współpracy z SB Cezary Gmyz pisał jeszcze w „Rzeczpospolitej" w roku 2010. Sławomir Formella opisuje dzieje wczesnej powieści Nienackiego „Worek Judaszów", haniebnego ataku na żołnierzy niepodległościowego podziemia. Nienacki przynajmniej miał talent, czego powiedzieć nie można o Marianie Reniaku, Łukaszu Kuźmiczu, Aleksym Kazberuku czy Janie Babczence. Na dobrą sprawę ich dzieje powinny trafić nie do serii „Dziennikarze, twórcy, naukowcy", lecz „Propaganda, partia, fałsz" (gdyby taką wydawano).

Nieznaną historię Zbigniewa Flisowskiego przedstawia Przemysław Benken. Za młodu zaczytywałem się w marynistycznych wojennych książkach Flisowskiego, nie mając pojęcia, że autor w PRL sądzony był za współpracę z gestapo – co nie przeszkodziło mu potem w karierze w Ludowym Wojsku Polskim. O tłumaczu i pisarzu Macieju Słomczyńskim (vel Joe Alexie) można było poczytać już gdzie indziej, ale Piotr Franaszek porządkuje umiejętnie wiedzę o jego uwikłaniu we współpracę.

Dwa najlepsze szkice w książce to opowieści o Andrzeju Brychcie i Romanie Bratnym. Ten pierwszy był talentem na miarę Marka Hłaski, chwalonym po debiucie w kraju i w pismach emigracyjnych. Michał Mieszko Podolak przypomina postać „amoralnego propagandysty", który po napisaniu kilku dobrych książek postanowił zostać pisarzem bogatym i oklaskiwanym, co poprowadziło go ku dziełkom kłamliwym i jednowymiarowym. Z kolei Stanisław Bereś w tekście „Zakała" opisuje dzieje najbardziej haniebnej książki czasów stanu wojennego, czyli „Roku w trumnie" Romana Bratnego.

Wstępem do wszystkich rozważań jest pytanie, na które próbuje odpowiedzieć Maciej Urbanowski: „Czy literatura PRL była literaturą polską? Wokół tez Józefa Mackiewicza". Warto przypomnieć, że twórca „Kontry" miał twórców, którzy pozostali nad Wisłą pod butem komunistów, za „specyficzną kloakę". ©℗

★★★★★☆

RED. SEBASTIAN LIGARSKI I RAFAŁ ŁATKA „TWÓRCZOŚĆ NA ZAMÓWIENIE" INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Współczesna historia Tybetu – obszerna, pionierska na polskim rynku praca, świetnie dokumentowana i mocno przygnębiająca. Tak jak mówi tytuł: ta historia to przede wszystkim brutalna chińska okupacja i miliony ofiar.

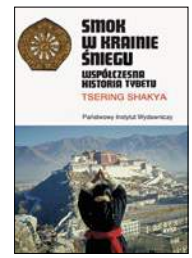

TSERING SHAKYA „SMOK W KRAINIE ŚNIEGU" PIW

Autor spędził pięć lat, pracując w japońskiej korporacji (spora firma z branży maszynowej). Jak tam trafił, co było największym szokiem, a co wyzwaniem, dlaczego nie chciałby powtórzyć tego doświadczenia – warto poczytać.

PIOTR MILEWSKI „PLANETA K" ŚWIAT KSIĄŻKI

Jedna z najlepszych powieści dla młodzieży ostatnich lat. Opowieść o świecie, w którym ludzie potrafią nawzajem słyszeć swoje myśli (efekt zarażenia tajemniczym Szumem). Początek trylogii „Chaos Walking".

PATRICK NESS „NA OSTRZU NOŻA" ZYSK I S-KA

Drugi tom trylogii z Korfu, czyli przezabawnej i pouczającej opowieści nie tylko o świecie zwierząt, lecz także rodzinie Durrellów oraz o życiu w przedwojennej Grecji. Lepsze niż serial, który zapewne widzieliście. ©℗

poleca Piotr Gociek

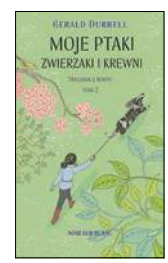

GERALD DURRELL „MOJE PTAKI, ZWIERZAKI I KREWNI" NOIR SUR BLANC

KOMIKS TYGODNIA: „SUPERMAN. CZERWONY SYN"

A gdyby kapsuła z małym Supermanem rozbiła się nie w USA, lecz w Związku Sowieckim? Tak dzieje się w komiksie, w którym przybysz z Kryptona zamiast walczyć w obronie Zachodu, staje się bronią w arsenale Stalina i gorliwym wyznawcą komunizmu. Ta historia alternatywna była jednym z najcieplej przyjętych komiksów w roku 2003. Teraz ukazuje się w edycji luksusowej, rozszerzonej o szkice. Gwoli ścisłości – pomysł całkiem nowy nie jest, wcześniej wpadł na niego John Varley w opowiadaniu „Prawda, sprawiedliwość i jedynie słuszna droga do socjalizmu" (polskie tłum. w piśmie „Hyperion" 1/1999). ©℗

poleca Piotr Gociek

MARK MILLAR, DAVE JOHNSON „SUPERMAN. CZERWONY SYN" EGMONT

eprasa.pl d662d706da

FOT. HURABAN/ART-LEGNICA

Czy to chrząszcz?

Trio, którego nagrania brzmią, jakby tworzyła je niewielka orkiestra. Hanna Włodarczyk to gitarzystka, Monika Zapaśnik odpowiada za wokal i bębny, a Fabiana Raban to prawdziwy multiinstrumentalny kombajn – gra na kontrabasie, skrzypcach, fletach, bębnach obręczowych, egipskiej darbuce (bęben kielichowy), perskiej kemanczy (rodzaj smyczkowego instrumentu strunowego) i... kuchennych garnkach. Już po zestawie instrumentów znać, że HuRaban lubi urozmaicone brzmienia. Tercet sięga do rozmaitych tematów ludowych, m.in. bałkańskich, żydowskich, latynoskich, polskich, ale inspiracje dziewczyn nie kończą się na folku czy – jak kto woli – world music.

HuRaban z Legnicy założyły w 2015 r. absolwentki Akademii Muzycznej we Wrocławiu – Fabiana Raban i Hanna Włodarczyk. Dwa lata później do składu dołączyła Monika Zapaśnik. W roku 2017 HuRaban wydał swój debiutancki album „Owcze źródło" z aranżacjami bałkańskiej muzyki ludowej i własnymi kompozycjami. Druga, wydana niedawno płyta „Czy to chrząszcz?" jest – jak ocenia sama Hanna Włodarczyk – „bardziej wystudiowana i wysmakowana, spójniejsza koncepcyjnie i stylistycznie". Większość utworów na najnowszym albumie jest zaśpiewana po polsku. To za sprawą współpracy zespołu i legnickiej poetki Anny Podczaszy, która napisała słowa piosenek. Jeden z utworów wyszedł spod pióra Moniki Zapaśnik, co było jej debiutem w tej roli.

Przy okazji wydania „Czy to chrząszcz?" artystki podkreślały, że zrealizowały płytę własnymi siłami, finansując jej powstanie z pieniędzy zarobionych na koncertach i z festiwalowych nagród. W marcu HuRaban rozpoczął nagrywanie kolejnego albumu, tym razem jednak prosząc o finansowe wsparcie fanów. „W związku z niewesołą dla nas wszystkich sytuacją epidemiologiczną mamy do Was apel. Owszem – jesteśmy w opłakanej sytuacji, jak większość artystów. ALE! Nie chcemy płakać i się poddawać" – piszą na facebookowym profilu, zapowiadając, że powstaje album „z piosenkami, które znacie i lubicie, a także małą niespodziankę stylistyczną – muzyką, do której będziecie mogli tańczyć, śpiewać, biegać albo nawet ćwiczyć cross fit". Więcej tutaj: facebook.com/hurabanduo. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zapomniany geniusz

Pisał utwory w stylistykach od doo-wopu przez pop, rock i jazz do współczesnej muzyki klasycznej. Był największym rockowym satyrykiem i innowacyjnym gitarzystą. Zmarł w grudniu 1993 r. w wieku 52 lat na raka prostaty.

Ta wydana w 1989 r. autobiografia jest tak jak twórczość Zappy niepowtarzalna. Zaczyna się wprawdzie od dzieciństwa bohatera, jednak chronologia opowieści kończy się w połowie lat 70. Przez następne 270 stron Frank przedstawia absurdy współczesnej mu rzeczywistości, twierdząc, że podstawowym składnikiem wszechświata jest głupota. Jako osoba niepoprawna politycznie ciągle popadał w kłopoty. Będąc długowłosy, wyśmiewał hipisów, nie zażywał narkotyków, nie cierpiał piwa, ale za to nałogowo palił papierosy, pół życia spędził z jedną kobietą i ograniczał wychodzenie na świeże powietrze. Jednocześnie pozwał do sądu Koronę Brytyjską, wystąpił przed amerykańskim Kongresem, broniąc wolności słowa, próbował powołać Kościół Amerykański Sekularnego Antropocentryzmu…

Dlaczego dziś Frank Zappa jest artystą raczej zapomnianym? Z prostego powodu – jest niepodrabialny, a co za tym idzie – nie znalazł godnego siebie naśladowcy. W Polsce nie cieszył się szczególną estymą. Natomiast Václav Havel mianował go reprezentantem Czechosłowacji na terenie USA w dziedzinie kultury, handlu i turystyki, a w Wilnie postawiono mu pomnik. ©℗

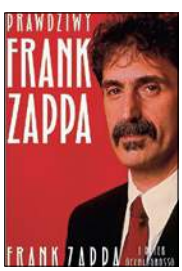

★★★★★★
FRANK ZAPPA & PETER OCCHIOGROSSO „PRAWDZIWY FRANK ZAPPA" IN ROCK

★★★★★☆
PŁOMIEŃ 81 „SZKOŁA 81" SUPERELAKS

Pierwsza od 14 lat płyta Onara i Pezeta z miejsca wskoczyła na szczyt listy OLiS. Nostalgiczny powrót na ursynowskie blokowisko zderzyli oni z dzisiejszą rzeczywistością („łańcuszek z komunii też kończy w lombardzie na półkach").

★★★★☆☆
ROSALIE „IDEAL" DEF JAM

Pierwsza polska płyta dla legendarnej czarnej wytwórni. Siedmiu producentów stworzyło stylowy produkt taneczny. Rosalie miło szepce, a jej teksty odbiegają od popowych klisz. Może tylko za mało czerni ma w głosie. ©℗

eprasa.pl d662d706da

Adrian Stankowski zaprasza:

REPUBLIKA

NIE DAJ SIĘ EPIDEMII

Nowy program o radzeniu sobie w czasach zarazy.
Fakty, informacje, porady.

Od **poniedziałku** do **czwartku** o **17:40**
W **piątek** o **17:15**

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja totalna uznała, że masowe zachorowania i zgony doprowadzą do upadku PiS. Podsyca więc panikę, czekając na załamanie się państwa

Im gorzej, tym lepiej

FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS/GALLO IMAGES

Tuż przed tym, jak dotarła do Polski epidemia (nieco ponad miesiąc temu), pisałem, że ta część opozycji, która sama nazwała się „totalną", przekroczyła granice zdrady narodowej. Polemizowali ze mną Marek Jurek i Piotr Semka, przyznam, że w sposób dla mnie zdumiewający – nie kwestionując mojej diagnozy celów ani metod działania PO i jej akolitów, nie podważając również opinii, że jedno i drugie jest jawnym sprzeniewierzeniem się interesom państwa polskiego. Polemika dotyczyła samego słowa „zdrada". Zdaniem obu polemistów jest ono za mocne. Nie w tym jednak sensie, że nie odpowiada prawdzie, tylko że jego użycie w debacie publicznej nikogo nie przekona, a prowokuje u zwolenników emocjonalne odrzucenie użytych przeze mnie argumentów i utwierdza ich w postawie agresji. Więc po co?

Wydarzenia, które przyszły potem, zepchnęły naszą polemikę na plan dalszy, ale zarazem – mam wrażenie – udowodniły, że moja ocena PO, Lewicy i PSL była słuszna. Nikt, kto choćby pobieżnie śledził działania „opozycji totalnej", nie zaprzeczy chyba, że w epidemii zobaczyła ona nie zagrożenie, nie nieszczęście, ale niepowtarzalną szansę. Z dawna oczekiwaną szansę na upadek rządów PiS. Nie piszę „na odsunięcie PiS od władzy", choć politycy i media opozycji wciąż używają takiego właśnie określenia, bo ich postawa nie ma nic wspólnego z postępowaniem normalnej opozycji w systemie demokratycznym. PO ze swymi akolitami nie przedstawiła żadnego alternatywnego sposobu radzenia sobie z epidemią, nie zrobiła niczego, by w oczach wyborców dobrze wypaść i przekonać ich, że gdyby coś podobnego zdarzyło się podczas jej rządów, obywatele byliby bardziej bezpieczni.

AŻ WŁADZA SPADNIE W RĘCE

„Opozycja totalna" założyła, że masowe zachorowania i zgony doprowadzą do upadku PiS same z siebie. Sprawią, że społeczeństwo spanikuje, doprowadzą do chaosu, służba zdrowia się załamie, a wraz z nią państwo – i władza wreszcie sama spadnie jej w ręce. Jedyna aktywność opozycji ograniczyła się do potęgowania oczekiwanego załamania państwa w myśl zasady: „Im gorzej, tym lepiej". Służyć temu miało usilne produkowanie plotek i „fejków". Rząd zarzucony został oskarżeniami, że „ukrywa prawdę", że

eprasa.pl d662d706da

zaniża prawdziwe liczby zachorowań i zgonów – o poziomie pewności polityków opozycji, że tym razem nareszcie dojdzie do wieszczonego od pięciu lat załamania państwa (bo epidemia nie jest pierwszym kryzysem, w którym pokładają oni takie nadzieje), świadczy to, że tym razem nie tylko posługiwali się już hejterami ukrywającymi swą tożsamość, lecz także wystąpili z „demaskacjami" jawnie. Sama kandydatka PO na prezydenta zarzuciła rząd retorycznymi pytaniami o „prawdę", a towarzyszyli jej w tym otwarcie partyjni koledzy.

Waldy Dzikowski powiadomił naród o tajnej instrukcji rządu nakazującej nie leczyć chorych po sześćdziesiątce. Adam Szejnfeld informował o kolumnach wojska ściąganych do Warszawy z rozkazem otoczenia i zablokowania miasta. Radosław Sikorski i Roman Giertych ochoczo podchwycili rosyjską dezinformację o rzekomym zablokowaniu przez Polskę przelotu samolotów z rosyjską pomocą dla Włoch. Historii o znajomej / matce kolegi / dobrze poinformowanym pracowniku służb/ministerstwa opowiadających, w jak strasznym stanie jest służba zdrowia, co dzieje się w wypełnionych jękami konających szpitalnych kazamatach, jak bardzo wszystkiego brakuje, a władza bezczelnie zastrasza, nie sposób nawet policzyć – wszystko, co mogłoby pogłębić oczekiwaną i pożądaną panikę, opozycja i jej media natychmiast włączały do swej narracji. Rzekome „zastraszanie przez PiS lekarzy" zaowocowało nawet specjalnym oświadczeniem stowarzyszenia sędziowskiego Iustitia w ich obronie.

Obok upowszechniania czarnych wizji upadku służby zdrowia, ludzi konających masowo na korytarzach i schodach, tragicznego losu pozbawionych elementarnego sprzętu lekarzy ważną częścią propagandy opozycji było też oskarżanie władzy o bezczynność.

Posłanka Hartwich rozpowszechniła z obrzydliwym komentarzem zmanipulowane zdjęcie prezydenta (stop-klatka chwytająca go w chwili mrugnięcia oczami) mające dowodzić, że podczas gdy Polacy konają, on sobie śpi. Poseł Zembaczyński w równie niewybredny sposób powielał narracje swej partii, znieważając Jarosława Kaczyńskiego jako „tchórza", który bał się przyjść do Sejmu (w istocie Kaczyński był w tym czasie na głównej sali obrad), a jego partyjny kolega Szczerba rozpowszechniał plotki, jakoby dla Kaczyńskiego przygotowano, oczywiście kosztem zwykłych chorych, specjalną luksusową separatkę w szpitalu wojskowym na Szaserów. Co charakterystyczne, hejtowi wylewanemu kubłami na „tchórza z Żoliborza" za to, że siedzi w domu, towarzyszył równie wulgarny hejt na prezydenta za to, że zamiast siedzieć w pałacu, jeździ po Polsce i spotyka się z ludźmi walczącymi z epidemią, co nazywano „rozsiewaniem wirusów". Doprawdy, wśród bredni produkowanych od tygodni przez obóz III RP brakuje już tylko narracji o czarnej wołdze, która wyłapuje dzieci i wysysa z nich krew dla upiora-Kaczyńskiego. Możliwe jednak, że zanim te słowa do państwa dotrą, i ona się w „tefałenach" opozycji pojawi.

Jedną z wytycznych tej polityki było też straszenie Polaków wizjami „medycznego państwa policyjnego" (określenie „Gazety Wyborczej") oraz przestrogami, że PiS wykorzysta koronawirusa do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Trudno uwierzyć w to dziś, gdy opozycja domaga się jego wprowadzenia, a „zamachem stanu" nazywa upór PiS, by przeprowadzić wybory prezydenckie w konstytucyjnym terminie. Okładka weekendowego wydania wspomnianej gazety: „Epidemia minie, państwo policyjne pozostanie" jest w archiwach – jeśli nie w sieci, to w bibliotekach. Podobnie jak uwiarygadniające linię opozycji oświadczenia rzecznika praw obywatelskich.

UTWARDZANIE „TOTALNOŚCI"

W chwili zagrożenia, gdy społeczeństwo instynktownie oczekuje od wszystkich sił politycznych współpracy, „opozycja totalna" postanowiła się jeszcze bardziej utwardzać w „totalności". Nie występując z żadnymi propozycjami, nawet nie formułując alternatyw przy okazji krytyki posunięć rządu, oddała całkowicie pole PiS na zasadzie – wy róbcie, a my będziemy krzyczeć o faszyzmie, krwi na rękach i patrolach „z długą bronią".

Dobrym tego przykładem jest szarpanina o wybory prezydenckie. Postawa opozycji – „Przełożyć i już" – jest równie merytoryczna i konkretna jak postulat: „Każdemu, kto chce, zapewnić test na wirusa". Pomijając całą złożoność prawną sytuacji, która zresztą nikogo zdaje się nie obchodzić, opozycja ma przekonanie, że wreszcie złapała PiS w pułapkę: odbyć wyborów w terminie nie można i przełożyć ich także nie można. A opozycja, konsekwentnie, jest przeciwko każdemu z tych rozwiązań. Ponieważ na razie PiS próbuje za wszelką cenę do wyborów doprowadzić, dyskurs opozycyjny skupia się na „niekonstytucyjności" ich odbycia w „stanie zagrożenia epidemiologicznego" – co jest tym bardziej smakowite, że to właśnie rząd Donalda Tuska wymyślił w roku 2008 ten dziwny „stan wyjątkowy bez ogłaszania stanu wyjątkowego", by móc sięgać po nadzwyczajne wybory bez kosztów wiążących się z konstytucyjnym stanem nadzwyczajnym; a także – jak przypomniał w RMF FM stosowny cytat Robert Mazurek – po to, żeby nie musieć przekładać wyborów.

Nie miejmy jednak złudzeń, że jeśli PiS się ugnie – może nie tyle przed żądaniami PO i Lewicy, ile przed realiami i przed nastrojami społecznymi – to cała narracja opozycji skupi się na udowadnianiu i podnoszeniu na cały świat rabanu, że przełożone wybory są nielegalne, bo zostały przełożone. I przy pojmowaniu przez UE „praworządności" jako sklerotycznej wierności literze przepisu będą tu mieli mocne karty w ręku. Konstytucyjny bubel, nieprzewidujący takiej sytuacji, sprawia bowiem, że istotnie wybory w każdym innym niż 10 lub 17 maja terminie będą nielegalne. Chyba że odpowiednia ustawa zostanie przyjęta konstytucyjną większością, ale na to „totalna opozycja" na pewno się nie zgodzi. Zapowiedzi komisarz Jourovej dają jej bowiem nadzieję, że będzie mogła wiele w tym chaosie ugrać, może nawet doprowadzić do odmowy uznania władz RP przez kraje Unii.

Ktoś powie, że to „tylko" warcholstwo i skrajny brak odpowiedzialności za państwo. Nie, w połączeniu z innymi działaniami jest to dowód na to, że świadomie przyjętą i celowo realizowaną strategią „totalnej opozycji" jest „wyłączenie państwa polskiego". Śnią jej się chaos, rozpad i upadek, w którym mogłaby powrócić do znaczenia nie z wyroku wyborców – bo przecież strategia „totalnego malkontenctwa" uniemożliwia zdobycie ich sympatii i wykreowanie się jako alternatywa dla obecnej władzy – ale w roli namiestników, wskazanych autorytetem Unii. Im w Polsce gorzej, tym większa szansa, że Polacy mogliby się z czymś takim pogodzić.

Ja nie mam wątpliwości, jak to nazwać, ale zostawiam to do uznania czytelnika.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Na północy Włoch śmiertelność osób po 65. roku życia była o 6 proc. niższa niż wcześniej. Nowy wirus to niejako wyrównał FOT. MARCO MANTOVANI/GETTY IMAGES

Chorobliwa przesada?

Łukasz Warzecha

Nie brakuje głosów, że w sensie medycznym możemy wcale nie mieć wirusowego kataklizmu na bezprecedensową skalę

Jaka jest dominująca narracja, wszyscy wiemy: mamy do czynienia z pandemią niemal tak samo groźną jak ta z 1918 r. Grozi nam globalny paraliż służby zdrowia, lekarze muszą wybierać, kogo ratować, trupy wywozi się ciężarówkami, zatem hibernacja państw i gospodarek jest w pełni uzasadniona, a zakaz wejścia do lasów w Polsce jest słuszny i zbawienny. Błędem byłoby jednak sądzić, że nie ma głosów kwestionujących tę linię rozumowania. I jest ich całkiem sporo.

Wiele tego typu sceptycznych ocen obecnej sytuacji płynie nie od publicystów czy polityków – choć i to się zdarza – lecz od naukowców. Ja epidemiologiem nie jestem. Nie mnie oceniać miarodajność przytaczanych naukowych argumentów. Na pewno natomiast można powiedzieć jedno: wyrokowanie już dziś, że mamy do czynienia z wirusowym kataklizmem na bezprecedensową skalę, jest zdecydowanie pospieszne. Żeby było jasne: mowa tu o samej skali zjawiska w sensie medycznym, a nie o reakcji na nie, bo ta ostatnia faktycznie jest bezprecedensowa, globalna i porażająca.

PORÓWNANIE Z GRYPĄ

Ogólnie dostępne dane mogą być pierwszym powodem do zastanowienia. Jedna z najpopularniejszych stron ze statystykami, podająca też liczbę przypadków COVID-19 – worldometers.info – w chwili pisania przeze mnie tego tekstu informuje, że na całym świecie jest 1,4 mln zdiagnozowanych przypadków, zmarło 82 tys. osób. Przypadków aktywnych jest niewiele ponad 1 mln, z czego 95 proc. w stanie lekkim, a jedynie 5 proc. w krytycznym (niespełna 49 tys.). Przypominam: mowa o całym świecie.

Załóżmy bardzo na wyrost, że mnożymy te liczby przez dwa, bo w wielu miejscach wykonuje się bardzo niewiele testów. Jak to się ma do liczby ludności na świecie – 7,75 mld? Otóż mielibyśmy trzy setne procent chorych, dwie tysięczne procent zgonów zakwalifikowanych jako spowodowane przez COVID-19, a w stanie krytycznym byłaby jedna tysięczna procent ludności świata. Dysproporcja tych liczb z wpływem pandemii na nasze życie, społeczeństwo, gospodarkę bije po oczach.

Jak to wygląda w Polsce? Mamy 38 mln ludzi, zachorowało (stan na 8 kwietnia) niespełna 5 tys., zgonów jest ok. 130. Pomnóżmy liczbę chorych przez dwa (w Polsce robi się mało testów) – dostaniemy 26 setnych procent ludności Polski. Pamiętajmy jednak: nie każdy zakażony wymaga opieki medycznej, bo zdecydowana większość przechodzi chorobę łagodnie. Zgony to trzy dziesięciotysięczne procent! Tymczasem cały kraj stoi od miesiąca.

eprasa.pl d662d706da

Jeszcze bardziej szokująco może to wyglądać w zestawieniu z danymi dotyczącymi sezonowej grypy, na którą w pierwszym kwartale tego roku, według oficjalnej statystyki (zapewne niedoszacowanej), zachorowały w Polsce prawie 2 mln ludzi, a zmarły 53 osoby. O tym się jednak w ogóle nie mówi.

Pojawia się oczywiście argument, że odsetek zgonów na COVID-19 jest w Polsce tak niski właśnie dlatego, że kraj stoi, ale można go odwrócić: skoro odsetek jest tak niski, to dlaczego kraj stoi i ma stać dalej?

Sceptycy podnoszą rozsądnie kilka wątpliwości. Po pierwsze – nie mamy pewności, że koronawirus nie jest z nami już od jakiegoś czasu, a zgony, których był pośrednią przyczyną, przypisywano innym chorobom albo wirusowi zwykłej grypy sezonowej. Po drugie – kontrowersje budzi kwalifikowanie śmierci z powodu COVID-19, bo przypadków, gdy zmarły nie miał chorób towarzyszących, niemal brak. Z tego też powodu błędne jest twierdzenie, że przy zapaści służby zdrowia mielibyśmy liczbę zgonów na COVID-19 plus zgony „normalne". Tu byłaby z pewnością duża część wspólna. Po trzecie – istnieje właściwie pewność, że ogromna liczba przypadków nie została zdiagnozowana, a to oznacza, że odsetek zgonów i przypadków ciężkich musi być znacznie niższy od tego z oficjalnych statystyk. Bezobjawowo chorobę przechodzi zapewne znacznie więcej niż 95 proc. zakażonych.

PRZYKŁAD WŁOSKI MOŻE BYĆ MYLĄCY

Za raportami, które skłoniły brytyjski rząd do ostrej zmiany strategii w sprawie koronawirusa, stał zespół, w którym główną rolę grał epidemiolog Neil Ferguson. To on, na podstawie danych m.in. z Włoch, zaczął alarmować, że brytyjski system ochrony zdrowia może się posypać. Tyle że epidemiolodzy – po pierwsze – nie są specjalistami w innych dziedzinach, w tym w ekonomii czy psychologii społecznej, więc rekomendując kurs politykom, nie biorą tych dziedzin pod uwagę; po drugie zaś – mogą się mylić, bo prognozowanie przebiegu epidemii jest tylko trochę łatwiejsze niż przewidywanie pogody, zwłaszcza przy bardzo niepełnych danych.

Konserwatywny „The Telegraph" wytknął Fergusonowi, że mylił się jednak nader często – i to zawsze w jedną stronę. W 2001 r. stał za szacunkami, które skłoniły rząd Tony'ego Blaira do zarządzenia masowego wybijania zwierząt hodowlanych podczas epidemii pryszczycy. Studium Fergusona zostało potem przez część naukowców skrytykowane jako „nieadekwatne", a akcja „zapobiegawcza" naraziła brytyjskich farmerów i państwo na ok. 10 mld funtów strat. Kilka lat później prognozował, że w wyniku choroby „szalonych krów" i jej owczej odmiany może umrzeć w Wielkiej Brytanii 150 tys. ludzi. Zmarło do dziś poniżej 200, przy czym żadna w wyniku transmisji od owcy.

Zespół Fergusona prognozuje teraz, że bez działań zapobiegawczych na całym świecie na COVID-19 może umrzeć 40 mln ludzi, ale naukowcy wskazują, iż należy do tych szacunków podchodzić bardzo ostrożnie i one same nie powinny być podstawą do podejmowania daleko idących decyzji.

Zwolennicy ścisłej hibernacji państwa w trakcie epidemii wciąż powołują się na przykład włoski, ale ten też nie został należycie przebadany i może być mylący. Okazuje się bowiem, że wyjątkowo wysoka liczba zgonów wiązanych z COVID-19 w tym kraju może być skutkiem bardzo ciepłej zimy i łagodnego sezonu grypowego. To oznacza, że na sezonową grypę umarło znacznie mniej ludzi niż zwykle – po czym dopadł ich koronawirus. Innymi słowy – gdyby sezon grypowy przebiegał gwałtowniej, to ofiar byłoby tyle samo lub niewiele mniej, tyle że rozłożonych na dłuższy czas. W miastach na północy przed wybuchem epidemii śmiertelność osób powyżej 65. roku życia była o 6 proc. niższa niż w poprzednich latach. Nowy wirus to niejako wyrównał.

We Włoszech duże zainteresowanie wzbudziły wypowiedzi mikrochemika, specjalisty od nanomedycyny Stefano Montanariego, który stawia tezę, że wokół pandemii dzieją się dziwne rzeczy. Montanari wskazuje, że po świecie krąży ogromna liczba znacznie bardziej agresywnych patogenów, które nie budzą takiej paniki jak SARS-CoV-2. Przypomina, że z powodu zakażeń, do których dochodzi we włoskich szpitalach, co roku umiera 49 tys. osób i nigdy nie powodowało to ani ich paraliżu, ani zamykania. Dziennie z powodu szpitalnych zakażeń umiera we Włoszech 130 osób – kontynuuje Montanari – i są to często infekcje układu oddechowego. Jednocześnie naukowiec podkreśla, że stwierdzenie, iż ludzie umierają na COVID-19, jest nieuprawnione, bo przyczyną śmierci nie jest wirus, ale inne schorzenia. Mikrochemik nie jest natomiast entuzjastą lansowanej na początku przez Borisa Johnsona koncepcji stadnej odporności. Uważa, że z powodu mutacji wirusa jest ona nie do uzyskania.

SAM WIRUS NIE ZABIJA

„Nikt jeszcze nie umarł na COVID-19 w Hamburgu" – stwierdza z kolei prof. Klaus Püschel z tamtejszego instytutu medycyny sądowej w rozmowie z „Hamburger Morgenpost". Przychyla się tym samym do stanowiska dr. Montanariego, choć prawdopodobnie nigdy o Włochu nie słyszał. Püschel wskazuje, że wszyscy zmarli, których przepadał, byli już chorzy na jakieś chroniczne przypadłości albo prowadzili mocno niezdrowy tryb życia: bardzo dużo palili, mieli sporą nadwagę, cukrzycę. Püschel stwierdza, że gdyby decyzje zależały od niego, działałby inaczej niż politycy.

Najbardziej wpływowym sceptykiem wśród naukowców jest prawdopodobnie dr Anders Tegnell, krajowy epidemiolog w Królestwie Szwecji, wciąż obrońca liberalnego modelu walki z epidemią. Tegnell skrytykował przejście w Wielkiej Brytanii od modelu skrajnej swobody do modelu niemal pełnego zahibernowania państwa, stwierdzając, że poszło to zdecydowanie zbyt daleko. „Jestem generalnie sceptykiem, jeśli chodzi o lockdowny – mówi Tegnell – ale jeżeli je już w ogóle robić, to na samym początku, a nie później". Epidemiolog oznajmia, że nadal bywa w restauracjach, i wskazuje, że trzeba się liczyć ze stanem gospodarki. „Bezrobotni są zagrożeniem dla zdrowia publicznego i o tym też trzeba pamiętać" – mówi.

Strach jest złym doradcą. Nie pozwala myśleć racjonalnie. Dzisiaj nie jesteśmy w stanie w pełni ocenić, czy mamy naprawdę do czynienia z medycznym i zdrowotnym kataklizmem czy też z epidemią paniki bardziej niż wirusa. Nie możemy też być pewni, że dane z poszczególnych krajów są porównywalne, bo różnią je demografia, zagęszczenie ludności, nawyki higieniczne i moment podjęcia jakichkolwiek działań przez rządy. Dlatego na razie najrozsądniejszy wydaje się zdrowy sceptycyzm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O SZWEDZKIM SPOSOBIE WALKI Z KORONAWIRUSEM CZYTAJ NA STR. 64

eprasa.pl d662d706da

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Osłabić, żeby wzmocnić

W konstytucji, jak wiadomo, nie należy gmerać, ale gdy to się wszystko skończy (ulubiony zwrot ostatnich tygodni), trzeba będzie to zrobić. Doświadczenie pokazuje, że z prezydentem wybieranym w powszechnych wyborach jest w Polsce kłopot. Ostatnio kłopot jest nawet z samymi wyborami. Trzeba zatem z nich zrezygnować.

Główny problem polega na tym, że Polacy poważnie, a nawet bardzo poważnie traktują slogan o prezydencie wszystkich Polaków. W warunkach powszechnie wybieranego prezydenta ta utopijna wizja jest nie do zrealizowania. Oczywiste jest, że prezydent, ktokolwiek by nim był, musi być lojalny przede wszystkim wobec swoich wyborców. I musi się trzymać programu, z którym szedł do pałacu. Pozostali wyborcy mają wówczas słuszne poczucie, że głowa państwa ma ich w nosie. Że to nie ich prezydent, a przecież powinien być ich. Ale tak po prostu musi być. Wyobraźmy sobie, że Trump dopieszcza demokratów, a Macron realizuje program Frontu Narodowego. Zostaliby zmasakrowani przez własnych wyborców, którzy oczywiście poczuliby się zdradzeni. I mieliby rację. Ergo, wybrany w powszechnych wyborach prezydent nie może być „prezydentem wszystkich Polaków".

Jak z tego wybrnąć? Jest jedno wyjście. Trzeba porzucić mieszany kanclersko-prezydencki model rządów i postawić na system jednoznacznie kanclerski. Oznacza to rezygnację z powszechnych wyborów prezydenckich i osłabienie pozycji głowy państwa do funkcji reprezentacyjno-notarialnych. Tak jak w – przepraszam za wyrażenie – Niemczech.

Przyniesie to dużo korzyści. Przede wszystkim zmniejszy się liczba napięć wpisanych w system. Jak pamiętamy, koabitacja czy to Aleksandra Kwaśniewskiego z prawicą, czy Lecha Kaczyńskiego z Platformą Obywatelską była z definicji trudna i pełna konfliktów. Których w polskiej polityce i tak nie brakuje, bo taka jest jej natura. W dodatku z politycznego kalendarza wypadną wybory budzące szczególne emocje, bo personalne pojedynki kandydatów najmocniej rozpalają i ich samych, i opinię publiczną. Czyli jedna trzecia emocji wyparuje.

I kolejna sprawa. W Polsce brak jest czynnika, autorytetu, instytucji dbających o dobro wspólne. Czynnika nastawionego na integrację, a nie rywalizację. Silny prezydent, sprawujący realną władzę, jest zakładnikiem i uczestnikiem swojego obozu politycznego. Musi uczestniczyć w walce o wyborców i wpływy. Prezydent o niewielkich kompetencjach, odsunięty od politycznych gier, może koncentrować się na budowie swojego osobistego autorytetu. Przydałby się w polskiej polityce ktoś, kto nie podejmowałby ważnych decyzji, ale od czasu do czasu (najlepiej jak najrzadziej, tak jak królowa Elżbieta) powiedział jedynie parę mądrych lub wzniosłych słów. Ktoś, kto istniałby jedynie po to, żebyśmy go lubili i szanowali. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Ślepa uliczka Krakowa

Kiedy tydzień temu przechodziłem przez rynek i ul. Floriańską w Krakowie, uderzyła mnie niedająca spokoju myśl. Być może lepiej niż setki statystyk uświadamiająca skalę gospodarczego trzęsienia ziemi, z którym dopiero będziemy musieli się zmierzyć. Otóż nigdy w historii – czy w czasach epidemii czarnej śmierci, podczas zaborów, pierwszej albo drugiej wojny światowej – nikt nie widział praktycznie wyludnionego Starego Miasta byłej stolicy Polski. Pandemia, przez którą obecnie przechodzimy, nie ma precedensu. Owszem, bywały w dziejach gorsze, pociągające za sobą więcej ofiar, ale nigdy żaden wirus nie uderzył w ludzkość epoki globalnej, obnażając równocześnie wąskie gardła łańcuchów dostaw, ekstremalnie wysokiej mobilności społecznej oraz opierania gospodarki danego regionu na jednej gałęzi przemysłu albo usług.

Centrum Krakowa w nocy jest puste, ponieważ prawie nikt z mieszkańców już w nim nie mieszka

Kraków sukcesywnie od dekad popełniał wszystkie błędy, które dzisiaj zemszczą się na nim być może najbrutalniej z największych miast w kraju. Milionowe centrum Małopolski zamarło bowiem nie tylko w kwarantannowym bezruchu, lecz także już znacznie wcześniej oswoiło się ze stagnacją oraz przywiązało do pocztówkowego wizerunku europejskiej stolicy „city breaków". Niedrogich destynacji, do których ucieka się tanim lotem z Londynu czy Paryża, żeby popić przez weekend za drobne. Milionowe zyski, kolejne rekordy gości, swoiste perpetuum mobile napędzające budżet miasta wykreowały iluzję bezpieczeństwa. Kraj modernizował się i szedł do przodu, krakówek pozostawał oczarowany swoją wielkomiejską prowincjonalnością, za szczyt ekstrawagancji uznając głosowanie na kogokolwiek poza statecznym prof. Jackiem Majchrowskim, zasiadającym z cygarem w swoim gabinecie dłużej niż Bolesław Łokietek na tronie Rzeczypospolitej.

Dzisiaj wystarczy jeden spacer, aby zrozumieć tragizm sytuacji, do której doprowadziła miasto polityka nadmiernej turystyfikacji, oddawania przestrzeni deweloperom, braku regulacji najmu krótkoterminowego oraz innowacyjności rozumianej jako otwieranie kolejnych powierzchni biurowych dla centrów outsourcingu. Centrum Krakowa w nocy jest puste, ponieważ prawie nikt z mieszkańców już w nim nie mieszka. Przy braku turystów budżet odnotuje miliardowe straty. Delegując prace zdalnie, wiele firm uświadomi sobie, że wcale za te biura w Polsce płacić nie musi. I co wtedy? Kto będzie się cieszył z Plant i Wawelu, jeśli nie będzie za co w tym mieście żyć? ©℗

eprasa.pl d662d706da

Jeszcze kilka lat temu zagraniczne media, w tym nawet niemieckie, bez skrupułów pisały o „polskich obozach śmierci". Polskiemu rządowi z pomocą polskich mediów udało się wygrać kilka bitew z tym szkalującym Polaków określeniem. Czy wojnę o pamięć można uznać za wygraną?

Kolejne sukcesy cieszą i pokazują, że udaje nam się skutecznie docierać z prawdą historyczną do coraz szerszego grona odbiorców. Jeszcze wiele jest jednak do zrobienia. Marszałek Piłsudski mawiał, że „być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, a zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska". My na pewno nie zamierzamy popełniać tego błędu.

Praca nad skutecznością obecnych metod przeciwdziałania przestępczości polegających na znieważaniu Rzeczypospolitej Polskiej i Narodu Polskiego wymaga od nas jeszcze większego zaangażowania. Niestety prowadzone w tych obszarach postępowania przygotowawcze w zdecydowanej większości kończą się wydaniem postanowienia o umorzeniu postępowania ze względu na brak wypełnienia przez sprawcę znamion czynu zabronionego lub stwierdzeniem, że sprawca nie popełnił przestępstwa.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest literalne stosowanie przez organy ścigania obowiązującej w postępowaniu karnym zasady oportunizmu procesowego. Pozycja organów ścigania w ujawnianiu realizacji niezbędnych do prowadzenia postępowania karnego znamion przestępstwa stypizowanego w przepisie art. 133 k.k. jest znacznie utrudniona.

Tym samym w kontekście przytoczonej wyżej problematyki natury prawnej jeszcze ważniejsze wydaje się podejmowanie odpowiednich akcji o charakterze informacyjnym, które pozwolą zapobiegać negatywnym skutkom przestępczości w obszarze, w którym prawo pozostaje wyraźnie bezsilne.

Rozmowa z dr. Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości

Musimy być przygotowani do dalszej walki

Podczas konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią" minister Ziobro stwierdził, że zadaniem państwa i jego elit jest przeciwstawianie się procesowi fałszowania historii. Jakie są możliwości walki na tym polu?

Ważną częścią prowadzonych w tym zakresie działań jest zwiększanie świadomości społecznej szkodliwości czynu określonego w przywołanym już wcześniej art. 133 k.k., zgodnie z którym „kto publicznie znieważa Naród lub Rzeczpospolitą Polską, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3".

Przesłanki tego przepisu określone są w sposób ogólny, co może być przyczyną licznych problemów związanych z jego wykładnią oraz stosowaniem w praktyce. Głównymi powodami, dla których przepis ten jest stosowany rzadko i tym samym nie spełnia przypisanej mu roli, czyli ochrony dobra prawnego, jakim jest dobre imię narodu oraz Rzeczypospolitej Polskiej, są wątpliwości interpretacyjne związane z wykazaniem przez organ ścigania wypełnienia przez sprawcę znamion przestępstwa. Organy stosujące prawo natrafiają na poważne trudności dowodowe, nawet w przypadku zachowań, w których prima facie znamiona tego czynu zabronionego są w sposób oczywisty wypełnione.

Artykuł 133 k.k. nie dookreśla miejsca popełnienia przestępstwa. Brak jest jednocześnie, co do zasady, możliwości ścigania sprawcy (niezależnie od jego obywatelstwa), który dopuści się go poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej, a to właśnie tam najczęściej dochodzi do sytuacji mogących realizować jego znamiona. Musimy

być przygotowani do dalszej walki. Zjawiska takie jak brutalizacja języka debaty publicznej sprawiają, że coraz częściej mamy do czynienia z sytuacjami, w których może dochodzić do popełnienia przestępstwa z tego artykułu, choć trudno jest to dostrzec w oficjalnych statystykach kryminalnych.

Szczególne zaniepokojenie powinien budzić fakt, że przywoływane przepisy mogą okazać się niewystarczającymi instrumentami ochrony prawnej przed zjawiskiem tworzenia i rozpowszechniania tzw. fake newsów, czyli zachowania polegającego na świadomym wpuszczaniu do obiegu medialnego nieprawdziwych informacji. Ostatnie lata pokazały, że jest ono w stanie wywierać bardzo duży wpływ na opinię publiczną, doprowadzając do niesłusznej kompromitacji zarówno konkretnych osób, jak i całych organizacji, w tym również państw.

A może dobrym pomysłem byłyby pozwy cywilne z żądaniami wielomilionowych odszkodowań za kalanie imienia Polaków?

Uzasadnione jest podejmowanie działań o charakterze zapobiegawczym oraz wyjaśniającym. Koniecznie jest również prowadzenie działań edukacyjnych popularyzujących prawdę historyczną w atrakcyjnej, nowoczesnej, ciekawej formie.

Trzeba skupić się na dostarczeniu precyzyjnie zdefiniowanej narracji, przygotowanej tak, by osiągnąć za jej pomocą zakładane cele. Polska w kraju i za granicą posiada wciąż zbyt niski poziom elementarnej zdolności o charakterze informacyjno-komunikacyjnym.

W naszym kraju działa zbyt mało instytucji zajmujących się neutralizacją wrogich działań dezinformacyjnych wymierzonych w znieważanie Rzeczypospolitej Polskiej oraz całego polskiego społeczeństwa.

Istnieje zatem głęboka potrzeba inicjowania projektów, które pozwolą na to, aby głos Polski był słyszalny za granicą i by skutecznie komunikować się z odbiorcami informacji w kraju. Potrzebujemy specjalistów, którzy poruszając się z łatwością w przestrzeni wirtualnej, będą zdolni do narzucania odpowiedniej narracji debaty publicznej, w tym między innymi na stronach mediów społecznościowych, które w dzisiejszych czasach odgrywają istotną rolę.

Celem prowadzonych w tym zakresie działań powinno być informowanie społeczeństwa, w tym opinii międzynarodowej, o zgodnym z prawdą historyczną przebiegu wydarzeń, których zniekształcanie przyczynia się do wypełniania znamion czynu zabronionego stypizowanego w przepisie art. 133 k.k.

Pamiętajmy przy tym, że znieważanie Narodu Polskiego i Rzeczypospolitej Polskiej nie pochodzi wyłącznie z działań prowadzonych na arenie międzynarodowej od podmiotów zagranicznych, ale również dotyczy znieważających twierdzeń na temat organów władzy państwowej utożsamiających Rzeczpospolitą Polską, która jak każde wolne, demokratyczne państwo posiada prawo do samostanowienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

FOT. CHRIS NIEDENTHAL/FORUM

Prymas Wyszyński, władca dusz polskich

Krzysztof Masłoń

Był kard. Stefan Wyszyński Polakiem wybitnym, Polakiem wyjątkowym. Po Bogu, po Marii najważniejsza dla niego była Polska. Co dzisiaj, w obliczu i dawnych, i zupełnie nowych zagrożeń, powiedziałby Prymas Tysiąclecia Polakom?

Na 7 czerwca zaplanowano w Warszawie uroczystości beatyfikacyjne kard. Stefana Wyszyńskiego. W sytuacji, gdy nie wiemy, co będzie jutro, trudno zawyrokować, co stanie się prawie za dwa miesiące, ale niezależnie od tego, jak potoczą się wypadki, wyniesienie na ołtarze Prymasa Tysiąclecia jest spełnieniem ponad 30-letnich starań o jego beatyfikację, zwieńczeniem tego długiego, za długiego procesu.

Miał prymas swoich przeciwników za życia, miał ich po śmierci. Czesław Ryszka w wydanej ostatnio jego biografii twierdzi, że „różne środowiska tzw. katolików otwartych w Polsce drażniło odwoływanie się przez Prymasa Wyszyńskiego do katolicyzmu ludowego i kultu Maryjnego. Jak wspominał po latach jeden z pisarzy należących wówczas do grona »postępowych katolików«: »Nas, głupich inteligencików warszawskich, rozwijanie kultu Maryjnego strasznie raziło« (Bohdan Cywiński). Raził te środowiska fakt, że Prymas »poszedł w masowość«, forsując przez to »mało pogłębiony katolicyzm«. Nie ulega jednak wątpliwości, że ta krytykowana »masowość«, czyli de facto forsowanie przez Prymasa znaczenia rodziny i narodu, odbierane w środowiskach »postępowych katolików« jako niebezpieczne ocieranie się o nacjonalizm, była najlepszym sposobem opierania się komunistycznej »masowości«, marksistowskiej urawniłowce, pozbawiającej jednostkę niezbywalnego i niepowtarzalnego podobieństwa do Boga”.

WYBUCH ZŁA I NIENAWIŚCI

Ksiądz prymas niemal od pierwszej chwili znalazł się na celowniku komunistycznej władzy. Śledzono każdy jego krok, podsłuchiwano rozmowy, nękano go na najrozmaitsze sposoby, niebawem też dokonano zamachu na jego osobę, na szczęście nieudanego. Kiedy się czyta relację Janusza Zabłockiego o tym, co zdarzyło się 5 lutego 1949 r. na trasie z Gniezna do Warszawy, automatycznie nasuwa się skojarzenie z morderstwem ks. Jerzego Popiełuszki. Poprzednicy Piotrowskiego i wspólników z tego samego resortu „bezpieczeństwa” rozciągnęli w poprzek drogi, na trakcie do Wrześni, pomalowaną na czarno stalową linę i przymocowali ją do drzew na wysokości kierowcy samochodu osobowego. Ksiądz prymas rzecz skwitował jednym zdaniem: „Na szczęście nie miałem zamiaru jechać do Wrześni, a na linę wpadł samochód ciężarowy z Gniezna, który jechał z Witkowa do Wrześni”.

Czyż było możliwe – pytał Zabłocki – żeby prymas, „dawny żołnierz AK, zaprzysiężony jako kapelan oddziałów bojowych pod pseudonimem Radwan III – nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistego znaczenia tego wydarzenia, z całego grożącego wówczas jego życiu niebezpieczeństwa”? Przecież „ten niepojęty wybuch zła i nienawiści musiał go zapewne głęboko poruszyć. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że w zamierzeniach sprawców zamach ten – choć bezpośrednio wymierzony w niego – ugodzić miał w cały polski Kościół”.

Pomimo zamachu i całej bezprzykładnej kampanii nienawiści wymierzonej w Kościół Stefan Wyszyński konsekwentnie dążył do jakiegoś ułożenia stosunków z nieprzyjazną władzą. I w końcu doprowadził do zawarcia w 1950 r. porozumienia z rządem, pierwszej tego rodzaju umowy w bloku państw komunistycznych. Po latach prymas przyznał, że doprowadzili do tego we trzech, z biskupami Choromańskim i Klepaczem, „znosząc cierpliwie bezadresowe humory” kard. Sapiehy, niezamierzającego „babrać się z komunistami” w dysputy. Poszczególne punkty porozumienia budzą dziś, podobnie jak wtedy, uzasadnione wątpliwości. Episkopat zadeklarował w nim m.in., że będzie zwalczał – jak to zostało ujęte w tekście – „zbrodniczą działalność band podziemia”.

eprasa.pl d662d706da

Biskupi zobowiązali się też nie sprzeciwiać kolektywizacji wsi. W zamian rząd gwarantował Kościołowi swobodę w prowadzeniu działań charytatywnych, dobroczynnych i, co najważniejsze, katechetycznych. Miały zostać zachowane szkoły katolickie, prasa i stowarzyszenia. Zobowiązano się również do odraczania służby wojskowej alumnom i zwalniania z niej księży, a także zapewnienia swobody działania zakonom.

Porozumienie przyjęte zostało z rezerwą, a Wyszyńskiego nie tylko na emigracji zaczęto nazywać „czerwonym kardynałem". Dzisiaj, w przededniu beatyfikacji księdza prymasa, wydaje się to niewiarygodne, ale i w Watykanie krytykowano go za nadmierne ustępstwa wobec władz. Nie pojmowano tego, co dla Wyszyńskiego było najważniejsze – że w ten sposób daje szansę na ocalenie Kościoła w Polsce, uchronienia go przed rozdarciem i losem, jaki zgotowano katolikom w innych państwach komunistycznych. Jak mówił kard. Stanisław Dziwisz: „Prymas myślał o tym porozumieniu do końca życia. Był przekonany, że tak należało postąpić".

Pewny był również, gdy w maju 1953 r. pisał na memoriale Episkopatu do władz sławne odtąd słowa: „Non possumus" („Nie możemy"). Biskupi polscy protestowali tym samym nie tylko przeciw zadekretowanemu obsadzaniu przez władze stanowisk kościelnych, lecz także usuwaniu religii ze szkoły, a Boga z serc młodzieży, politycznej presji i dywersji prowadzonej wśród duchowieństwa, działalności „księży patriotów", niszczeniu prasy i wydawnictw katolickich, ingerencji w wewnętrzne sprawy Kościoła, słowem – temu wszystkiemu, co sprawiało, że położenie Kościoła w Polsce ulegało stałemu, postępującemu pogorszeniu.

„[…] gdyby postawiono nas wobec alternatywy: albo poddanie jurysdykcji kościelnej jako narzędzia władzy świeckiej, albo osobista ofiara, wahać się nie będziemy. Pójdziemy za głosem apostolskiego naszego powołania i kapłańskiego sumienia, idąc z wewnętrznym pokojem i świadomością, że do prześladowania nie daliśmy powodu, że cierpienie staje się naszym udziałem nie za co innego, lecz tylko za sprawę Chrystusa i Chrystusowego Kościoła. Rzeczy Bożych na ołtarzach Cezara składać nam nie wolno. NON POSSUMUS!".

Po memoriale los prymasa Wyszyńskiego został przesądzony. Aresztowano go 25 września 1953 r. W izolacji spędził ponad trzy lata. Więzionemu prymasowi towarzyszyły dwie osoby: ksiądz i zakonnica, obie na usługach bezpieki. Dla Wyszyńskiego nie było w tym nic dziwnego; przed aresztowaniem donosili na niego „Kowalski" i „Heniek", „Bogucki" i „Żagiełowski", „Niewiadomski" i „Jerzy". A to tylko sam wierzchołek długiej listy agentów Urzędu Bezpieczeństwa inwigilujących księdza prymasa. I nie tylko jego; w latach PRL z UB, a następnie z SB współpracowało od 10 do 12 proc. księży.

Bezpieka nie dawała spokoju także rodzinie Wyszyńskich. W 1948 r. aresztowany został jego przyrodni brat – Tadeusz, w czasie wojny członek NSZ, oskarżony o zabójstwo komunistów. Zabrakło jednak dowodów zbrodni, by urządzić aresztowanemu bratu ówczesnego biskupa lubelskiego pokazowy proces, ale w więzieniu trzymano go bez wyroku przez cztery lata. Po zwolnieniu w 1952 r. znów go zatrzymano na dwa tygodnie, po czym wypuszczono, tłumacząc, że to była pomyłka. Być może wtedy już planowano całkiem inne aresztowanie…

26 października 1956 r. w swoich „Zapiskach więziennych" Stefan Wyszyński odnotował: „O godzinie 9.00 rano zgłosił się do klasztoru w Komańczy wiceminister sprawiedliwości Zenon Kliszko i poseł Władysław Bieńkowski z polecenia Władysława Gomułki [...]. Oświadczyli mi, że przybywają z ramienia towarzysza Wiesława, dla przedłożenia pewnych spraw do rozważenia. Nowy Sekretarz PZPR stoi na stanowisku, że konieczny jest jak najszybszy powrót Prymasa do Warszawy i objęcie urzędowania. [...] Moja odpowiedź: »Jestem tego zdania od trzech lat, że miejsce Prymasa Polski jest w Warszawie«".

W tym, co prymas mówił i pisał, doszukiwano się aluzji w co drugim zdaniu. I słusznie; w stulecie powstania styczniowego tak na przykład powiadał: „Gdy człowiek czy naród czuje się na jakimkolwiek odcinku związany i skrępowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrępowane jest stalowymi gorsetami, wtedy […] wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobycia się z niej". Temat tych rozważań był wprawdzie historyczny, ale wnioski wyciągnięte przez kardynała – całkiem współczesne. Także taki: „Nie jestem historykiem, ale też nie wszystkim »historykom« wierzę, bo chociaż historia to magistra vitae, ale nie wszyscy historycy są nauczycielami życia. Można ich czytać, ale własny zmysł rodzimy i narodowy każe mi myśleć samodzielnie nawet wtedy, gdy przewracam foliały prac historyków". Trzy lata później, przy okazji słynnego orędzia, przekaże biskupom niemieckim pracę Oskara Haleckiego „Tysiąclecie Polski katolickiej", będzie się na nią powoływał, a żyjącego na emigracji autora zaprosi na milenijne obchody do Rzymu. Wszystko to wywoła wściekłość Gomułki, któremu podsunięto inną zresztą książkę Haleckiego z cytatem podającym w wątpliwość – jak uznał przywódca PZPR – trwałość granicy na Odrze i Nysie. Zapluwał się więc ze złości, obrzucając inwektywami świetnego historyka, a w liście do Wyszyńskiego z 2 kwietnia 1966 r. pisał:

„Muszę zakomunikować księdzu Kardynałowi, że nie interesuje mnie, jak wysoko cenią sobie koła rzymskie wroga Polski Ludowej Oskara Haleckiego. Jeśli ksiądz Kardynał zdecydował się na wysłanie listu do mnie, to przynajmniej mógł sobie podarować tej impertynencji. Kłamstwo i obłuda należą do złych cech człowieka. Ksiądz Kardynał zapomniał o tym widocznie, pisząc w swym liście – »nie mogliśmy powierzyć odczytu na akademii w Rzymie żadnemu historykowi z kraju, gdyż nie mieliśmy pewności, czy dostałby paszport. Obawa całkowicie uzasadniona na moim przykładzie«. Jest to typowy przykład przeinaczania prawdy. W czasie kiedy Haleckiemu zlecono wygłoszenie odczytu, ksiądz Kardynał dyplomatyczny paszport zagraniczny posiadał. Zaliczał się zatem do ludzi uprzywilejowanych i jeśli uprawnienia te utracił, to tylko z powodu swego działania szkodliwego z punktu widzenia interesów Państwa Polskiego".

ŻADNYCH PYTAŃ

Pomijając buractwo Gomułki bijące z każdego zdania tego listu, przynosi on potwierdzenie dwóch faktów: że kard. Wyszyński bezbłędnie oceniał poziom krajowej nauki, którą stalinizm wpędził w niewyobrażalny kanał (w 1953 r. robiący błyskawiczną karierę przyszły pupil komuny Janusz Tazbir oskarżył Haleckiego, że zatruwa naród polski „jadem historycznie umotywowanej" nienawiści w interesie obcych imperialistów i rodzimych klas posiadających), i że szantażowanie prymasa łaskawym przyznawaniem mu i znacznie częstszym odbieraniem paszportu stanowiło przez wiele lat lejtmotyw działań partii wobec człowieka, który nazwany zostanie Ojcem Ojczyzny.

eprasa.pl d662d706da

Odbieraniem paszportu prymasowi chwalili się towarzysze Gomułka i Cyrankiewicz (uchodzący, a jakże, za liberała) podczas spotkania z delegacją Rumuńskiej Partii Komunistycznej, oczywiście na czele z Ceaușescu, które odbyło się na przełomie marca i kwietnia 1966 r. w Moskwie na zjeździe KPZR. Gomułka opowiedział towarzyszom rumuńskim, czym – jego zdaniem – jest orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich („to próba, u której podstaw leży polityka zmierzająca do likwidacji NRD"), wyjaśnił, dlaczego odmówił zgody na przyjazd do Polski papieża Pawła VI („uzasadnialiśmy to tylko jednym punktem – antypolską polityką Wyszyńskiego"), oraz zapowiedział, że „nie mamy zamiaru wypuszczać Wyszyńskiego poza granice Polski dotąd, dopóki on nie zmieni postawy". Na koniec oznajmił, że na organizowane przez Kościół obchody 1000-lecia Polski zagraniczni biskupi nie będą wpuszczani („Pewną część Polonii, która zgłasza się jako turyści, puścimy. Ale bez biskupów"), po czym potwierdził, że każdy w Polsce uprawiać może kult religijny, i poprosił o ewentualne pytania. Nicolae Ceaușescu nie miał żadnych pytań, a dziękując Gomułce za wyczerpującą informację, zauważył: „Jest zrozumiałe, że u nas takich spraw nie ma w ogóle. Mamy mało katolików". Liberał Cyrankiewicz westchnął w tym momencie: „Lżej żyć".

„O wiele" – zgodził się Geniusz Karpat.

CZŁOWIEK Z ŻELAZA

Ciekawe, że ksiądz prymas, nigdy niemający złudzeń co do Gomułki, wykazywał trudno zrozumiałą słabość do Bieruta. Najprawdopodobniej wzięła się ona z czasów, gdy był jeszcze biskupem lubelskim. W każdym razie usiłował doszukać się w działaniach towarzysza Tomasza jakichkolwiek pozytywnych intencji. „Wydaje się, że ten człowiek chce Polski" – tłumaczył jego postępowanie w „Zapiskach więziennych". Szybko się jednak przekonał, że dzielenie aparatczyków z Biura Politycznego KC PZPR na dobrych i złych, niczym dobrych i złych policjantów, nie ma żadnego sensu. A Gomułkę, w przeciwieństwie do Bieruta, stać było przynajmniej na samodzielną politykę wobec Kościoła. Wcześniej, za rządów Bieruta, dekretowana była ona w Moskwie.

Nazywano niekiedy Wyszyńskiego Żelaznym Prymasem. Był w tym określeniu podziw dla jego nieugiętości wobec władzy, a także odwagi, którą wykazywał, podejmując decyzje trudne i niepopularne. A także mówiąc wiernym nie zawsze te słowa, których oczekiwali. Tak właśnie stało się 26 sierpnia 1980 r. na Jasnej Górze, kiedy w kontekście strajków na Wybrzeżu prymas przypominał, że to „praca, a nie bezczynność jest sprzymierzeńcem człowieka w jego życiu osobistym, w dobrobycie rodzinnym i domowym oraz w dobrobycie narodowym". Władza dodatkowo zmanipulowała tekst kazania i po kraju rozlała się fala rozgoryczenia, że oto przywódca narodu czyni ukłon wobec władzy, nawołującej przecież do pracy właśnie i zaniechania strajków. Niełatwo było księdzu kardynałowi uspokoić co bardziej zapalczywe głowy, przedstawić swoje prawdziwe intencje, a wreszcie uświadomić, że w tamtej atmosferze wystarczyłaby iskra, żeby podpalić płomień, który mógłby strawić to, co najcenniejsze – Polskę.

Tutaj warto przypomnieć, że w 1946 r. we Włocławku wydał Stefan Wyszyński książkę „Duch pracy ludzkiej", w której dał przejrzysty wykład katolickiej nauki społecznej. (Opublikował również pod pseudonimem Stefan Zuzelski broszurę „Stolica Apostolska i świat powojenny", z której czyniono zarzut, jakoby autor nadmiernie sympatyzował z włoskim korporacjonizmem, stąd krok tylko był do posądzenia o kryptofaszyzm). I polemizował w niej zarówno z socjalistycznym, jak i liberalnym rozumieniem ludzkiej pracy. „W komunizmie – pisał – na czoło wysuwa się dobro państwa, w kapitalizmie – dobro przedsiębiorcy: tu i tam robotnik jest tylko siłą, czynnikiem produkcji; i komunizm, i kapitalizm oceniły stanowisko robotnika w procesie wytwórczym jako czynnik drugorzędny; tu i tam wysuwa się na czoło mistyka maksymalnej produkcji".

W procesie pracy prymas stawał zawsze po stronie wykorzystywanego i wyzyskiwanego. Musiała być więc mu bliska Solidarność, której powstanie powitał z satysfakcją i radością. Jednak też przestrzegał związkowców, mówiąc: „Ruch, który zrodził się w Polsce – odnowy moralnej i społecznej – jest wybitnie polski. Ten ruch musi służyć przede wszystkim sprawie Polski, to znaczy ludności polskiej, czy to będzie ludność rolnicza, czy robotnicza, dla zaspokojenia jej potrzeb. Trzeba się strzec, żeby się nie wplątali tacy ludzie, którzy mają inne założenia, którzy są gdzieś uzależnieni i chcą przeprowadzić niepolskie sprawy. Trudno to po nazwisku wymieniać". Darujmy sobie i my te nazwiska, poprzestając na stwierdzeniu, że i w tym przypadku, i w dziesiątkach innych ksiądz kardynał miał stuprocentową rację.

Prymas Tysiąclecia zmarł w wyniku choroby nowotworowej 28 maja 1981 r. Piętnaście dni wcześniej w Rzymie przeprowadzono zamach na życie Jana Pawła II. Ze zrozumiałych względów Ojciec Święty nie mógł być obecny 31 maja na uroczystościach pogrzebowych, porównywanych do tych, które odbyły się po śmierci Jozefa Piłsudskiego. Ceremonii przewodniczył specjalny delegat papieski kard. Agostino Casaroli, po czym kard. Stefan Wyszyński pochowany został w podziemiach bazyliki archikatedralnej św. Jana Chrzciciela.

„Prymas nie doczekał 80. rocznicy swych urodzin, nie doczekał jubileuszu 600-lecia czci Matki Bożej Jasnogórskiej, do których przygotowywał Kościół w Polsce – pisze Czesław Ryszka w »Ojcu Ojczyzny«. – Natomiast wyprorokował polską wolność i doczekał sierpniowego zrywu narodowego, który tak mocno korzeniami tkwi w jego nauczaniu. Dziś wiemy, że zanim wolność przyszła, komuniści postanowili zdławić zrodzony z polskiego natchnienia ruch »Solidarności«. Gen. Wojciech Jaruzelski wydał wojnę narodowi, wprowadzając 13 grudnia 1981 roku stan wojenny w Polsce. Tego już na szczęście nie oglądał ziemskimi oczyma Prymas Tysiąclecia".

Był Stefan Wyszyński Polakiem wybitnym, Polakiem wyjątkowym. Po Bogu, po Marii najważniejsza dla niego była Polska. W jednym z kazań mówił: „Trzeba zerwać z manią obrzydzania naszych dziejów i dowcipkowania z tragicznych niekiedy przeżyć Narodu. Trzeba myśleć o tym, że młode pokolenie ludzi żyjące na przełęczy świata musi być wychowane w duchu głębokiej czci dla przeszłości Narodu, jeśli ma ono dzisiaj ofiarnie wypełniać swoje obowiązki i pracować dla przyszłości [...]. Nie lękajmy się, najmilsi, że zejdziemy na manowce szowinizmu i błędnego nacjonalizmu. Nigdy nam to nie groziło".

Co dzisiaj, w obliczu i dawnych, i zupełnie nowych zagrożeń, powiedziałby Prymas Tysiąclecia Polakom? Niewykluczone, że powtórzyłby słowa, które w styczniu 1981 r., u schyłku swego życia, skierował do kombatantów: „Czasy, które idą, żądać będą od nas nowych mocy moralnych, duchowych, społecznych, zawodowych kompetencji, a także wysokiego poziomu kultury ojczystej, rodzimej, która będzie pokarmem dla tych, co po nas przyjdą. Naród przecież nie umiera, tylko my się wymieniamy, a Naród trwa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl d662d706da

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Śmierć na froncie wschodnim

Niemcy stracili na froncie wschodnim 4 mln żołnierzy. Tak, to nie pomyłka. Cztery miliony. Tylu żołnierzy Wehrmachtu, Waffen-SS i innych formacji zbrojnych III Rzeszy poległo w walkach z Armią Czerwoną. Były to więc straty kolosalne. Wystarczy wspomnieć, że Stany Zjednoczone w ciągu całej wojny straciły 400 tys. ludzi. A więc 10 razy mniej. I to na obu frontach – w Europie i na Pacyfiku.

Jednym z żołnierzy, który poległ na wschodzie – stało się to jesienią 1943 r. – był podoficer łączności o nazwisku Helmut Pabst. Człowiek ten był niewielkim trybikiem w wielkiej machinie wojennej Niemiec. Od milionów jego towarzyszy odróżniało go to, że na froncie prowadził dziennik.

Ten unikalny dokument zachował się i został wydany drukiem. Przetłumaczony na wiele języków został uznany przez brytyjski „The Observer" za „arcydzieło niemieckiej literatury faktu". Teraz może zapoznać się z nim również polski czytelnik. To lektura nie tylko dla specjalistów zajmujących się frontem wschodnim, lecz także dla każdego, kogo interesuje natura ludzka. To, w jaki sposób człowiek zachowuje się w tak ekstremalnej sytuacji, którą jest wojna.

„O brzasku – wspominał Pabst – gdy ciągle jeszcze szalała zamieć, Iwan znowu wylądował w naszych okopach. Z dwudziestu pięciu Rosjan przedarło się sześciu czy siedmiu. Nastąpiła krótka dzika bijatyka na pięści i kopniaki. Nie było czasu na strzelanie, machało się tylko karabinem i tłukło w najbliższą czaszkę. Organizujemy kontratak. Tego popołudnia przedzieraliśmy się do przodu, mając wiatr w oczy. Wiał z taką siłą, że z trudem można było utrzymać równowagę na wąskich, oblodzonych ścieżkach. Nad okopami przewalały się kłęby śnieżnego pyłu. Zasieki z drutu kolczastego, czołgi, leje i ruiny obok parku zniknęły w tumanach bieli. Pozycje wroga, położone w odległości czterdziestu metrów od naszego okopu, wyglądały jak wyspa pośrodku śnieżnej burzy. Pociski ciężkich dział spadały, nie pozostawiając śladu za kurtyną śniegu".

Tak wyglądał front wschodni. Miejsce, w którym Helmut Pabst pozostał na zawsze. ©℗

★★★★★★

HELMUT PABST „NAJDALSZA GRANICA" HISTORIA.PL

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Debiut noblisty

Henryk Sienkiewicz marzył o studiach w Szkole Głównej w Warszawie, choć jego świadectwo maturalne raczej go do tego nie upoważniało. Widniały na nim głównie oceny dostateczne, a tylko z geografii, historii i języka polskiego – bardzo dobre. Potwierdza to tezę, że wybitne jednostki rzadko odnajdują się w ramach zinstytucjonalizowanej edukacji. Mimo to trafił do Szkoły Głównej.

Z dorywczego pisania do gazet trudno było mu się utrzymać

Pod wpływem matki wybrał medycynę. Gdy jednak rodzicielka z córkami wyjechała na jakiś czas z Warszawy, natychmiast przeniósł się na wydział filologiczno-historyczny. Z trudem zdobywał środki na życie, mieszkał na ciasnej stancji, czasami prosił znajomych o pożyczki w wysokości kilku rubli. Studia ukończył już po likwidacji Szkoły Głównej – na rosyjskojęzycznym Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. W jego przypadku można zresztą mówić tylko o zakończeniu nauki, gdyż uczelnię opuścił bez zdania końcowego egzaminu z greki. Uznał, że może zostać pisarzem bez dyplomu, gdyż zdecydował się na karierę literacką.

Jednak nawet jego przyjaciele uznawali, że pierwsze próby pisarskie były chybione. „Tygodnik Ilustrowany" odrzucił jego „Sielankę młodości", choć odmowę okrasił kilkoma konwencjonalnymi słowami zachęty.

Jego debiutem prasowym okazała się recenzja teatralna, napisana w zastępstwie stałego autora i zamieszczona na łamach „Przeglądu Tygodniowego" (18 kwietnia 1869 r.). Sienkiewicz miał jednak większe ambicje – pracował nad powieścią „Na marne", mając nadzieję, że znajdzie wydawcę. Ostatecznie została opublikowana trzy lata później w odcinkach na łamach krakowskiego „Wieńca", a w tym samym czasie pojawił się również zbiór nowel „Humoreski z teki Worszyłły". Powieść podpisał pseudonimem Litwos, pod „Humoreskami" figurował pod imieniem i nazwiskiem, choć nie do końca własnym, bo z powodu błędu redakcyjnego autorstwo przypisano niejakiemu Henrykowi Stankiewiczowi…

Sprawnie rozwijała się natomiast jego kariera dziennikarska. Jako Litwos został stałym felietonistą „Gazety Polskiej", publikował też w „Niwie" i stał się postacią rozpoznawalną w warszawskim świecie dziennikarskim. Z dorywczego pisania do gazet trudno było się utrzymać, tym bardziej że młodzi publicyści wprawdzie mogli nie dojadać, jednak zawsze musieli być dobrze ubrani. Tego wymagała etyka zawodu i żadna redakcja nie zatrudniłaby człowieka niedbającego o ubiór, dlatego wydatki na garderobę były największym obciążeniem dla młodych dziennikarzy. Także dla Sienkiewicza… ©℗

eprasa.pl d662d706da

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wywiad z żołnierzem wyklętym odbitym z rąk UB

Thomas Urban – **Roosevelt po stronie Sowietów**
Maciej Rosalak – **Generałowie zgładzeni w Katyniu**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica lotu JAT 367**
Grzegorz Janiszewski – **Kiszczak na tropie złota Hitlera**
Sławomir Koper – **Polski terrorysta w Nowym Jorku**
Mikołaj Iwanow – **Gehenna węgierskich jeńców**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Paradoks niemocy**
Tomasz Stańczyk – **Burzliwa młodość Piłsudskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d662d706da

FOT. PHILIPPE LOPEZ/AFP/EAST NEWS

Komisja śledcza w sprawie COVID-19?

Olivier Bault

W związku z opieszałością francuskiego rządu w obliczu pandemii do Trybunału Sprawiedliwości Republiki wpłynęło 11 wniosków o ukaranie najważniejszych polityków, a opozycja zapowiedziała powołanie komisji śledczej

Agnès Buzyn ustąpiła ze stanowiska ministra zdrowia Francji, aby kandydować na mera Paryża po kompromitacji poprzedniego kandydata partii prezydenckiej La République En Marche! (LREM). W pierwszej turze wyborów lokalnych z 15 marca lista Agnès Buzyn uplasowała się dopiero na trzecim miejscu z wynikiem 17,3 proc. głosów, przechodząc do drugiej tury, gdyż gwarantuje to wynik powyżej 10 proc. Jednak 16 marca była minister zdrowia zawiesiła swoją kampanię i zaapelowała do pozostałych kandydatów, aby uczynili podobnie. Już w czasie wieczoru wyborczego głównym tematem mediów były nie same wyniki, ale rozważania na temat tego, czy druga tura będzie mogła w ogóle się odbyć. W poniedziałek 16 marca, kiedy prezydent Macron ogłosił ogólnokrajową kwarantannę, prosząc wszystkich Francuzów, aby pozostali w swoich domach, ogłoszono przełożenie drugiej tury na czerwiec. Dziś wiadomo już, że będzie to później i że prawdopodobna jest nawet powtórka pierwszej tury również w tych miejscowościach, które wybrały w niej swojego mera, czyli w ok. 30 tys. francuskich miejscowości. Jest to sytuacja bezprecedensowa w historii V Republiki Francuskiej.

17 marca Agnès Buzyn na łamach dziennika „Le Monde" ogłosiła, że wycofuje swoją kandydaturę. Była pani minister zdrowia, która jest z zawodu lekarzem, miała podczas rozmowy zalewać się łzami, ponoć z powodu zmęczenia, ale i żalu. „Kiedy odeszłam z ministerstwa, płakałam, ponieważ wiedziałam, że fala tsunami jest przed nami. Odeszłam, wiedząc, że wybory się nie odbędą. […] Od początku myślałam tylko o jednym: o koronawirusie. Powinniśmy byli wszystko odwołać, to była maskarada. Ostatni tydzień był koszmarem. Bałam się przy każdym spotkaniu wyborczym".

W rozmowie padły też ciężkie oskarżenia pod adresem prezydenta i premiera: „11 stycznia wysłałam do prezydenta informację o sytuacji. 30 stycznia ostrzegłam premiera Édouarda Philippe'a, że wybory prawdopodobnie nie będą mogły się odbyć".

BRZUCH PARYŻA PEŁEN TRUMIEN

Pierwsza tura mimo wszystko się odbyła, a rząd zapewniał, że podjęto wystarczające środki, aby zapewnić bezpieczeństwo wyborców. Wielu Francuzów nie uwierzyło jednak tym zapewnieniom. Absencja wyborcza wynosiła ponad 55 proc. (sześć lat temu było to 36 proc.). I chyba dobrze zrobili ci, którzy zostali w domach. W niedzielę 15 marca było we Francji już 5380 stwierdzonych przypadków COVID-19, w tym ponad 900 zdiagnozowanych w ciągu ostatniej doby, w tym 127 ofiar śmiertelnych (z czego 36 zmarło w ciągu doby przed wyborami). Wiadomo, że liczby te to tylko wierzchołek góry lodowej, skoro testy na wykrywanie wirusa SARS-CoV-2 wykonywane były tylko na pacjentach przyjmowanych do szpitali. Zresztą tydzień po wyborach niektórzy członkowie komisji wyborczych zaczęli sami odczuwać objawy choroby

eprasa.pl d662d706da

COVID-19, potwierdzone później pozytywnymi wynikami testów na obecność koronawirusa z Chin. Na przełomie marca i kwietnia na chorobę wywołaną koronawirusem zmarło kilku wiekowych merów, którzy byli obecni w biurach wyborczych i brali udział w liczeniu głosów. Pierwszym z nich był ponownie wybrany już w pierwszej turze Alain Lescouet, 74-latek, który od 1993 r. stał na czele rady miejscowości Saint-Brice-Courcelles (3,5 tys. mieszkańców) położonej koło miasta Reims. „Wszyscy chorujemy, a co najmniej wszyscy ci, którzy brali udział w wyborach razem z panem Lescouet, czyli ok. 10 zarażonych członków rady miejskiej, będących obecnie w kwarantannie" – stwierdził pierwszy zastępca zmarłego mera w regionalnym dzienniku „L'Union", dodając, że w szpitalu jest także dwóch członków lokalnej opozycji, którzy też brali udział w pracach komisji wyborczej.

Pod względem liczby zgonów w związku z pandemią COVID-19 5 kwietnia Francja była na czwartym miejscu za Włochami, Hiszpanią i USA, mając już ponad 8 tys. ofiar śmiertelnych, w tym ponad 2 tys. zgonów odnotowanych nie w szpitalach, ale w domach spokojnej starości. Trzeba jednak podkreślić, że przez cały marzec i jeszcze na początku kwietnia Francja wciąż wykonywała testy głównie osobom przyjmowanym do szpitali. W konsekwencji nikt nie znał rzeczywistego zasięgu epidemii w całej populacji, gdyż większość zarażonych koronawirusem SARS-CoV-2 nie potrzebuje pobytu w szpitalu, niemniej jednak zaraża innych wokół siebie.

Aby ulżyć przeciążonym szpitalom w Alzacji, na Korsyce oraz w regionie paryskim, zbudowano szpital polowy w Strasburgu, a do transportu chorych wykorzystuje się medyczne samoloty wojskowe Airbus A330, które zostały przystosowane do przewożenia wyłącznie pacjentów podłączonych do respiratorów. Dodatkowo Francuzi przystosowali dwa pociągi TGV do transportu ciężko chorych na COVID-19, aby móc ich rozlokowywać w szpitalach w innych częściach kraju, gdzie epidemia jest na razie mniej uciążliwa. Od połowy marca do końca pierwszego tygodnia kwietnia przetransportowano w ten sposób ponad pół tysiąca chorych ze szpitali regionu Grand-Est na wschodzie Francji oraz z regionu Île-de-France, do którego należy Paryż. Niektórych ewakuowano helikopterami do innych krajów, głównie do Niemiec. Jednocześnie od 2 kwietnia jeden z dużych magazynów chłodniczych na targu hurtowym w Rungis, nazywany brzuchem Paryża, został zamieniony w kostnicę na 800–1000 trumien, gdyż zakłady pogrzebowe nie są w stanie sprostać zwiększonemu popytowi na ich usługi.

UŚWIĘCONE KŁAMSTWO

W pierwszym tygodniu kwietnia francuskie władze zaczęły sugerować, że być może wskazane byłoby obowiązkowe noszenie maseczek przy wychodzeniu z domu i że takie obostrzenie może niedługo wejść w życie. Do niedawna zarówno rzeczniczka rządu Sibeth Ndiaye, jak i różni eksperci zapraszani do telewizji uparcie twierdzili, że zakładanie maseczek podczas wyjść z domu jest kompletnie bezcelowe. Na początku kwietnia ci sami ludzie byli więc zmuszeni przyznać mniej lub bardziej otwarcie, że było to kłamstwo motywowane brakiem wystarczającej liczby maseczek, które trzeba było zarezerwować dla służby zdrowia. 1 kwietnia na falach Radia Europe 1 lekarka i animatorka programów o zdrowiu w telewizji publicznej, Marina Carrère d'Encausse, potwierdziła wprost, że mówienie o bezużyteczności maseczek rzeczywiście było „kłamstwem", w którym brała czynnie udział, ale że robiono „to dla dobra sprawy, dla służby zdrowia, aby chronić ludność i służbę zdrowia".

To, że francuski rząd bardzo późno zaczął podejmować stosowne kroki, aby zahamować rozprzestrzenianie się wirusa, dobrze ilustruje to, iż pomimo głosów protestów wśród liderów opozycji nie chciano zakazać meczu z drużyną Juventusu Turyn w Lyonie ani zabronić przyjazdu do Francji ok. 3 tys. włoskim kibicom. Tymczasem w dniu meczu, czyli 26 lutego, zdiagnozowano już kilkaset przypadków zachorowań na COVID-19 w północnych Włoszech i wiadomo było, że zarażonych koronawirusem jest dużo więcej osób. Wystarczy zresztą powiedzieć, że tydzień później zdiagnozowanych było już we Włoszech – głównie na północy – 2,5 tys. chorych, a w kolejnym tygodniu ponad 10 tys.! Jeszcze 6 marca prezydent Francji razem z małżonką wyszedł do teatru, chcąc pokazać Francuzom, że nie warto niepotrzebnie popadać w panikę i zmieniać swojego trybu życia. W tym dniu Włochy miały już ponad 4,6 tys. stwierdzonych przypadków CO-VID-19 i prawie 200 ofiar śmiertelnych chińskiego wirusa. Gdy na początku marca sytuacja wymykała się w Italii spod kontroli, a Włochy potrzebowały pilnie zakupić środki ochrony osobistej dla swojej służby zdrowia, Francja de facto zakazała eksportu masek, rekwirując wszystkie tego typu sprzęty na terenie kraju. Jednocześnie Paryż nie chciał zamknąć granic z Włochami, o co wnioskowała liderka RN Marine Le Pen. 9 marca nowy minister zdrowia Olivier Véran odpowiedział na żądanie Le Pen na antenie BFM TV zapewnieniem, że „wirus nie zatrzymuje się na granicach", a w głównych mediach liderka RN była oskarżana o polityczną instrumentalizację dramatu Włochów.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ZANIEDBANIA

Z powodu tych i innych zaniechań ze strony francuskiego rządu już na koniec marca złożono do Trybunału Sprawiedliwości Republiki, który jest francuskim odpowiednikiem polskiego Trybunału Stanu, 11 odrębnych pozwów przeciwko premierowi, byłej minister zdrowia i jej obecnemu następcy, ministrowi spraw wewnętrznych i ministrowi sprawiedliwości. Wśród pozywających jest m.in. stowarzyszenie skupiające ok. 1,5 tys. lekarzy. Zarzuca ono rządowi „brak przygotowań przed pandemią, która była do przewidzenia". Chodzi zwłaszcza o spóźnione zamówienia na maski, na żele dezynfekcyjne itd., co naraziło wielu ludzi na niebezpieczeństwo.

Jednocześnie centroprawicowa partia LR, będąca największą partią opozycyjną w Zgromadzeniu Narodowym i mająca większość w Senacie, zapowiedziała utworzenie komisji śledczej w sprawie rażących zaniechań rządu Philippe'a w zarządzaniu obecnym kryzysem. Choć trzeba tu powiedzieć, że partia LR nie chciała przełożenia pierwszej tury wyborów lokalnych, w przeciwieństwie do partii Marine Le Pen.

Obecnie prezydent i rząd podnoszą potrzebę jedności narodowej w obliczu pandemii. Emmanuel Macron mówi o wojnie z niewidzialnym wrogiem, a Pałac Elizejski porównywał nawet jego wizytę w szpitalu i spotkanie z personelem medycznym do wizyty prezydenta Clémenceau w okopach pierwszej wojny światowej. Niemniej trudno będzie rządzącym Francją uniknąć odpowiedzialności politycznej, a może nawet i karnej po ustaniu kryzysu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Wojciech Golonka

Lekarz z Marsylii zaproponował sposób leczenia COVID-19 i wywołał głośny spór

Już prawie każdy we Francji słyszał o metodzie leczenia COVID-19 zwanej protokołem Raoulta. I niemal każda osoba publiczna we Francji zabrała głos w sprawie zaleceń lekarza z Marsylii.

Sama burza tweetów jest jedynie echem codziennych artykułów prasowych, głośnych petycji byłych ministrów zdrowia czy deklaracji poparcia emerytowanych przedstawicieli najwyższych instytucji sanitarnych, nie mówiąc już o cichej, ale skutecznej presji pierwszych dam Francji – tych przeszłych, takich jak Carla Bruni, czy obecnej – Brigitte Macron, za sprawą której ponoć prezydent Republiki zaprosił prof. Didiera Raoulta do Pałacu Elizejskiego na rozmowę i następnie włączył go do grona swoich najbliższych doradców w zakresie epidemii koronawirusa.

MEDYK OD CHORÓB ZAKAŹNYCH

Profesor Raoult, były rektor Uniwersytetu w Marsylii, w 2003 r., już jako doświadczony lekarz-naukowiec, opracował na zlecenie dwóch francuskich ministerstw 380-stronicowy raport na temat stanu bezpieczeństwa Francji i Europy w zakresie bioterroryzmu oraz prewencji chorób zakaźnych. Jedna z jego ówczesnych konkluzji: „Obecne ryzyko pojawienia się zmutowanych wirusów SARS, w szczególności grypy, jest najgroźniejszym zjawiskiem". Energiczny prowansalski lekarz budował latami regionalne „śródziemnomorskie" zaplecze, mogące stawić czoło ewentualnej epidemii. Założona przez niego fundacja ds. badania i leczenia chorób zakaźnych zaowocowała w 2011 r. utworzeniem autonomicznego Instytutu Szpitalno-Uniwersyteckiego „IHU Méditerranée infection". Ekipa lekarza dopracowała się do dziś 36 patentów, w tym technik usprawniających badanie wymazów, uruchomiła siedem start-upów, ma też na koncie przeszło 4639 publikacji od 2011 r. Zebrano wiele szczepów wirusów i bakterii (40 proc. drobnoustrojów związanych z człowiekiem zostało tam opisanych, a sekwencje ich genomów ustalone), nie wspominając o insektach tropikalnych.

W szpitalu wprowadzono nowatorskie rozwiązania, np. chipy w sandałach personelu monitorujące postój przy punktach dezynfekcji rąk. Osiągnięto tam dwukrotnie krótszy średni czas hospitalizacji pacjentów cierpiących na choroby zakaźne w porównaniu z konkurencyjnymi placówkami.

W 2018 r. jednostka wprowadziła się do nowo wybudowanego szpitala chorób zakaźnych, medycznej „twierdzy" wyposażonej w sale z podciśnieniem, w tym bloki przystosowane dla najbardziej zakaźnych chorób typu wirus ebola oraz nowoczesne laboratorium badawcze o powierzchni 1200 mkw. na poziomie bezpieczeństwa BSL-3 (najwyższy z dostępnych w Polsce). Francja uzyskała pierwszorzędną jednostkę bojową, gotową na czas epidemii, de facto niezależną od władz centralnych i głównych instytucji naukowych kraju. Oczywiście poza kwestią funduszy – te w 2019 r. przyznano jej na kolejne pięć lat, zapewniając Raoultowi rolę generała zwinnej autonomicznej dywizji ds. chorób zakaźnych, która w starciu z obecną epidemią czerpie z najlepszej wiedzy lekarskiej, abstrahując od odgórnych centralnych dyrektyw.

Przed stosującym powszechne testowanie szpitalem (mimo ograniczonych,

Koronawirus: gra skończona?

eprasa.pl d662d706da

tak jak wszędzie, środków) od godz. 5 nad ranem ustawiają się kolejki pacjentów: 800 konsultacji i nawet ponad 3 tys. testów dziennie, z możliwością codziennej hospitalizacji do 25 nowych pacjentów, a przede wszystkim najniższa śmiertelność w kraju zarażonych koronawirusem na poziomie ok. 0,76 proc. (średnia krajowa to aż 8,89 proc.!), a wśród pacjentów leczonych przynajmniej trzy dni „protokołem Raoulta" – tylko 0,41 proc.

PRZEPYCHANKI O PROTOKÓŁ

Tymczasem „protokół Raoulta" nie jest powszechnie dopuszczony i zalecony we Francji. A od 25 lutego, gdy Raoult ogłosił: „Koronawirus: gra skończona", rozpętała się burza emocji.

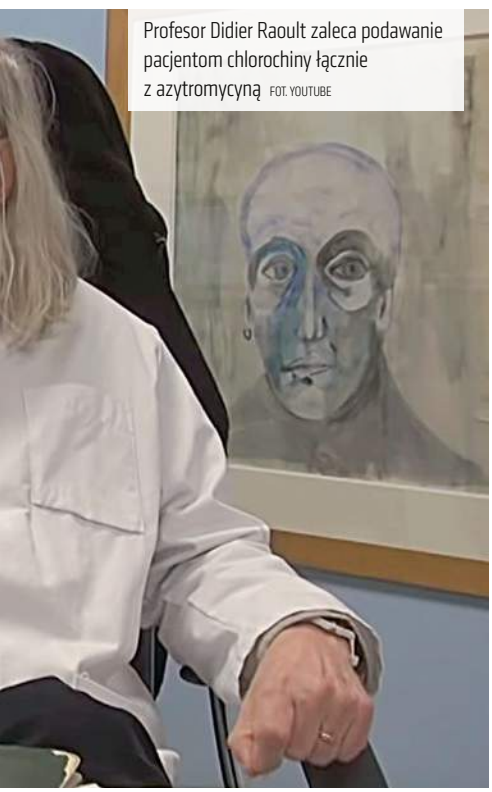

Profesor Didier Raoult zaleca podawanie pacjentom chlorochiny łącznie z azytromycyną FOT. YOUTUBE

Na czym polega zalecenie profesora? Idąc za badaniami z Chin, w oparciu o świetnie znaną mu z poprzednich badań nad koronawirusami chlorochinę, Raoult, a dokładniej jego zespół, przebadał w warunkach laboratoryjnych (in vitro) działanie hydroksychlorochiny (pochodna chlorochiny bardziej tolerowana przez ludzki organizm) w parze z azytromycyną (antybiotyk makrolidowy, według niedawnych doniesień hamujący replikację wirusa w komórce poprzez zmianę jej pH) ograniczające namnażanie koronawirusa. Leki te zastosowano u chorych. Podczas gdy średni okres obecności wirusa według Chińczyków to 21 dni, „protokół Raoulta" u szczegółowo przebadanych 80 pacjentów dał następujące wyniki: po sześciu dniach leczenia zdrowych było 75 proc. pacjentów, a po ośmiu dniach aż 93 proc.

Wiadomość ta wywołała sensację nie tylko we Francji. Kilka dni po ogłoszeniu w Marsylii pierwszych wyników, 19 marca, prezydent Trump „zaaprobował" (choć sam bezpośrednio nie ma takiej władzy) wykorzystanie hydroksychlorochiny na podstawie „wstępnych bardzo obiecujących badań".

Francuskie sanitarne władze zwlekały z aprobatą, dołączyły jednak do czasochłonnych badań nad skutecznością hydroksychlorochiny w ramach europejskiego programu „Discovery". Sęk w tym, że zespół Raoulta nie zalecił stosowania samej hydroksychlorochiny, tylko jej zestawienie z azytromycyną. Profesor skomentował nawet: „Gdyby ktoś chciał obalić »protokół«, nie postąpiłby lepiej". Pod wpływem oddolnej presji i apeli 25 marca francuskie ministerstwo zdrowia ostatecznie oficjalnie poparło „protokół Raoulta", ale już następnego dnia ograniczono jego stosowanie wyłącznie do pacjentów znajdujących się już w stanie ciężkim, co zdaniem profesora jest działaniem spóźnionym i przynosi mierne rezultaty.

DLACZEGO BUDZI EMOCJE?

Przeciwnicy tej metody zarzucają „protokołowi" brak randomizacji pacjentów i przestrzegania metodologii naukowej; toksyczność leków; niemoralne dawanie pacjentom złudnej nadziei; zaniżanie statystyk przez powszechne testowanie. Raoult i jego zespół w kilku mocnych wywiadach odpowiedzieli na każdy z tych zarzutów: 90 proc. protokołów leczenia chorób zakaźnych, w tym kilkanaście protokołów prof. Raoulta powielonych w podręcznikach do medycyny, powstało bez randomizacji i związanej z nią metodologii. Wedle przysięgi Hipokratesa kwestia leczenia pacjentów empirycznie sprawdzonymi środkami jest obowiązkiem lekarza. Inne są obowiązki moralne lekarzy, inne badaczy. Możliwe skutki uboczne są znane i pozostają pod kontrolą, sama hydroksychlorochina jest stosowana w medycynie od kilkudziesięciu lat, a we Francji była paradoksalnie dostępna bez recepty aż do 13 stycznia. Samo leczenie w zestawieniu z azytromycyną wymaga nadzoru lekarza i badania EKG serca, a w pewnych wypadkach kontroli potasu we krwi. Powszechne testowanie jest z jednej strony sprawiedliwością (dlaczego pozostawiać ludzi w niepewności, a chorych polityków już nie?), lecz także warunkiem koniecznym do skutecznej izolacji chorych od zdrowych i ich leczenia.

Raoult i popierający go lekarze stawiają też zasadnicze pytanie: Wobec braku innego skutecznego sprawdzonego środku dlaczego nie mamy stosować leczenia, które w praktyce jest tanie i ma podstawy empiryczne? Jest to w sumie kluczowy argument podzielany przez zwolenników „protokołu".

ODROBINA POLITYKI

We Francji w tej sprawie podkreśla się konflikt między centralnymi instytucjami a prowincją, w tym konflikty osobiste. Na przykład Yves Lévy, lekarz immunolog, mąż dotychczasowej minister zdrowia Angès Buzyn (do 16 lutego), zwolennik centralizacji, był w latach 2014–2018 przewodniczącym francuskiego INSERM, Krajowego Instytutu Zdrowia i Badań Medycznych, odpowiedzialnym także za francuskie finansowanie działalności laboratorium w Wuhan.

Rząd z kolei jest krytykowany za brak przygotowania do nadchodzącej epidemii, roztrwonienie istniejących dotychczas wielomilionowych zapasów maseczek i rozpowszechnianie kłamstw. Chociaż sam Raoult stroni od politycznych wypowiedzi, to 26 marca w wywiadzie dla dziennikarzy z lokalnego portalu stwierdził: „Po tym wszystkim powstanie komisja sejmowa i będzie bezlitosna [dosł.: sanglante, czyli krwawa – przyp. red.], podobnie jak w przypadku afery skażonej krwi [skandal polityczny z roku 1980 – przyp. red.]. I będzie gorzej, jeśli rząd zdecyduje się na zabronienie dostępu do leku".

Z wymienionych w artykule leków w Polsce dostępne są azytromycyna i chlorochina (substancja pokrewna hydroksychlorochinie). 13 marca Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych dodał do wskazań do stosowania chlorochiny leczenie choroby COVID-19 w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

FOT. FREDRIK SANDBERG/TT NEWSAGENCY/FORUM

Z Anną Korczak, Polką mieszkającą w Szwecji, autorką bloga nowawszwecji.com *rozmawia Agnieszka Niewińska*

Szwecja bez zakazów

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Kiedy w wielu krajach w związku z pandemią otwarte są już tylko sklepy spożywcze i apteki, a ludziom zakazano wychodzenia z domów, w Szwecji takich obostrzeń nie ma. Jak wygląda życie w tym kraju w czasach koronawirusa?

ANNA KORCZAK: Na ulicach jest trochę mniej osób, wielu mieszkańców ograniczyło spotkania towarzyskie, ale życie toczy się w zasadzie normalnie. Oczywiście nie podajemy sobie rąk. Podczas rozmowy trzymamy dystans, ale to akurat wynika z samej natury Szwedów. W butikach z odzieżą jest mniej klientów, mniej pracy mają ci, którzy świadczą bardziej luksusowe usługi. Dwa razy więcej osób tygodniowo rejestruje się jako bezrobotni. W Malmö, gdzie mieszkam, nie widać paniki ani na ulicach, ani w sklepach. W Sztokholmie jednak nastroje są gorsze.

Punkty usługowe, kawiarnie, wszystko działa normalnie?

Wszystko jest otwarte. Ograniczenia dotyczą restauracji. Nie można jeść przy barze. Restauracje mogą serwować jedzenie tylko do stolika. W sklepach można spotkać się z informacjami o zachowaniu odstępu od innych. Niedozwolone są jednak zgromadzenia powyżej 50 osób – np. uliczne demonstracje, pikiety, wykłady, imprezy publiczne, przedstawienia teatralne, seanse kinowe itp. Nie dotyczy to zgromadzeń prywatnych. Można np. zorganizować spotkanie rodzinne czy szkolenie w firmie dla grupy większej niż 50-osobowa.

Uniwersytety i szkoły średnie uczą zdalnie, ale podstawówki i przedszkola działają normalnie. Dlaczego?

Rząd i Agencja Zdrowia Publicznego uważają, że zamknięcie szkół i przedszkoli mogłoby przynieść więcej szkody niż pożytku. Szwecja nastawia się przede wszystkim na ochronę grup ryzyka, głównie osób starszych. Domy spokojnej starości są zamknięte dla odwiedzających. Osobom powyżej 70. roku życia oraz wszystkim, którzy mają jakiekolwiek objawy przeziębienia, zaleca się, aby nie wychodzili z domu.

W przypadku zamknięcia szkół i przedszkoli wiele osób, w tym pracownicy służby zdrowia, musiałoby zostać w domu z dziećmi albo zostawić dzieci z dziadkami, którzy są w grupie ryzyka, a na to nie można sobie pozwolić. Dzięki temu, że placówki są otwarte, kontrola nad przemieszczaniem się społeczeństwa jest łatwiejsza. W szkołach i przedszkolach obowiązuje rejonizacja. Dzieci, które chodzą do danej placówki, mieszkają w jej okolicy, więc nie przemieszczają się na większe odległości. Dzięki temu, że dzieci nie mają „wakacji", rodziny nigdzie nie wyjeżdżają.

Poza tym zakażenie się ludzi zdrowych i w młodym wieku, które generalnie przechodzą chorobę łagodnie albo bezobjawowo, spowoduje, że uodpornią się oni na wirusa. Jeżeli ponad 60 proc. społeczeństwa nabędzie tę odporność, to przy kolejnej fali łatwiej będzie ochronić grupy ryzyka. Nie jest to oficjalna strategia, ale władze wskazują, że to pożądany poboczny skutek pozostawienia otwartych szkół i przedszkoli, rodzaj działania długofalowego.

eprasa.pl d662d706da

Ograniczenie kontaktów w związku z pandemią, rezygnacja z podróży to tylko zalecenia władz. Nie ma zakazów, mandatów?

Nie ma. W Szwecji prawo nie przewiduje możliwości wprowadzenia ograniczeń w przemieszczaniu się. Premier Stefan Löfven powiedział wprost, że szwedzkie społeczeństwo nie potrzebuje zakazów ani nakazów. Wystarczy odwołać się do odpowiedzialności społecznej i dbałości o wspólne dobro.

To, co mnie w Szwecji zaskoczyło, kiedy tu zamieszkałam, to właśnie społeczna odpowiedzialność obywateli, świadomość tego, jak działa państwo. Sposób myślenia, wedle którego każdy działa na rzecz dobra ogółu, jest wpajany Szwedom od dziesięcioleci. Ta ideologia nosi nazwę „folkhem", czyli „dom ludu". Komunikacja społeczna ma tutaj zupełnie inny wydźwięk niż w Polsce – raczej nie widuje się zakazów ani nakazów. Przykładowo na drzwiach przedszkola wisi kartka o treści: „Dziękujemy, że informujesz nas, o której godzinie twoje dziecko przychodzi do przedszkola i kiedy je odbierasz. To pozwala na lepsze funkcjonowanie przedszkola". W Polsce taka kartka wskazywałaby raczej na absolutny obowiązek informowania przedszkola.

Szwedzi wychodzą z założenia, że ludzie są odpowiedzialni. Mając wszystkie potrzebne informacje, sami zdecydują o tym, jak działać na rzecz wspólnego dobra.

Trzeba do tego przekonania, że władza podaje sprawdzone dane i przemyślane rekomendacje.

Szwecja słynie z bardzo wysokiego zaufania do instytucji publicznych. W dobie pandemii koronawirusa ono jeszcze wzrosło. W lutym bardzo wysokie zaufanie do premiera miało 26 proc. osób. W marcu już 44 proc. Rząd swoje działania rzeczowo tłumaczy i obywatele w dużej mierze ufają tym wyjaśnieniom. Sposób myślenia Szwedów jest zupełnie inny niż Polaków. Szwedzi cechują się świadomym konformizmem, Polacy przeważnie są w opozycji do decyzji władz. Zauważyłam, że nastroje buntu przeciw strategii, którą wobec pandemii przyjęła Szwecja, panują głównie wśród imigrantów, którzy mają porównanie z tym, co dzieje się w ich rodzinnych krajach.

Na blogu napisała pani, że Szwedzi praktykowali społeczny dystans, zanim stał się „modny".

Wszystko jest otwarte. Podczas rozmowy trzymamy dystans, ale to akurat wynika z samej natury Szwedów

O utrzymywaniu dystansu podczas rozmowy już wspomniałam. To 1,5 metra od rozmówcy jest tutaj zupełnie naturalne. Jeśli zbliżymy się do kogoś, to on się naturalnie odsuwa. Lepiej takiej osoby nie „gonić", bo wyjdzie się na dziwaka. Można też zostać upomnianym. Ja lubię zachowywać dystans i nigdy nie miałam z tego tytułu kłopotów, ale słyszałam historię kobiety, którą szef zaprosił do gabinetu, by zwrócić jej uwagę, że podczas rozmów narusza jego strefę osobistą.

Inaczej wyglądają tu też relacje rodzinne. Szwedzi już po ukończeniu szkoły średniej wyprowadzają się z domu i usamodzielniają. Rzadziej widują się z rodzicami, nie mówiąc już o dziadkach. Nie ma tu domów wielopokoleniowych. Starsze osoby mieszkają w Szwecji same. Jeśli nie dają sobie rady, to pomaga im pielęgniarka. Popularne jest też rezerwowanie sobie miejsca w domu opieki. Starsze osoby spotykają się głównie we własnym gronie, na co dzień nie mają kontaktu z rodzinami, z osobami, które chodzą do pracy, do szkoły czy przedszkola.

Praca z domu to też nic nowego. Według statystyk jedna trzecia szwedzkich pracowników robi to regularnie, a dwie trzecie od czasu do czasu.

Kolejki mogą tworzyć się np. w urzędach, instytucjach.

Na co dzień wszystko można załatwić przez Internet, za pomocą aplikacji i przez telefon. Pojawianie się gdziekolwiek bez zapowiedzi jest niemal niedopuszczalne. Na wizytę w urzędzie zwykle trzeba się umówić. Popularne są też zakupy on-line, w sklepach można samemu skanować produkty i zapłacić w automacie. 85 proc. transakcji w Szwecji to transakcje bezgotówkowe. Bez problemu udałoby mi się przez kilka tygodni nie mieć absolutnie żadnego kontaktu z innym człowiekiem.

Zakażeń jest jednak sporo. Więcej niż w Polsce. Zmarło też czterokrotnie więcej osób. Obywatele nie obawiają się, że nawet szwedzka służba zdrowia tego nie udźwignie?

Szwecja się „zbroi". Powstają szpitale polowe w Sztokholmie i Göteborgu. Jesteśmy informowani o zamówieniach na respiratory, ubrania ochronne, maseczki. Agencja Zdrowia Publicznego w swoich komentarzach zwraca uwagę na to, że krzywa zachorowań idzie na razie pod dobrym kątem. Szpitale nie są nadmiernie obciążone, choć jesteśmy jeszcze przed burzą. Eksperci prognozują, że następne dwa, trzy tygodnie to będzie apogeum epidemii. Najgorsza sytuacja jest w gminie Sztokholm, o którą wszyscy się boją.

Szwedzi jednak bardzo poważnie traktują przygotowania do kryzysów. Dwa lata temu do skrzynek na listy trafiały książeczki informacyjne dotyczące kryzysu lub wojny. Wywołały burzę, część osób podkreślała, że to straszenie ludzi. Najwięcej kontrowersji wzbudziła lista rzeczy, które trzeba mieć w domu, by przez kilka dni być samowystarczalnym. My kupiliśmy zalecane produkty. Teraz okazały się bardzo przydatne. Mieliśmy w domu żele antybakteryjne i produkty spożywcze o długiej dacie ważności, które teraz przez chwilę były trudno dostępne.

Czuje się pani bezpiecznie mimo braku obostrzeń w Szwecji?

Trudno czuć się w obecnej sytuacji bezpiecznie, ale staram się podchodzić do tego bez zbędnych emocji, zajmować sobą, swoim zdrowiem i rodziną. Na co dzień działamy normalnie, ale też nie mamy wyjścia, bo państwo i społeczeństwo funkcjonuje normalnie. Jesteśmy zdrowi, nie mamy kontaktów z ludźmi z grupy ryzyka, z innymi ograniczyliśmy kontakty.

Szwecja jest na świecie krytykowana za to, w jaki sposób działa w czasie pandemii. W innych krajach to by było absolutnie destrukcyjne, ale w Szwecji taka polityka może się sprawdzić ze względu na specyficzne uwarunkowania społeczne i demograficzne. Pozostaje stosować się do zaleceń władz, dbać o siebie i mieć nadzieję, że to zadziała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Korczak – pochodzi z Zielonej Góry, w Szwecji mieszka od ponad dwóch lat. Na blogu nowawszwecji.com opowiada o realiach życia w tym kraju i rekomenduje miejsca, które warto odwiedzić.

eprasa.pl d662d706da

Uczestnicy wyjazdu zorganizowanego w ramach finału konkursu literackiego Fundacji Identitas FOT. ARCHIWUM AUTORA

Ośrodek w wiosce Uløybukt FOT. ARCHIWUM AUTORA

Dyskretny urok Arktyki

Marcin Makowski z Uløi

W czasach, w których świat przechodzi w tryb społecznej izolacji, są miejsca, gdzie żyje się tak od zawsze. Nie z przymusu, ale z wyboru. Co w zamian? Dziewicza przyroda, fiordy, zorze polarne, orły i humbaki. Zapraszam w podróż za koło podbiegunowe

Co ludzi ciągnie w takie miejsca?" – pomyślałem, gdy po męczącej podróży z Krakowa do Tromsø i trzech godzinach jazdy autem wśród zasp wysokich na dwa metry zatrzymałem się przy niewielkiej czerwonej chatce i zaimprowizowanym pomoście. Była noc, pod stopami słychać było chrupanie śniegu, z oddali dochodził miarowy plusk fal. Poza tym – cisza. Pierwsza rzecz, która dociera do człowieka, gdy znajdzie się za kołem podbiegunowym, to nie biel dookoła ani metafizyka, ale przenikliwy mróz, od którego nie ma ucieczki. Niby to tylko –12 st. C, ale jeśli dodamy do równania wilgotność powietrza i wiatr, to dopiero wtedy zaczyna się rozumieć powagę sytuacji. I słowa prowadzącego motorówkę, którą płynę na wyspę: „Trzymać się i uważać. Jeśli ktoś wpadnie do wody, to ma może dwie minuty, nie więcej".

Gdy w końcu dobiliśmy do brzegu Uløi – bo tak nazywa się miejsce, w którym spędziłem pierwszy tydzień marca – w ciągu godziny przeszedłem przyspieszony kurs z budowy arktycznej piramidy Maslowa. Piszę „arktycznej", bo u jej podstaw leżało nie tyle zaspokojenie potrzeb fizjologicznych, ile znalezienie dachu nad głową i rozpalenie kominka. Dopiero w następnej kolejności zagotowanie herbaty i zjedzenie kolacji. Tylko w taki sposób z sopla lodu można się na powrót przemienić w człowieka. Same wody Uløi, choć wyspa znajduje się powyżej 66. równoleżnika, smagane nieprzewidywalnymi prądami Golfsztromu jednak nie zamarzają. Jak się później przekonałem, w ich toni, która tuż przy brzegu potrafi sięgać powyżej 130 m głębokości, pływają jedne z najbardziej imponujących ryb i ssaków Norwegii. To pierwsza prawdziwa zima, którą – tak jak większość Polaków – zobaczyłem tego roku. I od razu w wydaniu ekstremalnym, na które żaden debiutant nie jest w pełni gotowy.

OKNO ZAMIAST TELEWIZORA

Gdyby ktoś chciał umiejscowić Uløyę na mapie, musiałby powędrować palcem daleko na północ. Niemal na sam koniec Norwegii, w region Lyngenfjordu w pobliżu cieśniny Rotsund, której lodowate wody wpadają do Morza Barentsa, za Spitsbergenem przechodzącym płynnie w Ocean Arktyczny. Dla jeszcze lepszego zobrazowania sytuacji należałoby wspomnieć, że wyspa znajduje się sporo powyżej Islandii, miej więcej w jednej trzeciej skutej lodem Grenlandii. Ona sama, choć liczy sobie niespełna 80 km kw., stanowi schronienie dla kilkunastu owiec oraz reniferów i dwóch, odciętych od siebie szczytami górskimi, społeczności. Niewielkiej osady rybackiej

eprasa.pl d662d706da

Hamnnes oraz składającej się z rozsianych po wybrzeżu domków rekreacyjno-letniskowych wioski Uløybukt, gdzie wraz z resztą towarzyszy podróży znaleźliśmy schronienie w ośrodku prowadzonym przez grupę zapalonych polskich alpinistów oraz przedsiębiorców. To właśnie oni kilka lat temu przeszli całą urzędniczą batalię z lokalnym samorządem, który ostatecznie przy wsparciu mieszkańców gminy Skjervøy zezwolił na przebudowę starej fabryki przetwórstwa dorsza na coś w rodzaju kompleksowego centrum sportów zimowych oraz wędkarstwa. Udało się.

Naprawdę nie trzeba było tygodnia, bo już pierwszego poranka dało się zrozumieć, że region Lyngen, którego maleńką część stanowi Uløya, to prawdziwa perła przyrodnicza Skandynawii. Wyrastając wprost z wody, piętrzą się tutaj dziesiątki liczących od 1200 do ponad 1800 m szczytów. Wiele z nich do tej pory nienazwanych, niezdobytych i niedostępnych. Jednak wszystko do czasu. W zależności od pory roku przemodelowaniu w kierunku dostępności ulega również arktyczny krajobraz. Od zasypanego śniegiem i ascetycznego pustkowia do pokrytej wrzosami, jagodami, grzybami i lasami pocztówkowej sielanki. W jakimś sensie każdy dzień wygląda tutaj jak osobna pora roku. Nie przez przypadek lokalni mieszkańcy stawiają sofy nie przed telewizorami, lecz przed długimi oknami, które wychodzą na fiordy. O poranku ze szczytu zsuwa się fala zamieci śnieżnej, która na godzinę zawęża widok do kilkunastu metrów tylko po to, aby przejść tak szybko, jak się pojawiła. Słońce to chowa się za chmurami, to zza nich wychodzi. Na kilkanaście minut zrywa się ostry, miotający zacumowanymi kutrami wiatr. Po chwili tafla wody jest już spokojna. Telewizory przy podobnym spektaklu wydają się zbędne.

KRÓL NIE ZAPOMINA O PROWINCJI

Generalnie wiele rzeczy, do których przywykliśmy, okazuje się za kołem podbiegunowym zwykłą fanaberią. Jeśli do najbliższego sklepu trzeba się dostać przeprawą promową i jechać ok. dwóch godzin, to oszczędza się nie tylko zapasy, lecz także z czasem również słowa. Docenia małe rzeczy albo po prostu nie ma czasu na gadaninę, gdy po kolację trzeba popłynąć z wędką uzbrojoną w ciężkiego pikera, którego opuszcza się na kilkudziesięciometrowej żyłce i podnosi miarowo, uderzając o dno, aby wzbudzić ruch mułu, do którego zaintrygowane przypłyną dorsze albo plamiaki. Nie jest to również zwykłe, rekreacyjne wędkowanie. Każde wypłynięcie na tak niespokojne wody poprzedzone jest włożeniem kombinezonu ratowniczego, gogli, kamizelki ratunkowej oraz ciepłych rękawic i kominiarki. Dopiero wtedy można czuć względne bezpieczeństwo i komfort. Do momentu, w którym za haczyk chwyci halibut, który potrafi zerwać kołowrotek. Rekord ośrodka to ponad dwumetrowy okaz ważący 78 kg. Widziałem na nagraniu, jak walczył, raniąc w rękę jednego z wyciągających go Finów. To nie były wakacje, tylko prawdziwy pojedynek.

W końcu to ryby ściągnęły do Lyngen pierwszych ludzi. Karmazyny, czarniaki, molwy, ale też wodne ssaki – delfiny, walenie, płetwale i humbaki. Namiastki cywilizacji, choć odnaleziono na tutejszych fiordach ślady osadnictwa z czasów neolitycznych, zawitały na Uløyę dopiero w XIX w. wraz z holenderskimi faktoriami wielorybniczymi, na których pracowali okoliczni mieszkańcy. Równie późno, bo na początku XX w., rząd Norwegii postanowił, że bogactwo z odkrytych złóż naturalnych musi się również przyczynić do oswojenia najodleglejszych rubieży państwa. Stopniowo na arktycznych odludziach zaczęły się pojawiać szkoły, kursować statki, zaczęto budować drogi oraz drążyć tunele. Niektóre posiadają w środku ronda i przy pełnym oświetleniu ciągną się nawet przez 18 km pod granitowymi skałami. Nawet w takich miejscach detale przypominają, że król i Oslo nie zapomnieli o prowincji. Dwie drogi Uløi oświetlone są przez całą noc rzędem żółtawych lamp. Codziennie w zimę przypływa tutaj również pług, który odśnieża kilkanaście kilometrów asfaltu pokrytego zbitą warstwą śniegu i lodu. Owszem, nie da się po nim jeździć bez opon z kolcami, ale świadomość, że zamieć nie odetnie od środków do życia jednej z kilkunastu osób mieszkających tu na stałe, jest doprawdy budująca. Mimo tego odległa północ stopniowo traci mieszkańców.

PIĘKNO I UDRĘKA

Trudno powiedzieć, na czym polega urok skandynawskich kryminałów, ale im dłużej przebywałem w odosobnieniu, dni spędzając na powtarzalnym zestawie czynności, urozmaicanym wędrówkami w góry, tym lepiej rozumiałem, skąd bierze się ich klimat. Emocjonalnie oszczędny, brutalny, z przyrodą odgrywającą role równe bohaterom pierwszoplanowym. Skąd wywodzi się norweski black metal – z jakiego poczucia alienacji i chęci wykrzyczenia światu, że piękno, od którego nie można uciec, staje się udręką? Taka też może być północ, jeśli na chwilę zapomnimy, że jesteśmy tylko jej gośćmi. Wstydliwą statystyką Norwegii jest niestety ogromna fala – obwarowanej społecznym tabu – przemocy, której „sprzyjają" społeczna izolacja, arktyczne dnie i noce, monotonia. Nawet w Tromsø, mieście przypominającym oazę cywilizacji na północy, czuć ten rodzaj permanentnego stanu wyjątkowego. Główna atrakcja miasta, luterańska Katedra Arktyczna, również stopniowo utraciła swój mistyczny charakter, zamieniając się w kolejną atrakcję dla turystów zbierających się w niej w nocy, aby przez witraże obejrzeć zielonkawe światło zorzy polarnej.

Wiele o charakterze tego przedziwnego i niedostępnego świata mówi również główne muzeum największego na północy Norwegii miasta. W sposób naturalistyczny ukazuje ono historię eksploracji biegunów – surową, pełną indywidualnego heroizmu, poświęceń i śmierci. W gablotach leżą szczątki prostych narzędzi, fragmenty łodzi, broni, ślady odkrywców. W takich warunkach nie ma miejsca na błąd, a wszystko musi mieć jakiś cel. Taki jak przypominająca podłużny kredens pułapka na niedźwiedzie polarne. Na jej końcu zamocowana jest strzelba ze spiłowaną lufą. Na froncie – kawałek mięsa przewiązany sznurkiem, którego koniec znajduje się na spuście. Zwierzę przychodzi do takiego miejsca skuszone łatwym posiłkiem, nie wiedząc, że popełnia największy błąd życia. Błędem na pewno nie była jednak podróż na północ. Być może właśnie w takich sytuacjach i miejscach człowiek lepiej poznaje samego siebie. Ustawia hierarchię wartości. Wycisza się i coś autentycznie odkrywa w świecie, w którym coraz mniej rzeczy może nas zaskoczyć. To tylko kwestia czasu, kiedy tam wrócę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wyjazd odbył się w ramach finału konkursu literackiego Fundacji Identitas. Wraz z finalistami przebywałem w ośrodku Lyngen Outdoor Center.

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

DORADZAJĄ WYBRAĆ ŚMIERĆ W DOMU

Holenderscy lekarze oraz medycy z Flandrii (Belgia) odradzają starszym osobom pojawianie się w szpitalach w przypadku zachorowania na koronawirusa. Przez telefon tłumaczą im, że zamiast próbować ocaleć, lepiej przyjąć opiekę paliatywną we własnym domu i odejść ze świata w obecności bliskich. Czy trzeba przypominać, że Holandia jest pierwszym krajem na świecie, który zalegalizował (stało się to w 2001 r.) eutanazję?

NACZELNA LEKARZ ŁAMIE ZAKAZ

Catherine Calderwood, naczelna lekarz Szkocji, od wielu dni powtarzała Szkotom, że powinni teraz pozostawać w domach i że dozwolone jest jedynie wyjście po niezbędne zakupy, do apteki lub do pracy. Tymczasem – jak ujawnił tabloid „The Scottish Sun" – wraz z mężem i dziećmi spacerowała w pobliżu swojej posiadłości znajdującej się ok. 65 km od ich miejsca zamieszkania. Calderwood została upomniana przez policję, że powinna przestrzegać zaleceń, które sama wydała. Za swoje zachowanie publicznie przeprosiła i podała się do dymisji.

NAGO, ALE W MASECZKACH

W okolicach Pardubic piękna pogoda wyciągnęła Czechów z domów. Dziesiątki osób pojawiły się nad stawami wokół uzdrowiska Bohdaneč. Było wśród nich wielu nudystów. Interweniowała czeska policja, w tym kraju bowiem każdy ma obowiązek chodzić w maseczce. Reszta ciała może pozostać bez ubioru, ale maseczki być muszą.

WŁOSKA BEZTROSKA

Największa tragedia związana z rozprzestrzenianiem się koronawirusa i śmiertelnymi tego skutkami na razie (bo Hiszpania i USA mogą niestety przebić te fatalne wyniki) obserwowana jest we Włoszech. Tymczasem, jak donosi włoska prasa, w Neapolu ludzie za nic mają restrykcje, które mają ratować ich przed chorobą. Na zdjęciach publikowanych w mediach widać było tłum zalewający ulice m.in. na lokalnych targach.

PIŁKARZE DRŻĄ PRZED OBNIŻKAMI

Piłkarze Premier League zareagowali oburzeniem na sugestie, że mogliby obniżyć swoje pensje w klubach np. o 30 proc. Te pieniądze miałyby popłynąć na zwalczanie koronawirusa. Zawodnicy nie ukrywają, że nie chodzi o to, iż zbiednieją. Wręcz przeciwnie. Ich argument to obawa o uszczuplenie budżetu państwa, który przy obniżeniu ich gigantycznych dochodów mógłby stracić ok. 200 mln funtów. A to pieniądze m.in. na finansowanie zadań służby zdrowia. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Stadny eksperyment

Syn kobiety, którą zabił nowy wirus, zażądał wszczęcia sprawy karnej przeciwko prezydentowi Białorusi. Aleksandr Łukaszenko „nie podjął odpowiednich działań dla ochrony ludności" – argumentuje. Kobieta nie została jednak oficjalnie ujęta w statystykach śmiertelnych ofiar nowej zarazy.

Możliwe, że pozwy posypią się też w demokratycznych krajach. Pomysł, aby ze stosunkowo groźnym i mocno zaraźliwym wirusem specjalnie nie walczyć, co miało pozwolić na nabycie tzw. odporności stadnej, forsował też przecież niedawno brytyjski premier Boris Johnson. Gdy był jeszcze czas na zamknięcie granic i wprowadzenie ograniczeń mogących uratować życie tysiącom osób, szef rządu w Londynie ze stoickim spokojem tłumaczył, że wraz z doradcami liczy na to, iż społeczeństwo osiągnie tzw. odporność stadną, czyli że po fali zachorowań większość się uodporni. Ten błąd kosztował już życie ponad 7 tys. Brytyjczyków. Eksperci szacują, że liczba ta przynajmniej się podwoi. W czarnym scenariuszu podczas pierwszej fali umrzeć może nawet 66 tys. osób. Chichot losu sprawił, że o tym, iż samo mycie rączek i trzymanie dystansu nie wystarczy, aby zachować zdrowie, przekonał się sam premier. – Pojawiły się u mnie delikatne objawy koronawirusa – oznajmił rodakom pod koniec marca. 5 kwietnia 56-letni Johnson trafił na oddział intensywnej terapii. Oczywiście premier nie jest traktowany jak pozostali członkowie stada. Podano mu więc tlen, choć był w niezłym stanie, i nie musi się martwić, że zabraknie dla niego respiratora. Raczej nie przyzna więc, że był idiotą. Przyznał to za to, i to dokładnie tymi słowami, minister zdrowia Nowej Zelandii, gdy podczas kwarantanny pojechał z rodziną na plażę. Słuszna samoocena ocaliła jego tekę w rządzie. Kto jednak uchroni inne stada przed podobnymi politykami? ©℗

eprasa.pl d662d706da

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl d662d706da

Od szczepionek do Wiedźmina

Jacek Przybylski

Większość ekspertów ostrzega przed pierwszą od 1989 r. recesją w Polsce. Nie brakuje jednak branż, firm i inwestorów, którym epidemia koronawirusa dała okazję do ogromnego zarobku

Związane z koronawirusem coraz większe obostrzenia dotyczące możliwości przemieszczania się i spędzania wolnego czasu uderzają w wiele branż gospodarki. Mocno tracą hotelarze, właściciele i pracownicy restauracji oraz kawiarni, kierowcy, kolejarze, budowlańcy, wydawcy, filmowcy, organizatorzy targów, a także w tysiące innych przedsiębiorców. Część rynkowych graczy, tak jak np. niektóre wypożyczalnie elektrycznych hulajnóg, prawdopodobnie nie przetrwa do końca pandemii. W tarapatach znalazł się również przemysł motoryzacyjny.

Jednak według badania przeprowadzonego dla Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor, choć pandemia koronawirusa unieruchomiła niemal jedną trzecią mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, to trzy firmy na sto przeżywają obecnie prawdziwy boom na swoje towary i usługi.

WIRUSOWA HOSSA

Dla niektórych przedsiębiorstw epidemia stała się bowiem wyjątkową okazją do niespodziewanego wzrostu obrotów i dochodów. W oczywisty sposób na pandemii zyskało wiele firm biotechnologicznych oraz okołomedycznych.

Informacje, że szczepionki antygruźlicze mogą być pomocne w walce z koronawirusem, bardzo mocno pomogły wynikom Biomedu Lublin, jednego z trzech europejskich producentów szczepionki przeciw gruźlicy. Wytwórnia surowic i szczepionek szybko stała się więc nową gwiazdą wśród inwestorów na warszawskim rynku papierów wartościowych. Cena jednej akcji spółki na GPW wzrosła od końca marca do początku zeszłego tygodnia o ponad 300 proc.

Od początku roku niezły majątek można było również zbić na udziałach spółki BioMaxima. Polska firma sprzedaje m.in. szybkie testy do wykrywania koronawirusa. Złożyła również pod koniec marca wniosek o rejestrację testu genetycznego do wykrywania SARS-CoV-2. Ci, którzy akcje BioMaximy na rynku NewConnect kupili w pierwszych dniach stycznia, w ciągu trzech miesięcy zarobili już ponad 500 proc. (żeby podobny wynik osiągnąć na lokacie w banku przy dzisiejszym obniżonym oprocentowaniu, trzeba by oszczędzać niemal 500 lat).

Duży wzrost przychodów w czasach koronawirusa zauważają też członkowie zarządu firmy Mercator Medical – producenta rękawic medycznych i ochronnych. Nieźle radzi sobie też Cormay – producent odczynników diagnostycznych, który na polski rynek wprowadził m.in. testy laboratoryjne umożliwiające diagnozowanie zakażeń koronawirusem wywołującym chorobę COVID-19.

W czasach pandemii bardzo dobrze zarabiają jednak nie tylko firmy medyczne. Koronawirusowa nuda napędziła gigantyczny popyt m.in. na gry wideo oraz usługi wideo na żądanie (VOD). – Konsumenci i usługi przenoszą się z off-line do świata on-line i mobile szybciej niż kiedykolwiek – zauważył Karol Sadaj, country manager Revolut w Polsce. Z opublikowanego w ubiegłym tygodniu raportu Revolut Money porównującego dane o transakcjach blisko miliona użytkowników aplikacji w Polsce wynika, że od lutego do marca liderami wzrostów były takie serwisy jak Steam Games (wzrost o 109 proc.), PlayStation (87 proc.) i Nintendo (49 proc.).

Nic dziwnego. Nawet Światowa Organizacja Zdrowia w czasach szalejącego koronawirusa zaleciła gry jako bezpieczną formę rozrywki. Pandemia i powszechna izolacja mają pozytywny wpływ również na wyniki polskich producentów gier, przez co mimo krachu i obaw o przyszłość gospodarki stali się oni łakomym kąskiem wśród inwestorów.

Cena jednej akcji CD Projekt – producenta m.in. słynnych gier o Wiedźminie, które stały się globalnym hitem – w ostatnich kilkunastu dniach mocno podrożała i przebiła magiczną barierę 300 zł, a potem poszybowała nawet do 336 zł. Łączna kapitalizacja spółki zbliżyła się zaś do 30 mld zł. Tym samym na początku kwietnia CD Projekt stał się najdroższą polską spółką notowaną na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, wyprzedzając dotychczasowego lidera,

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

czyli największy polski bank: PKO BP. Ze zwiększonych przychodów w czasach pandemii cieszą się także inni producenci gier notowani na warszawskim parkiecie. PlayWay pochwalił się zwiększeniem sprzedaży nie tylko nowych gier (koszty produkcji i marketingu „Tank Mechanic Simulator" i konsolowego „Thief Simulatora" zwróciły się po 72 godzinach od lutowej premiery), lecz także starszych tytułów. Ten Square Games szacuje, że przychody w pierwszych trzech miesiącach 2020 r. wzrosły do 94,9 mln zł z 78,6 mln zł kwartał wcześniej. Zysk 11 bit studios wzrósł zaś rok do roku o 30 proc., do 11,7 mln zł.

Polacy więcej czasu spędzają na graniu, ale też na oglądaniu filmów i seriali. Wśród serwisów popularny jest zaś nie tylko amerykański Netflix (który zyskał ponad 20 proc. użytkowników), lecz także polskie serwisy VOD. Jak podał branżowy portal Press, powołując się na dane Gemius/PBI, po wprowadzeniu ograniczeń związanych z pandemią koronawirusa Player.pl odwiedziło aż o 88 proc. użytkowników więcej, Vod.pl o 20 proc. więcej, dział Premium Cda.pl zyskał 30 proc., a Vod.tvp.pl odnotował wzrost o 10 proc.

Tak duży wzrost oglądalności sprawił, że akcje notowanej na warszawskiej giełdzie spółki CDA w ciągu ostatniego miesiąca dały zarobić inwestorom ponad 90 proc.

ROLNICY ON-LINE

Bardzo wyraźnie w czasie pandemii zyskał również handel internetowy, na czele z takimi serwisami jak Allegro (Revolut odnotował wzrost liczby transakcji o 42 proc. i ich wartości o 57 proc.) czy AliExpress (wzrost odpowiednio o 12 proc. i 64 proc.).

To, jak akcja #ZostańWDomu zmieniła zwyczaje zakupowe Polaków, sprawdzili też analitycy Polskiego Standardu Płatności, operatora systemu BLIK. PSP sprawdził, które kategorie zakupów cieszyły się największym zainteresowaniem w e-commerce w pierwszym miesiącu epidemii.

W marcu najbardziej wzrosła aktywność użytkowników BLIKA w e-sklepach sprzedających sprzęt RTV i AGD (wzrost w porównaniu z lutym aż o 270 proc.). Na drugim miejscu uplasowały się sklepy z chemią domową (wzrost liczby transakcji o 216 proc.) oraz księgarnie internetowe (wzrost liczby transakcji o 85 proc.). W pierwszej piątce znalazły się też perfumerie (81 proc. wzrostu) oraz serwisy streamingowe z grami (wzrost o 47 proc.). – Zagrożenie koronawirusem zmieniło istotnie potrzeby zakupowe Polaków w e-commerce – mówi Magdalena Kubisa z Polskiego Standardu Płatności, operatora systemu BLIK. – To dziś nieco wymuszone przejście na zakupy internetowe spowoduje przyśpieszenie wzrostu kategorii zakupów w e-commerce, kosztem tych tradycyjnych – dodaje.

Ogromny ruch notują też internetowe apteki. W przypadku niektórych można wręcz mówić o wielkiej klęsce urodzaju, ponieważ nawet w przypadku dużych ogólnopolskich graczy zdarza się, że na realizację zamówień trzeba czekać kilkanaście dni roboczych, a klientami dopytującymi o termin realizacji kompletnie nikt się nie przejmuje. Ze zwiększonym nagle popytem na usługi dowozu zakupów nie radzą sobie też sieci hipermarketów, w których najbliższe terminy dostawy często przekraczają kilkanaście dni, a nawet kilka tygodni. Epidemia wymusiła też zmiany modelu sprzedaży. W wielu miastach Polski powstały błyskawicznie mobilne targowiska, za pośrednictwem których warzywa, ziarna, miód, jajka, mięso czy wędliny można zamawiać bezpośrednio u rolników z dostawą do domu.

Koronawirus mocno zwiększył również przychody tradycyjnych sklepów spożywczych, a także fabryk makaronu, piekarni czy producentów gotowych dań. Ogromny, co najmniej kilkudziesięcioprocentowy, a często nawet kilkusetprocentowy wzrost sprzedaży – zarówno w Polsce, jak i w innych krajach opanowanych przez pandemię koronawirusa – odnotowali producenci oraz dystrybutorzy mydeł, płynów dezynfekujących oraz środków czystości dla gospodarstw domowych. Powodów do narzekań nie mają też firmy oferujące dowóz jedzenia z restauracji. Według raportu Revoluta Wolt zyskał 49 proc., Uber Eats 46 proc., a Pyszne.pl 20 proc.

Największy wzrost liczby (122 proc.) i wartości transakcji (142 proc.) uzyskała jednak aplikacja Glovo, która umożliwia zamawianie dowozu zakupów spożywczych oraz leków.

BROŃ I ZŁOTO

Wzrost obrotów w sklepach internetowych sprawił, że dla kurierów zapanowały czasy niemal tak gorące jak w okresie przed świętami Bożego Narodzenia.

W Stanach Zjednoczonych na wirusa nie mogą narzekać właściciele sklepów z bronią, do których dzień w dzień ustawiają się długie kolejki. Podczas epidemii FBI dokonało rekordowej liczby sprawdzeń nabywców broni: w sumie tylko w marcu sprawdzono ich 2,4 mln. Również w polskich sieciach z artykułami do obrony szybko wyczerpały się zapasy wielu modeli pistoletów gazowych, pistoletów na kule gumowe i pieprzowe oraz paralizatorów.

Mimo rekordowo wysokich cen złota wirus wymiótł też zapasy złotych sztabek i monet bulionowych w oddziałach polskich mennic. Fizycznego złota – od wieków uważanego za najpewniejszą formę tezauryzacji – zabrakło zresztą nawet w stolicy światowych finansów, czyli w Nowym Jorku. „W Londynie bankierzy wynajmują prywatne samoloty lub próbują znaleźć wojskowe do przewiezienia swoich sztabek na giełdę w Nowym Jorku" – podał pod koniec marca dziennik „Wall Street Journal". Jak się więc okazuje, epidemia koronawirusa – i wywołana nią atmosfera niechybnej apokalipsy – zaskoczyła nawet tych bankierów, którzy od dziesięcioleci zarabiali na strachu, że w końcu kiedyś będzie blisko końca świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Walka z rynkiem

Tomasz Cukiernik

Ceny maksymalne mogą pogłębić problem, który mają zwalczać

Jeden z przepisów Tarczy Antykryzysowej umożliwia ministrom ustalanie maksymalnych cen lub marż hurtowych i detalicznych towarów i usług mających istotne znaczenie dla ochrony zdrowia, bezpieczeństwa ludzi lub kosztów utrzymania gospodarstw domowych. Kontrolę w zakresie przestrzegania zakazu mają prowadzić: Inspekcja Farmaceutyczna, Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, Inspekcja Sanitarna i Inspekcja Handlowa. A za nieprzestrzeganie tej regulacji grożą horrendalne kary w wysokości od 5 tys. zł do aż 5 mln zł. Co więcej, prezes UOKiK może nałożyć na przedsiębiorcę, który dopuścił się wielokrotnie, w przypadku wielu towarów lub usług bądź na dużą skalę, naruszenia zakazu, karę w wysokości do nawet 10 proc. obrotu. Ponadto jeśli przedsiębiorca nie udzielił informacji żądanych przez prezesa UOKiK lub udzielił informacji nieprawdziwych bądź wprowadzających w błąd albo uniemożliwia lub utrudnia rozpoczęcie bądź przeprowadzenie kontroli, to czeka go kara w wysokości do 50 mln zł!

KTO ZA, KTO PRZECIW

Niektórzy są zdania, że to dobre posunięcie w ramach walki ze zbyt wysokimi cenami, a innym przypomina się PRL-owska walka ze spekulacją. Poseł PiS Teresa Hałas, przewodnicząca NSZZ RI „Solidarność", uważa, że nie jest to złe rozwiązanie i wynika z troski o to, by ceny nie galopowały. – Rząd chciał się zabezpieczyć, gdyby te ceny rzeczywiście zaszalały na rynku. To jest działanie w obronie konsumentów – mówi poseł Hałas. Przeciwnego zdania jest poseł Konfederacji Artur Dziambor. – Jest to absolutnie niedopuszczalne. Jeżeli rząd sobie pozwala ustalać ceny, to jest tylko jeden krok od tego, żeby zmonopolizować sobie rynek i następnie wprowadzić towary na kartki. Byliśmy tam kiedyś. Nie chcemy już tam wracać – ocenia poseł Dziambor, dodając, że kary są tak ustalone, żeby przerażały każdego, kto mógłby nawet pomyśleć o tym, żeby jednak nie posłuchać sugestii rządu.

Z kolei w stanowisku Konfederacji Lewiatan w sprawie projektu Tarczy Antykryzysowej przesłanym do minister rozwoju Jadwigi Emilewicz widzimy wewnętrzną sprzeczność. Z jednej strony przedstawiciele przemysłu spożywczego podkreślili, że „w praktyce nierealna i szkodliwa byłaby próba administracyjnego regulowania poziomu cen", i postulowali „wykreślenie przepisów uprawniających do nałożenia kar za nawet nieumyślną sprzedaż powyżej cen maksymalnych, tudzież nieumyślne przekazanie błędnych danych w sytuacji daleko idących zaburzeń w całym łańcuchu dostaw, oraz rozchwiania struktury kosztów wytworzenia (deprecjacja złotego, spadek cen ropy, absencje pracowników, nadgodziny itp.) i dynamiki zachodzących zmian". Również sektor pożyczkowy zauważył, że „proponowane rozwiązania są zupełnie chybione i doprowadzą wręcz do pogorszenia sytuacji kredytobiorców", ponieważ legalni kredytodawcy będą zmuszeni „ograniczyć lub całkowicie zaprzestać kredytowania konsumentów, którzy zmuszeni będą szukać finansowania poza legalnym rynkiem". Ponadto przedsiębiorcy twierdzą, że przepis „może bardzo utrudnić planowanie gospodarcze przedsiębiorcom zaopatrującym gospodarstwa domowe w towary".

Z drugiej jednak strony zrzeszony w Konfederacji Lewiatan przemysł farmaceutyczny wniósł o rozszerzenie przepisu i objęcie cenami maksymalnymi także produktów niezbędnych do wytworzenia leków, wyrobów medycznych oraz środków spożywczych specjalnego przeznaczenia żywieniowego. „Już teraz niektórzy dostawcy produktów, z których produkuje się leki, wyroby medyczne czy środki spożywcze specjalnego przeznaczenia żywieniowego, próbują wykorzystać obecną sytuację, podwyższając ceny na swoje produkty. W takiej sytuacji cena np. substancji czynnej niezbędnej do wytworzenia leku potrzebnego do walki z koronawirusem mogłaby przekraczać cenę maksymalną, wskazaną w obwieszczeniu Ministra Zdrowia. W takim przypadku firmy produkujące leki czy wyroby medyczne mogłyby ponosić straty na produkcji swoich produktów" – argumentują przedstawiciele przemysłu farmaceutycznego.

REGULACJA POGŁĘBI PROBLEM

Jaki wpływ na różne sfery życia gospodarczego może mieć wykorzystanie przepisów ustawy i wprowadzenie przez ministra gospodarki w porozumieniu z ministrem zdrowia i rolnictwa cen maksymalnych? Przede wszystkim zamiast z ulgą dla przedsiębiorców w kryzysie mamy do czynienia z głębszą ingerencją państwa w działalność firm, które mają być jeszcze bardziej kontrolowane i mocniej karane. To nie są działania, które mogą pomóc gospodarce w kryzysie i w procesie wychodzenia z niego.

Regulacja cen to przede wszystkim uderzenie w przedsiębiorców, bo ci nie będą w stanie przeprowadzić rynkowej kalkulacji kosztów. – Ceny są niezwykle ważnym przekaźnikiem informacji w gospodarce. Na rynku to ceny decydują o tym, jak ograniczony zasób dóbr rozdzielić pomiędzy najbardziej zainteresowanych ich nabyciem kupców. Wzrost ceny daje sygnał producentom i sprzedawcom, że wzrasta opłacalność produkcji i importu dobra, a konsu-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d662d706da

mentom, że muszą korzystać z danego produktu bardziej oszczędnie – tłumaczy ekonomista Mateusz Benedyk, dyrektor generalny Instytutu Misesa. – W czasach kryzysowych ta funkcja cen jest jeszcze ważniejsza niż normalnie. Zamrożenie ceny chleba na dotychczasowym poziomie przez cały 2019 r. byłoby kiepskim pomysłem, ale nie zniszczyłoby gospodarki i nie doprowadziło do śmierci głodowej. Limitowanie cen w czasie kryzysu jest dużo groźniejsze. Nowe okoliczności wymagają szybkich zmian w organizacji produkcji, zatrudnieniu i dystrybucji. Przedsiębiorcy instalujący nową linię produkcji ma-

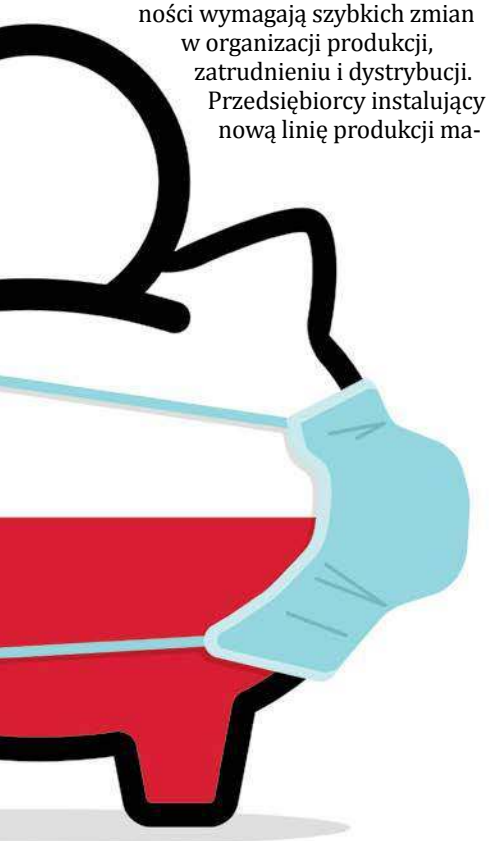

seczek i zatrudniający na gwałt nowych pracowników nie mogą żyć w strachu, że nie będą mogli sprzedać produktu powyżej kosztu jego wytworzenia – podkreśla Benedyk.

Na prawdziwie wolnym rynku podaż jest równa popytowi, a wprowadzenie ceny maksymalnej jednocześnie powoduje zwiększenie popytu i zmniejszenie podaży. Jest coraz więcej chętnych do kupienia towaru po tej cenie, a jednocześnie coraz mniej zainteresowanych firm, by dany towar wyprodukować i w tej cenie sprzedać. W rezultacie istniejące niedobory zamiast się zmniejszać – zwiększają się. Regulacja powiększa więc problem, z którym miała walczyć. Profesor Thomas Sowell, ekonomista z Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, w książce „Ekonomia dla każdego" pisze, że niedobory to zjawisko cenowe, a „interwencja rządu, zmierzająca do ustalenia maksymalnego pułapu cen poniżej poziomu proponowanego przez wolny rynek, istniejące niedobory pogłębia". Bo jak w książce „Interwencjonizm, czyli władza a rynek" wyjaśnia amerykański ekonomista, prof. Murray Rothbard, „kontrola ceny stwarza sztuczny niedobór produktu, który trwa, dopóki kontrola jest utrzymywana, a wręcz się pogłębia, gdyż zasoby produkcyjne przesuwają się do innych linii produkcji".

Tak samo tłumaczy Portal Edukacji Ekonomicznej NBP: „Legislacja dopuszczająca ustanawianie cen maksymalnych jest jednak przeciwskuteczna. Powoduje bowiem, że […] mechanizmy uzupełniania braków nie zostają uruchomione. Nowych przedsiębiorców nie zachęca się nadzwyczajnym zyskiem do wejścia na rynek i do dostarczania towarów deficytowych. Co więcej, ceny istniejącego zapasu dóbr nie mogą zostać podwyższone. Powoduje to, że towar w sytuacji wolnorynkowej przeznaczony dla tych, którzy skłonni są wydać więcej, rozchodzi się wśród wszystkich – również wśród osób, które kupują na zapas, nie zaś by zaspokoić bieżące potrzeby". – Przez kontrole cen będziemy mieć mniej sprzętu i środków niezbędnych do ratowania ludzkiego życia i zatrzymywania epidemii. Ceny administracyjne odstraszą tych rzutkich przedsiębiorców, którzy chcieliby dostarczyć społeczeństwu potrzebne produkty. Firmy z zagranicy ominą szerokim łukiem kraj, w którym nie uzyskają za swoje produkty obowiązującej na światowych rynkach ceny. Zmniejszone przez epidemię zasoby pracy zostaną wykorzystane gorzej, a dochody ludzi spadną – zaznacza dyrektor Benedyk. – Nie idźmy tą drogą, tylko pozwólmy odzwierciedlać cenom rzeczywistą rynkową sytuację – apeluje.

WINNI „JANUSZE BIZNESU"?

Trzeba zadać pytanie, dlaczego nagle wzrosły ceny maseczek ochronnych czy płynu odkażającego. To efekt nie tyle zachłanności „januszy biznesu", ile skutek nagłego zwiększenia się popytu na te towary. W odpowiedzi na zwiększony popyt rynek, podnosząc ceny, sam powoduje, że towaru nie zabraknie przede wszystkim tym najbardziej potrzebującym, którzy są skłonni zapłacić wyższą cenę. W takiej bowiem sytuacji nikt nie kupuje na zapas, w nadmiarze, bo odstrasza go właśnie wysoka cena. Jeśli w tym momencie wkracza państwo ze swoimi cenami maksymalnymi, to towar jest natychmiast wykupywany. Jak pisze prof. Rothbard: „Charakterystycznym zjawiskiem towarzyszącym istnieniu ceny maksymalnej są kolejki. Dla tych, którzy znajdą się na ich końcu, podaż pożądanych przez nich dóbr jest niewystarczająca".

Co więcej, po wprowadzeniu cen maksymalnych handlowcy chowają deficytowy towar i sprzedają go znacznie drożej poza oficjalnym obiegiem. W takiej sytuacji to szara strefa z wysokimi cenami staje się prawdziwym wolnym rynkiem. „Kontrola cen tworzy bowiem czarny rynek, na którym nie tylko obowiązują ceny wyższe od dozwolonych przez prawo, lecz także wyższe od tych, jakie istniałyby na wolnym rynku. Ryzyko wymaga przecież nagrody" – pisze prof. Sowell.

Tymczasem na wolnym rynku radykalna zwyżka cen może być tylko chwilowa. Zachęca bowiem konkurencyjne firmy do zwiększenia produkcji danego towaru lub nawet inne firmy do przebranżowienia się, a także do importu. Wraz ze zwiększeniem podaży wysoka pierwotnie cena spada, a tym samym coraz więcej osób może sobie pozwolić na kupno potrzebnego artykułu. Jeśli jakiś sklep zbyt mocno podniesie ceny, to po prostu nie znajdzie klienta, a konkurencja szybko zaproponuje towar taniej. Do tego nie jest potrzebna regulacja w postaci cen maksymalnych.

Rozmiar wpływu administracyjnie ustalonej ceny maksymalnej zależy od wysokości takiej ceny. Jeśli zostanie ustalona na zbyt niskim poziomie, poniżej kosztu wyprodukowania danego towaru, to doprowadzi to do niedoborów i chaosu na rynku. Nikt go nie będzie wytwarzał czy importował. Z kolei jeśli cena maksymalna zostanie ustalona na zbyt wysokim poziomie, to będzie miała niewielki wpływ na rynek lub żaden. Tylko że w tej drugiej sytuacji po co w ogóle ją określać? Dodatkowo w przypadku istnienia administracyjnych cen i marż na barki przedsiębiorców wrzuca się bezproduktywną armię biurokratów, która zajmuje się wdrażaniem i kontrolą tych zbędnych regulacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Lek gorszy od choroby?

Trudno dziś roztrząsać, kto w sprawie strategii walki z pandemią COVID-19 ma rację, a kto się myli – zwolennicy rozwiązań radykalnych czy mniej radykalnych; dziś, gdy nie wiadomo, jak się ona skończy, ile pochłonie ofiar. I gdy tej walce towarzyszą tak powszechne strach i presja, by za wszelką cenę minimalizować ryzyko. Jednak ta debata i tak nas przecież czeka.

Najpierw zastrzeżenie: każde życie jest warte tak samo dużo, a każda śmierć – bez względu na przyczynę – tak samo boli, wywołuje tak samo głębokie współczucie. Nieważne, czy chodzi o śmierć z powodu chorób układu krążenia (to najwięksi „zabójcy" Polaków), nowotworów, wypadków drogowych czy COVID-19. W Polsce z różnych powodów – w tym „ze starości" – co roku umiera ponad 400 tys. osób; średnio ponad 1,1 tys. każdego dnia.

A teraz do rzeczy. Dziś nikt nie ma pojęcia, co będzie z COVID-19, a wiadomości napływające z różnych stron świata, często w postaci filmów i zdjęć, które – jak to obrazy, z których każdy wart jest tysiąca słów – robią niekiedy wstrząsające wrażenie. Choćby te z Włoch, przedstawiające konwoje wojskowych ciężarówek wiozących zwłoki zmarłych. Mam jednak nadzieję, że pandemia zostanie wkrótce opanowana, a wtedy ruszy spór o to, czy obrane w walce z wirusem strategie były adekwatne do zagrożenia, które on niesie. Czy zastosowano „lekarstwo" właściwe, czy jednak takie, które okazało się niebezpieczniejsze od choroby, której miało przeciwdziałać.

O ile bowiem uważnie śledzimy zmieniające się liczby zarażonych SARS-CoV-2 i ofiar, które w związku z tym zmarły, bo jesteśmy nimi „bombardowani", o tyle żadną miarą nie mamy szansy poznać liczby ludzi cierpiących i umierających za sprawą złego funkcjonowania wskutek pandemii przeróżnych instytucji – głównie służby zdrowia; cierpiących i umierających z powodu odwoływania zabiegów i dodatkowych trudności w i tak niełatwym u nas dostaniu się do lekarzy specjalistów. Nikt tego nie bada, nie sumuje ani nie podaje do publicznej wiadomości. (Nie wspominając o ludziach już cierpiących z powodu gospodarczych konsekwencji walki z zarazą).

Zresztą debata nad tym, czy przeciw pandemii COVID-19 nie wytoczono zbyt wielkich dział, już trwa, choć na razie – z powodu niepewności co do skali zagrożeń, które przyniesie – na marginesie doniesień z frontu walki z wirusem. Na to, że wskutek użycia tak drakońskich środków liczba ofiar z powodu ich zastosowania może się okazać większa od liczby ofiar samego wirusa, zwrócili już uwagę nie tylko prezydenci USA Donald Trump i Brazylii Jair Bolsonaro, lecz także liczni eksperci – np. znawca rynku zdrowia Adam Kozierkiewicz i szef Centrum Badań nad Profilaktyką Uniwersytetu Yale David Katz. A ponadto istnieją kraje, choć nieliczne, np. Szwecja, które walczą z COVID-19, stosując mniej rygorystyczne środki. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czas zapalić światło w tunelu

W ubiegłym tygodniu rząd nowelizował i chwalił się ulepszoną wersją Tarczy Antykryzysowej. Na ile ulepszoną – to się okaże. Są opinie, że dodatkowe 100 mld zł to jakościowa zmiana w podejściu. Jednakże w sieci można znaleźć mnóstwo postów wściekłych przedsiębiorców, wskazujących, że Tarcza – przynajmniej w swoich dwóch pierwszych wersjach – jest tak skonstruowana, żeby odciąć od pomocy jak najwięcej z nich. Można by się zastanawiać, dlaczego nie zastosowano w jej najważniejszych instrumentach zasady „złotówka za złotówkę" lub „złotówka za osobę", dzięki czemu jeden pracownik więcej albo jedna złotówka więcej nie powodowałyby, że dana firma pozostawałaby całkowicie poza systemem wsparcia.

Nie znalazły się też w ustawie dwa instrumenty, o których sami przedsiębiorcy mówili wielokrotnie. Po pierwsze – natychmiastowe zawieszenie biegu postępowań przynajmniej karnoskarbowych oraz w sądach gospodarczych. Po drugie – uwolnienie środków zablokowanych na rachunkach VAT split payment. Zwłaszcza to ostatnie ogromnie pomogłoby firmom będącym płatnikami VAT. Rząd nie zdecydował się też – co jest szczególnie niezrozumiałe – na automatycznie umorzenie składek i podatków tym branżom, którym sam zabronił działać, takim jak zakłady fryzjerskie, salony kosmetyczne czy hotelarstwo.

Przede wszystkim jednak przedsiębiorcom brakuje perspektywy wyjścia z hibernacji. Dwa bliskie Polsce geograficznie kraje – Czechy i Austria – zarysowały już konkretny plan odchodzenia od restrykcji, a dla prowadzących biznes ma to absolutnie kluczowe znaczenie, bo data zakończenia obostrzeń daje konkretny moment powrotu do zarabiania pieniędzy. Firma wie, czy może trzymać ludzi, czy też musi ich zwolnić. Tymczasem ani premier Morawiecki, ani minister Szumowski nie mają nam na kolejnych konferencjach do powiedzenia nic poza apelami o cierpliwość i mglistymi szacunkami, kiedy może nastąpić szczyt zachorowań. Polscy przedsiębiorcy długo tak nie pociągną i za chwilę będą polskimi bezrobotnymi.

Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, wskazuje, że daty odmrażania gospodarki nie można przekładać na nieokreślony czas „po epidemii", bo bardzo możliwe, że z nią będziemy żyć jeszcze całe miesiące. Ten termin musi się pojawić jako moment, w którym państwo będzie gotowe przyjąć skutki zachorowań przy przywróceniu życiu gospodarczemu choćby częściowej sprawności.

Jesteśmy blisko punktu, po którego przejściu brak takiej perspektywy stanie się gwoździem do trumny biznesu, a co za tym idzie – pracowników, budżetu, służby zdrowia i nas wszystkich. ©℗

eprasa.pl d662d706da

TEST „DO RZECZY": KAMERKA IP TP-LINK TAPO C200

Możliwość obracania kamery w poziomie i w pionie, dwukierunkowa komunikacja, bardzo dobra jakość obrazu, łatwość konfiguracji – to największe zalety kamerki IP, która przydać się może nie tylko w roli elektronicznej niani w czasach koronawirusa.

Plastikowa kamerka robi wrażenie solidnie wykonanej. W kamerkach IP najważniejszy jest jednak nie wygląd, ale obraz. Ten jest zaś dobry zarówno w dzień (to żadna sztuka nawet dla najtańszych urządzeń), jak i w nocy przy użyciu podczerwieni (oczywiście wówczas obraz jest czarno-biały, ale jego ostrość, a także wyrazistość dostrzeganych szczegółów w tej kategorii cenowej zasługują na pochwałę). Kamerę możemy obracać o 180 stopni w każdą stronę w poziomie oraz w zakresie 114 stopni w górę lub w dół.

Jak na kamerkę IP przystało, Tapo C200 potrafi też zaalarmować właściciela, gdy wykryje ruch w wyznaczonej wcześniej strefie (co jest szczególnie istotne, jeżeli w kadrze łapie się telewizor czy okno z widokiem na drogę krajową) i automatycznie rozpocząć nagrywanie. Do wyboru są trzy poziomy czułości czujnika wykrywania ruchu. Nagrania i zdjęcia zapisywane są na karcie MicroSD o pojemności do 128 GB bez przerwy lub np. tylko po wykryciu ruchu.

Dzięki wbudowanemu w urządzenie głośnikowi można nie tylko z pracy posłuchać, co robi w domu dziecko/kot/pies/żona/teściowa, lecz także porozmawiać z osobami znajdującymi się w pobliżu kamerki. Głośność jest wystarczająca, aby ani dziecko, ani pies nie mogli wykręcać się potem, że nic nie słyszeli.

Tapo C200 może więc służyć nie tylko do ochrony mieszkania przed niechcianymi gośćmi, lecz także sprawdzić się w charakterze elektronicznej niani, ułatwiającej opiekę nad małymi dziećmi czy schorowanymi dziadkami.

Łatwe w obsłudze są zarówno sama kamerka, jak i służąca do sterowania nią aplikacja, która informuje użytkownika o kolejnych zdarzeniach. W aplikacji możemy także przybliżać obraz, aby zobaczyć interesujące nas szczegóły.

Wady? Po pierwsze, kamerka nie jest wodoodporna, przez co można jej używać tylko w pomieszczeniach. Po drugie, testowane urządzenie co prawda potrafi nagrać film w jakości Full HD (1920 x 1080), ale niestety jedynie z prędkością 15 klatek na sekundę. Po trzecie, kamera nie ma żadnego awaryjnego zasilania, więc w razie awarii prądu monitoring pada.

Mimo tych minusów stosunek ceny do jakości i liczby funkcji tego urządzenia jest wyjątkowo dobry. Kamerka Tapo C200 kosztuje zaledwie 139 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SMARTWATCH KONTROLOWANY GESTAMI

Jest designerski, modny i kontroluje się go przede wszystkim gestami kciuka i pukaniem palcem o palec, co pozwala na odbieranie wiadomości i odpisywanie na nie, ustawianie głośności muzyki czy odbieranie połączeń przychodzących, sprawdzanie lokalizacji, włączanie telewizora, zmianę programów w telewizorze. Po co to wszystko? Dla lansu? Albo żeby nie mazać paluchem po ekranie? Aha, jeszcze jedno: zegarek działa też jak klasyczne walkie-talkie i nie potrzeba połączenia sieciowego, by rozmawiać z bliską osobą, pod warunkiem że ona też ma takie urządzenie. Smartwatch nazywa się Mad Gaze i kosztuje ok. 500 zł, a zamawiać go można na portalu Indiegogo. Dostawa w czerwcu.

EKOLOGICZNA ŁADOWARKA

W zasadzie nie wychodzimy z domu. No, tylko do sklepu i na krótki spacer. A przynajmniej powinniśmy przestrzegać tych zasad, bo koronawirus czai się wszędzie. A skoro tak, to przenośne źródła energii nie są nam jakoś szczególnie potrzebne. Mimo to jest nadzieja, że latem wróci czas długich wędrówek, odpoczynku na słońcu i wtedy powerbanki będą znów potrzebne. Na przykład taki Gomi, czyli estetycznie wyglądające, kolorowe pudełko. W zasadzie produkt nie wnosi na rynek nic nowego poza estetycznym wykonaniem z... tworzywa sztucznego nienadającego się do recyklingu, a urządzenia dostarczające energię wykonano w nim ze zużytych akumulatorów, które w przeciwnym razie trafiłyby na składowisko odpadów. Jeśli już o energii mowa, to ta przenośna ładowarka ma wydajność 12 tys. mAh. Gadżecik, którym zapewne zainteresują się ekolodzy i fani Grety Thunberg. Gomi kosztuje ok. 200 zł, zamawiać można na Kickstarterze. Dostawa w czerwcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl d662d706da

Katarzyna Pinkosz

Pacjenci onkologiczni to grupa bardzo wysokiego ryzyka COVID-19. Układ immunologiczny jest osłabiony nie tylko przez nowotwór, lecz także często przez stosowane leczenie. Jak leczyć raka w dobie koronawirusa?

Rak nie poczeka

Z niektórych placówek onkologicznych już napływają informacje o potwierdzonych przypadkach COVID-19 wśród pacjentów lub personelu medycznego. Czasowo część oddziałów została zamknięta, wizyty planowe często są przesuwane na późniejszy termin lub zastępowane telewizytami. Jednak lekarze robią wszystko, by nie przerywać leczenia.

– Nie może być tak, że gdy mamy pandemię koronawirusa, rezygnujemy ze standardowego leczenia innych chorób: cukrzycy, miażdżycy, a w szczególności nowotworów. Przerwanie aktywnego leczenia onkologicznego kończy się nieodwracalnym pogorszeniem stanu chorego. Tu nie może być „wakacji na trzy miesiące", a potem powrotu do leczenia – mówi prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Narodowego Instytutu Onkologii – Państwowego Instytutu Badawczego i prezes Polskiej Grupy Raka Płuca.

Tego samego zdania jest prof. Rafał Stec, kierujący Kliniką Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Zalecenia są jednoznaczne: nie wolno zaniedbywać leczenia onkologicznego, bo pacjenci mogą umrzeć nie z powodu koronawirusa, ale z powodu chorób nowotworowych. Pacjenci powinni kontynuować leczenie niezależnie od tego, czy jest to chemioterapia, radioterapia, leczenie operacyjne czy stosowanie leków ukierunkowanych molekularnie lub immunoterapii – dodaje prof. Stec.

W czasie epidemii szczególnie ważne są dobra organizacja leczenia i to, żeby pacjenci nie poszukiwali dla siebie miejsca, gdzie mają być leczeni. Dlatego prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego i dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii, apeluje do Ministerstwa Zdrowia o jak najszybsze wprowadzenie w całej Polsce Krajowej Sieci Onkologicznej, której pilotaż toczy się w kilku województwach. Sieć ma spowodować, że pacjent będzie kierowany na badania i leczenie przez koordynatora, oraz usprawnić koordynację leczenia onkologicznego.

ZALECENIA DLA PACJENTÓW

Już sama choroba nowotworowa osłabia układ odpornościowy, a dodatkowo może go jeszcze osłabić leczenie onkologiczne. Dlatego chorzy na nowotwory są szczególnie narażeni zarówno na zachorowanie, jak i na ciężki przebieg COVID-19. – Powinni restrykcyjnie stosować się do zaleceń służb sanitarnych, pozostać w domu (poza krótkimi spacerami), unikać kontaktu z osobami, które nie mieszkają w tym samym gospodarstwie domowym. Na wizyty do szpitala najlepiej, żeby dojeżdżali samochodem z osobą, z którą mieszkają, która nie ma kontaktów mogących narażać na zakażenie koronawirusem – mówi prof. Stec.

O każdej wizycie w ośrodku onkologicznym decyduje dziś lekarz, dlatego

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

przed wizytą trzeba skontaktować się zdalnie z ośrodkiem. W przypadku wizyty kontrolnej, jeśli stan zdrowia pacjenta jest dobry, może ona zostać przesunięta lub zastąpiona poradą telefoniczną. W przypadku leczenia nowotworu wizyty nie da się zastąpić, jednak lekarze starają się zrobić wszystko, by pobyty w szpitalu były jak najrzadsze. – Jeśli pacjenci przyjmowali chemioterapię w szpitalu, to można niektóre schematy leczenia zamienić na takie, które mogą być podawane w warunkach domowych, dzięki tzw. infuzorom, albo na chemioterapię podawaną w tabletkach. W przypadku pacjentów leczonych w ramach programów lekowych mamy możliwość wydania chorym leków do domu na dwa, trzy miesiące. Dzięki temu można wydłużyć czas do następnej wizyty – dodaje prof. Stec.

Podobnie wyglądają procedury w Narodowym Instytucie Onkologii. W przypadku programów lekowych leki doustne wydajemy pacjentowi do domu na trzy miesiące i umawiamy się za miesiąc na telewizytę. Jeśli wszystko jest w porządku, to na kolejną umawiamy się znów za miesiąc. W przypadku immunoterapii, przy której leki podaje się dożylnie, pacjent musi przyjechać do szpitala. Jeśli to jednak jest możliwe i zgodne z zaleceniami, to staramy się podać wyższą dawkę leku i wydłużyć czas pomiędzy kolejnymi podaniami. W przypadku chemioterapii sposób leczenia indywidualizujemy w zależności od stanu chorego. Pacjenci do nas dzwonią, udzielamy informacji, co robić – opowiada prof. Dariusz Kowalski.

W szpitalach są wstrzymane wszelkie wizyty rodzin, również na wizytę pacjent wchodzi sam (poza sytuacjami, kiedy nie jest w stanie tego zrobić). Dla własnego bezpieczeństwa powinien mieć maseczkę (może być bawełniana) i jednorazowe rękawiczki, które trzeba wyrzucić po wyjściu ze szpitala. Ponieważ do zakażenia może dojść przez nieumiejętne zdejmowanie rękawiczek i maseczki, dobrze jest przećwiczyć to sobie przed przyjazdem do szpitala. Jeśli pacjent onkologiczny jest w trakcie kwarantanny, to powinien skontaktować się ze stacją sanitarno-epidemiologiczną. – Po siedmiu dniach kwarantanny powinien mieć wykonany test w kierunku zakażenia koronawirusem. Jeśli zakażenie jest wykluczone, to leczenie onkologiczne można kontynuować, jednak w przypadku potwierdzenia zakażenia każdą terapię onkologiczną należy przerwać do czasu wyzdrowienia, potwierdzonego co najmniej dwoma ujemnymi wynikami na obecność koronawirusa – przypomina prof. Stec.

Jeśli przebieg zakażenia COVID-19 jest lekki, to wówczas pacjent onkologiczny nie musi być leczony w szpitalu, musi być jednak objęty specjalnym nadzorem lekarskim i epidemiologicznym. Konieczny jest codzienny kontakt z lekarzem, a w sytuacji pogorszenia stanu zdrowia kontakt ze stacją sanitarno-epidemiologiczną i przewiezienie do szpitala.

KONIECZNE OPTYMALNE LECZENIE

Rak nie poczeka na zakończenie epidemii, a niestety obecnie praktycznie została wstrzymana profilaktyka onkologiczna, odwoływanych jest również wiele badań diagnostycznych. Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało, że do końca sierpnia 2020 r. nie będzie też zmian na listach refundacyjnych, co oznacza, że nie pojawią się nowe leki również dla chorych onkologicznie. Chociaż onkolodzy rozumieją sytuację, to żałują, że na kilka kolejnych miesięcy zostały wstrzymane.

– Choroba nie poczeka do września, a przecież nie wiemy, jak wtedy będzie wyglądała sytuacja i czy podejmowanie decyzji nie będzie nadal przekładane. A przecież są to opcje, które ratują życie chorych. Wszyscy rozumiemy nadzwyczajną sytuację, jednak trzeba się starać w miarę normalnie żyć i leczyć najlepiej, jak tylko potrafimy – mówi prof. Dariusz Kowalski.

Profesor leczy chorych na nowotwory płuca, którzy są dziś pacjentami bardzo wysokiego ryzyka – zarówno z powodu późnego wykrywania nowotworu, długiej diagnostyki (która w okresie epidemii jeszcze bardziej może się wydłużyć), jak i tego, że wirus SARS-CoV-2 atakuje przede wszystkim właśnie płuca. W tym nowotworze niezwykle ważna jest precyzyjna diagnostyka, bo wiele nowoczesnych terapii jest wręcz personalizowanych w zależności od mutacji genetycznych nowotworu. Jeśli tej diagnostyki nie będzie lub zostanie ona opóźniona (a laboratoria są przeciążone z powodu testów na koronawisusa), to wielu chorych straci szansę na optymalne leczenie. Jeszcze przed rozpoczęciem epidemii pacjenci z rakiem płuca wypatrywali nowych list refundacyjnych z nadzieją na nowe opcje leczenia. Jedną z nich jest zastosowanie przez rok immunoterapii po leczeniu radio- i chemioterapią (najlepiej równoczesnym) u chorych z miejscowo zawansowanym rakiem płuca – taka opcja nawet kilkakrotnie zwiększa szanse na całkowite wyleczenie. Inna opcja to zastosowanie już w pierwszej linii leczenia chorych z mutacją w genie EGFR ozymertynibu. Kolejne opcje to leki dla chorych z mutacją w genie BRAF, rearanżacją w genie NTRK, pierwsza immunoterapia w drobnokomórkowym raku płuca. – Chociaż rozumiem obecną trudną sytuację, to chciałbym, żeby procesy refundacyjne nadal się toczyły. Rozumiem, że z powodu obecnej sytuacji prace mogą ulec spowolnieniu, jednak dobrze, żeby trwały – mówi prof. Kowalski.

Na poprawę organizacji leczenia, diagnostyki i nowe opcje terapii czekają nie tylko chorzy na raka płuca, lecz także m.in. chorzy na raka nerki, jajnika, piersi, białaczki, chłoniaki. Ich choroby nie poczekają, aż minie COVID-19.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d662d706da

Z prof. Jadwigą Nessler, kardiologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Dla pacjentów to trudny czas

KATARZYNA PINKOSZ: Pacjenci kardiologiczni, zwłaszcza z niewydolnością serca, to pacjenci najwyższego poziomu ryzyka przebiegu infekcji COVID-19. Dlaczego?

PROF. JADWIGA NESSLER: Pacjenci z niewydolnością serca są bardziej podatni na zakażenie koronawirusem i na ciężki przebieg infekcji. Wynika to z obecności chorób współistniejących: nadciśnienia tętniczego, miażdżycy, cukrzycy, obturacyjnej choroby płuc, chorób nerek oraz starszego wieku, kiedy obserwujemy pogorszenie pracy układu odpornościowego. U chorych z niewydolnością serca jest większa podatność na wnikanie samego wirusa SARS-CoV-2 do komórek układu sercowo-naczyniowego, a to w związku z większą ekspresją enzymu konwertującego angiotensynę 2 (ACE2) w porównaniu ze zdrowymi osobami. Sprzyja to szybszemu namnażaniu się wirusa w organizmie, co prowadzi do zwiększonego ryzyka uszkodzenia serca, mózgu i innych narządów. Poza tym sam przebieg infekcji koronawirusem jest dużo gorszy, ponieważ serce już przed infekcją było uszkodzone. Na szczególne ryzyko są narażeni pacjenci z niewydolnością serca i ze współistniejącą niedokrwienną chorobą serca w związku z możliwością pęknięcia płytki miażdżycowej wtórnie do wywołanego przez infekcję wirusową zapalenia ogólnoustrojowego i zwiększonego ryzyka zakrzepowego.

Jeszcze przed epidemią koronawirusa niewydolność serca była główną przyczyną pobytu w szpitalu osób po 65. roku życia. Jeśli dodatkowo na stan serca nakłada się jakakolwiek infekcja, to jej przebieg może być bardzo powikłany.

Co dziś jest najważniejsze dla tych najbardziej zagrożonych pacjentów?

Bardzo ważne, żeby przyjmowali zalecone leki. W Internecie często pojawiają się informacje, że niektóre leki stosowane w niewydolności serca i w nadciśnieniu tętniczym, takie jak inhibitory ACE2 czy sartany, mogą ułatwiać wnikanie koronawirusa do organizmu. Nie są to potwierdzone informacje. Zarówno Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne, jak i Polskie Towarzystwo Kardiologiczne zalecają, by pacjenci nie odstawiali leków. Brak leczenia może powodować zaostrzenie niewydolności serca, konieczność pobytu w szpitalu, a w okresie epidemii każdy pobyt w szpitalu wiąże się z ryzykiem zakażenia.

Czyli zdecydowanie nie odstawiać zaleconych leków, mimo sprzecznych informacji w Internecie.

Tak, w Internecie pojawia się wiele nieprawdziwych informacji. Bardzo ważne jest również to, żeby pacjenci potrafili dziś sami „nadzorować" przebieg swojej choroby. Samoopieka, zwracanie uwagi na objawy są szczególnie ważne w czasie epidemii, kiedy dostęp do lekarza jest ograniczony. Trzeba monitorować trzy podstawowe parametry: wagę, częstość pracy serca i ciśnienie tętnicze. Jeśli pacjent zauważy, że jego waga w ciągu dwóch–trzech dni wzrosła o dwa–trzy kilogramy, to nie oznacza, że przytył, tylko że doszło do zatrzymania wody w organizmie – to jeden z objawów zaostrzenia niewydolności serca.

Na jakie jeszcze niepokojące objawy należałoby zwrócić uwagę?

Niepokojące jest pojawienie się duszności, zwłaszcza przy niedużych wysiłkach, konieczność spania (z powodu duszności) na kilku poduszkach, pojawienie się obrzęków nóg. Poza systematyczną kontrolą wagi ciała bardzo ważna jest częstość akcji serca, czyli mierzenie tętna. Jeśli choroba zaostrza się, to tętno rośnie. Pojawiają się też zmiany ciśnienia tętniczego: u niektórych osób spada ono, u niektórych rośnie. Jeśli pacjent będzie te parametry monitorować, to wówczas będzie wiedzieć, kiedy powinien skontaktować się z lekarzem. Telefoniczna porada może wystarczyć i nie będzie musiał jechać do lekarza. Na stronie

eprasa.pl d662d706da

FOT. ADOBE STOCK

Agnieszka Wołczenko, prezes stowarzyszenia EcoSerce:

COVID-19 najbardziej zagraża seniorom, osobom o obniżonej odporności, z chorobami współistniejącymi, takimi jak choroby serca i układu krążenia. Ta grupa osób nie ma siły na walkę z kolejną chorobą. Od wielu lat czekamy na zmiany w organizacji systemu opieki nad chorymi z niewydolnością serca, który w naszym kraju niestety znacząco odbiega od europejskich standardów. Z powodu niewydolności serca rocznie odnotowuje się w Polsce ok. 279 tys. hospitalizacji – zajmujemy pod tym względem niechlubne pierwsze miejsce w OECD. Każda hospitalizacja z powodu niewydolności serca to gorsze rokowanie dla chorego i coraz większe obciążenie opieką ze strony bliskich. Doskonałym rozwiązaniem dla pacjentów kardiologicznych, m.in. po ostrych incydentach wieńcowych, zawałach itd., byłaby możliwość korzystania ze zdalnego monitoringu – tzw. telemedycyny. Pacjenci czuliby się bezpiecznie, mając możliwość wysłania swojego EKG lekarzowi w przypadku pogorszenia samopoczucia i uzyskania natychmiastowej konsultacji specjalisty czuwającego w całodobowym centrum monitorowania. To szczególnie ważne dziś, kiedy z powodu epidemii może nastąpić problem braku dostępności zespołu ratunkowego, który musi dotrzeć do pacjenta i dopiero na miejscu wykonać i ocenić jego EKG.

www.slabeserce.pl pacjenci mogą dowiedzieć się, jakie są niepokojące objawy, jak postępować. W zakładce „Aktualności" pojawiła się też możliwość zadawania pytań – będziemy na nie odpowiadać.

Jeszcze przed rozpoczęciem epidemii wiele się mówiło o tym, że brakuje niektórych nowoczesnych leków dla chorych z niewydolnością serca. Czy w sytuacji epidemii, gdy tak ważne jest optymalne leczenie, by nie trafić do szpitala z powodu zaostrzenia choroby, pacjenci powinni mieć do nich dostęp?

W niewydolności serca są potrzebne innowacyjne terapie, ponieważ pomimo postępu, który dokonał się w leczeniu tej choroby w ostatnich kilkunastu latach, rokowanie pacjentów nadal jest bardzo złe. Wyniki pięcioletnich przeżyć są gorsze niż w przypadku większości nowotworów – wyjątkiem jest np. rak płuca. Nadzieją na przyszłość dla chorych z niewydolnością serca są dwie innowacyjne terapie. Pierwsza to lek sakubitryl/walsartan, druga to leki z grupy flozyn. Pacjenci powinni mieć do nich dostęp – o to środowisko medyczne zabiega od dłuższego czasu. Trudno jednak teraz, w czasie epidemii, inicjować terapie, które wymagają ścisłego monitorowania pacjenta. Lek sakubitryl/walsartan jest wspaniałym lekiem, który można zastosować u prawie wszystkich pacjentów z niewydolnością serca, jeśli mają wydolne nerki i ustabilizowane ciśnienie tętnicze. Decyzję musi jednak podjąć lekarz. Ten lek nie może być podawany z innymi lekami z grupy inhibitorów ACE i sartanów, trzeba je najpierw odstawić. Konieczne jest jednak bardzo dokładne monitorowanie w tym okresie ciśnienia tętniczego, pracy nerek. Czas epidemii nie jest dobrym okresem, by inicjować nowe terapie, jednak należy robić wszystko, by po ustąpieniu epidemii chorzy mieli do nich dostęp, gdyż wtedy ich stan będzie bardziej ustabilizowany.

A flozyny, które stały się przełomem dla chorych na cukrzycę?

To bardzo obiecująca grupa leków, które zapewne będą wkrótce zarejestrowane dla pacjentów z niewydolnością serca. Na razie są zarejestrowane u pacjentów z niewydolnością serca i cukrzycą, bardzo dobrze się sprawdzają. Wiele osób z niewydolnością serca ma cukrzycę – flozyny byłyby więc dla nich bardzo dobrą terapią. To bardzo wartościowe leki, a ich dodatkowym atutem jest to, że są bardzo bezpieczne, nie trzeba tak dokładnie monitorować stanu pacjenta, można je zacząć podawać nawet w takiej sytuacji, jaką mamy dziś.

Obecna sytuacja to trudny czas dla pacjentów z niewydolnością serca?

Niestety, tak. Ryzyko pogorszenia stanu ich zdrowia jest bardzo duże. Dlatego powinni oni unikać kontaktów z innymi osobami, także ze swoimi dziećmi, wnukami. U osób młodych infekcja koronawirusem może przebiegać łagodnie lub bezobjawowo, dlatego tak ważna jest izolacja chorego na niewydolność serca w domu, rezygnacja ze spotykania się z rodziną, z wizyt w przychodni, jeśli to nie jest konieczne. Jeśli konieczna jest wizyta u lekarza, to zawsze najpierw trzeba zatelefonować. Lekarz zaleci dalsze postępowanie.

Ważne jest dbanie o higienę, restrykcyjne przestrzeganie tego, żeby nie dotykać przedmiotów w miejscach ogólnie dostępnych. Pacjent z niewydolnością serca nie powinien wychodzić z domu w okresie epidemii, a jeśli wychodzi, to powinien mieć założoną maseczkę i rękawiczki. Jeśli musi wyjść po zakupy, to wtedy, gdy w sklepie jest najmniej osób, i musi pilnować, by była zachowana odległość co najmniej dwóch metrów. Ważne są stosowanie dotychczasowego leczenia, dobre odżywianie – dieta powinna być dobrze zbilansowana. Konieczne jest też wypijanie odpowiedniej ilości płynów – jeśli lekarz nie zaleci inaczej, to wówczas powinno to być ok. 1,5 litra, 2 litry dziennie. Codziennie trzeba się ważyć, sprawdzać tętno, ciśnienie. Ważne jest też codzienne wykonywanie ćwiczeń, gdyż wysiłek fizyczny jest bardzo potrzebny. Wiele możemy zrobić w domu, jeśli tylko lekarz podpowie, jak to zrobić i co wolno robić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jadwiga Nessler – jest kardiologiem, specjalistą chorób wewnętrznych, kierownikiem Kliniki Choroby Wieńcowej i Niewydolności Serca Collegium Medicum UJ, Krakowski Szpital Specjalistyczny im. Jana Pawła II.

eprasa.pl d662d706da

RYCERZE I WARCHOŁY

Burmistrz powietrzny Drewno

JACEK KOMUDA

Jak w dawnych czasach walczono z zarazami? Jeśli wybuchały w miastach, to mianowano tzw. burmistrza powietrznego, który przejmował całkowitą władzę. Jego rozkazy wykonywali rajcy, ksiądz i strażnicy powietrzni pilnujący porządku. W Warszawie w XVII w. nosili oni niebiesko-czerwone suknie z czarnym krzyżem na piersiach. Ich obowiązek polegał na izolacji domów, w których przebywali chorzy, czyli tak jak dziś – pilnowaniu kwarantanny, a także na zorganizowaniu dla zarażonych dostawy żywności. Strażnicy razem z burmistrzem pilnowali także wywożenia zwłok i grzebania zmarłych na specjalnym cmentarzu. Nadzorowali zatem tragarzy i kopaczy – przygotowujących coraz to nowe groby.

Takim właśnie burmistrzem powietrznym był Łukasz Drewno, który w latach 1624–1625 walczył z zarazą pustoszącą miasto rezydencjonalne królewskie, którym była wówczas Warszawa. Jak zwykle wiemy znacznie więcej o jego czynach niż o samym bohaterze. Zapewne wykształcony był w Akademii Krakowskiej, a do Starej Warszawy przybył w 1592 r., kiedy nabył tutaj aptekę. Kariera jego była dość typowa – nabywszy prawo miejskie, został ławnikiem w 1620 r., potem rajcą i wójtem. Dopiero kilka lat po epidemii został zwykłym burmistrzem. Był jednak znanym medykiem, dlatego obywatele miasta bez wahania powierzyli mu troskę o własne zdrowie.

Jakie działania podejmował Drewno, aby zapobiec epidemii czarnej śmierci, czyli dżumy, która od XIV w. nawracała co jakiś czas, budząc przerażenie? Przede wszystkim zajął się izolowaniem chorych. Dokończono budowy umocnień zygmuntowskich, których wznoszenie zaczęto jeszcze w 1620 r., spodziewając się najazdu tureckiego po klęsce pod Cecorą. Powołano wspomnianych wcześniej strażników powietrznych i grabarzy. Dodatkowo przyjęto na służbę tzw. wyganiaczy, czyli strażników wypędzających z miasta potencjalnych roznosicieli czarnej śmierci, za których w tamtych czasach uznawano żebraków, nierządnice i ludzi luźnych, niemających miejskiego obywatelstwa.

Łukasz Drewno zorganizował też ścisłą kwarantannę. W pierwszej kolejności izolowano domy, w których pojawiła się zaraza – zamykano je pod strażą, zabijano okna deskami, oznaczano krzyżem

FOT. WIKIPEDIA

i pilnowano. Wyznaczeni dziesiętnicy straży powietrznej dokonywali spisów ludności, prowadząc uzupełniany na bieżąco rejestr zgonów i zachorowań. Gospodarzowi, który nie zawiadomiłby straży o zmarłych w swoim domu, groziła kara gardła. Jednocześnie miasto żywiło ludzi przebywających w zamkniętych domostwach. Zachowały się akta z początku XVII w., a więc z wcześniejszych epidemii, w których są charakterystyczne zapiski: „Niewieście podejrzanej począwszy a die 18 septembris na strawę po 3 grosze na dzień dawano". Strażom, które pilnowały niejakiego Bronowskiego, zapłacono cztery floreny i 15 groszy. Ciekawe, że znalazła się tam także pozycja świadcząca o ludzkim podejściu naszych przodków, a więc „temuż Bronowskiemu na piwo przez ten czas" wydano całe 6 groszy. „P. Szturmanowi, kiedy nie wychodził, panowie kazali dać na strawę florenów 2 przez ręce Jankowe i za beczkę wareckiego piwa, dałem florenów 2 groszy 12".

Łukasz Drewno być może jako pierwszy stworzył osobne punkty izolacji – obozy i baraki, w których przetrzymywano zarażonych. Na Kępie Pólkowskiej, już poza murami miasta, zbudowano obóz, do którego wywożono chorych. Można się domyślać, że tych, którzy nie posiadali własnych domów.

Co robiono z tymi, którzy nie chcieli zachować kwarantanny i wychodzili z zapowietrzonych, oznaczonych krzyżem domów? Cóż, była za to kara śmierci. Jak podaje Jerzy Lileyko w „Życiu codziennym w Warszawie za Wazów", w aktach zachował się ciekawy zapis z 1620 r. Otóż: „posłał Pan Burmistrz do Pragi prochu funtów 2, a prażanom 4 funty dla strzelania zapowietrzonych".

Leczenie było mało skuteczne. Sam Łukasz Drewno, jako aptekarz, przyrządzał medykamenty, których tysiące wydawał potrzebującym. Jednak zaraza dotknęła nawet bogaty patrycjat miasta. W obrębie Starej Warszawy umarło ok. 2,5 tys. ludzi, a pamiętajmy, że Nowa Warszawa i Praga były odrębnymi miastami, które walczyły z czarną śmiercią na własną rękę. Zmarł zresztą burmistrz Starej Warszawy Jan Korb, umarł też burmistrz Nowej – Jan Bucefał, a także możny kupiec Michał Fukier. Sam Drewno stracił córkę, zięcia i kilkoro wnucząt.

Burmistrz powietrzny dwoił się i troił, aby uratować mieszkańców miasta przed czarną śmiercią, i słusznie ma dziś swoją ulicę w Wilanowie. Niestety, jego poświęcenie nie uchroniło miasta przed kolejnymi nawrotami zarazy – zarówno dżumy, jak i czarnej ospy. Największa epidemia dżumy nawiedziła Warszawę w 1652 r. ©℗

eprasa.pl d662d706da

MARZENIA TRZEBA SPEŁNIAĆ

Uczestnicząc w programie „MasterChef", od początku walczyłem o spełnienie marzenia o otwarciu własnej restauracji. Cieszyłem się, gdy zostałem w niewielkim gronie kucharzy, którzy wyjechali gotować do Meksyku. Dlatego trudno było mi podjąć decyzję o rezygnacji z udziału w programie z powodów zdrowotnych. Po powrocie do Polski miałem ogromne wsparcie w rodzinie, a także w wielu obcych ludziach, którzy mnie dopingowali, abym swoje marzenie jednak zrealizował. I to się teraz dzieje! W Centrum Kultury Alternatywnej w Środzie Śląskiej powstaje moja restauracja i choć tym razem na drodze staje mi pandemia koronawirusa, to mam nadzieję, że i tę przeszkodę pokonam. Chciałbym jak najszybciej uruchomić kuchnię na wynos ze specjalnymi cenami z dowozem dla seniorów. Czytelnikom „Do Rzeczy" polecam przepis na konfitowaną nogę z kaczki z purée z dyni piżmowej.

Składniki:

• 3 uda kaczki • 1,5 l oleju • 6 gałązek rozmarynu • 4 ząbki czosnku • 2 łyżki soli himalajskiej

• 1 dynia piżmowa • 8 łyżek oliwy • 1/4 łyżeczki soli himalajskiej • 1/4 łyżeczki młotkowanego pieprzu • 100 ml śmietany kremówki 36-procentowej • 1/4 kostki masła • skórka otarta z połowy pomarańczy

• 200 g boczniaków • 1/2 kostki masła • 5 rzodkiewek, oliwa, szczypiorek, ocet • sól, pieprz do smaku

Przygotowanie:

Uda kaczki umyć i oczyścić z piór, natrzeć solą himalajską, obłożyć gałązkami świeżego rozmarynu i wstawić do lodówki na 12 godzin. Po tym czasie oczyścić mięso z soli za pomocą ręcznika papierowego. Przełożyć do naczynia żaroodpornego, zalać olejem, dodać rozmaryn z marynowania oraz rozgniecione ząbki czosnku. Rozgrzać piekarnik do 120 st. C i konfitować ok. 3 godz. Po tym czasie wyjąć uda z oleju, wyłożyć na blachę, piekarnik ustawić na 200 st. C z funkcją grilla i włożyć mięso na 20 min do zarumienienia skórki. Dynię piżmową pokroić na cztery części, usunąć gniazda nasienne, polać oliwą, oprószyć solą i pieprzem, włożyć do piekarnika nagrzanego do 180 st. C i piec ok. 40–45 min. Dynię wyjąć z piekarnika, przestudzić, obrać ze skórki, zblendować ze śmietanką i skórką otartą z połowy pomarańczy, przetrzeć przez sito, przełożyć do rondelka, podgrzać z dodatkiem ćwiartki schłodzonego masła. Na patelni rozpuścić masło, wrzucić boczniaki i smażyć na dużym ogniu ok. 2 min z każdej strony, dolać odrobinę wody i dusić ok. 15 min. Rzodkiewki pociąć na cienkie plastry, szczypiorek posiekać, wymieszać z oliwą i octem, doprawić solą i pieprzem. Ja dodaję jeszcze odrobinę magi w płynie. Na talerz wykładać purée z dyni, przyozdobić sałatką z rzodkiewki, włożyć nogę z kaczki i maślane boczniaki. Smacznego! ©℗

FOT. ARCHIWUM MARIUSZA KOMENDY

oprac. raw
Mariusz Komenda uczestniczył w 8. edycji programu „MasterChef".

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Abonent (niestety) dostępny

Nie dzwoń do nikogo przed wpół do dziesiątej rano – mówiła moja mama. W niedzielę telefon tylko do bliskiej rodziny, przyjaciół, nigdy w innych sprawach – mówi się w krakowskich rodzinach. Do naszego wuja nie wolno było dzwonić w czasie wiadomości tv.

Takie kodeksy obowiązywały w czasach, kiedy telefon był z ebonitu, miał sznurek i stał na szafce. Dzisiaj, kiedy ma się go w kieszeni, to już nie działa. Dzisiaj dzwoni się w systemie 24/7.

Z samochodu, z tramwaju, ze spaceru, z wyciągu narciarskiego, znad gotującego się obiadu. Gdy telefonuje mój syn, zawsze w tle słyszę szczękanie naczyń i szum wody – wiem, że zmywa. Rowerzyści toczą rozmowy zagłębieni w swoich kaskach. Kiedy panie w bmw jadą przepisowe 50 km/h, wiem, że trzymają w łapie słuchawkę. Jak skończą, znowu pojadą 120. Zawsze dziwi mnie, jak owinięci słuchawkami mówią do mikrofonu wiszącego im na szyi, bo wygląda to tak, jakby mówili do siebie.

O ile dzwoniący wybierają stosowny dla nich moment, o tyle odbierający są w trudnej sytuacji. Trafia ich wszędzie. Stoją w kolejce do kasy, do lekarza, w kinie (w czasach przedzarazowych), oglądają film w domu. Dobrze, jeśli na Netfliksie, bo można zatrzymać, gorzej, kiedy w zwykłej tv. Właściwie niewielu telefonujących pyta, czy w danej chwili można rozmawiać. Najczęściej od razu zaczynają swoją gadkę i dobrze, jeśli nastąpi w niej sekunda przerwy, żeby rozmówca mógł powiedzieć, że teraz nie może. Czasem słyszę męża odbierającego telefon od nieznanego numeru, w którym cały czas mówi tylko osoba z drugiej strony. On słucha i milczy. Wtedy wiem, że dzwoni miła dziewczyna z propozycją usług medycznych (zawsze darmowych). Jednak i on czasem się wkurzy i przerwie, jeśli monolog trwa już za długo. Dziękuję pani, ale nie skorzystam z (darmowego) badania, oferty kupna kołder itp.

Joanna Szczepkowska opowiadała, że w czasach wczesnokomórkowych na widowni w czasie spektaklu zadzwonił telefon. Odebrała jakaś pani, spokojnie powiedziała: „Jestem w teatrze", po czym kontynuowała rozmowę. Istnieje także gatunek gadaczy, których żadna odmowa nie zraża. Choćbyś powiedział, że leżysz na stole operacyjnym i chirurg właśnie zamierza się na ciebie ze skalpelem, choćbyś szedł w kondukcie pogrzebowym najbliższego przyjaciela (nie daj Bóg), oni zawsze mają ważne rzeczy do powiedzenia. Nie odstraszy ich: „Przepraszam, ale teraz nie mogę rozmawiać". Prą dalej. Tylko brak zasięgu może nas uratować. ©℗

eprasa.pl d662d706da

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zostań z nami, dobry Leninie

JOANNA SIEDLECKA

W socrealizm umoczyła się także większość pisarzy, a raczej pisarek dla dzieci i młodzieży, bo była to głównie ich działka. Wyjątkowo paskudną propagandę uprawiała gorliwie Lucyna Krzemieniecka, do dziś patronka wielu przedszkoli. Przemilczany przez większość źródeł socrealistyczny rozdział jej „twórczości" brzmi obecnie nie tyle śmiesznie, ile komicznie w swojej obrzydliwości. Wtedy jednak był naprawdę groźny.

Krzemieniecka urodziła się w 1907 r. w Warszawie jako Wiera Zeidenberg, córka zamożnych dentystów. Studiowała romanistykę i polonistykę, związała się luźno i raczej towarzysko z lewicującą grupą poetycką Kwadryga, gdzie poznała swego przyszłego męża, poetę Andrzeja Wolicę. To dla niego przeszła na katolicyzm, zmieniła imię i nazwisko. Małżeństwo szybko się jednak rozpadło, ona natomiast – od razu z wielkim powodzeniem – zaczęła pisać dla dzieci. Jej bestsellerem, wznawianym wielokrotnie także po wojnie, były „Przygody krasnala Hałabały", a także „Cztery bajdy ciotki Adelajdy", „Jak się rzep do psiego ogona przyczepił". W „Słonku" i „Płomyczku" pisywała też wiersze, m.in. o marszałku Piłsudskim.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Udało się jej przetrwać okupację pod Warszawą. Po wojnie poznała swoją nową miłość – sowieckiego oficera stacjonującego w Polsce (którą w końcu opuścił i wrócił do Moskwy). Szaleńczo się w nim zakochała, ale bez wzajemności. I to podobno dla niego, licząc, że wróci, stała się gorliwą komunistką. W „Świerszczyku" nr 4/1951 pisała o dzieciństwie twórcy Czeka, Feliksie Dzierżyńskim: „Gdzie w Puszczy Nalibockiej / ściana stoi ciemna / gdzie płynie rzeka Usa / modry dopływ Niemna / był dom / W nim rósł Dzierżyński / bawił się, weselił. / Tam matka pieszczotliwie nazywała go Feliś / Tam gdzie sosna stuletnia / w obłoki wpatrzona / gdzie pośród sióstr gromadki / najmilsza Aldona / gdzie jesienią na ganku / schnąc grzyby pachniały, tam biegał, tam dzieciństwo spędzał / Feliś mały".

W 1951 r. wydała w Naszej Księgarni wierszowany poemat „O wielkim Stalinie", w 50 tys. egzemplarzy, kilkakrotnie wznawiany. Każdy rozdział opowiadał o kolejnym etapie życia małego Soso, potem Koby, niemal świętego, który niczym Chrystus w świątyni już jako chłopak nauczał starszych i zawsze kochał Polskę. „Ojciec Soso-Dżugaszwili, w fabryce buty robi. Pracuje dla pana, / Matka praniem u ludzi się trudzi / Biedę z domu odgania, jak może, / Synek Soso zawsze czysto i schludnie jest ubrany / Soso lekcje umie zawsze, / Soso czyta, bo jest w nim głód wiedzy / Przy zabawie broni zawsze dzieci słabsze, / Co przeczyta, świetnie zapamięta / co przemyśli, świetnie opowie, / I dorośli słuchają go chętnie / Na gawędy proszą staruszkowie".

Szefowa Naszej Księgarni, Ewa Borejszyna, wdowa po Jerzym Borejszy, nosiła Krzemieniecką na rękach, ale taki skarb chciała też mieć w swojej stajni druga ówczesna nadzorczyni literatury dla milusińskich – Tetka Wichowa z Czytelnika, żona ministra bezpieczeństwa. Podkupiła więc Krzemieniecką, która u niej wydała w 1952 r. wysoko cenionego dziś w antykwariatach „Lenina wśród dzieci" – o wizycie ukochanego wodza w dziecięcej świetlicy w Sokolnikach pod Moskwą. Przyjechał tam na święto Choinki (a nie Bożego Narodzenia) z koszem darów dla Katii, Wiery oraz Sieni i bawił się z nimi w ciuciubabkę. Wyglądał jak dobry dziadek: „Bródka w klin, twarz pogodna i mądra / Wesołymi oczami spogląda / Dzieci stoją gromadką nieśmiało / powitanie gdzieś się zapodziało, / Patrzą tylko wzruszone na gościa, / A gość? / Tyle ma w oczach miłości / I powiada, chcąc ośmielić wszystkie / Kto się umie bawić w kotka i myszkę? / Wśród zabawy srebrny głosik płynie: / Zostań z nami, kochany Leninie".

W 1952 r., tym razem w MON, wydała zbiór wierszy „Witaj, bracie żołnierzu", który miał uczyć dzieci sympatii do polsko-radzieckiej drużby, sojuszniczej Armii Czerwonej – wyzwolicielki: „Niech każde dziecko dobrze zna / historię swego kraju / Skąd wolność do nas szła / niech dzieci pamiętają". Zachęcała też najmłodszych, by zostały małymi janczarami, uczniami wojskowych szkół kadetów: „Kadetem jest Jaś i Sławek / kadetem jestem ja / Do szkoły naszej w Warszawie / jednego przyszliśmy dnia".

Za wybitną twórczość dla dzieci otrzymała w 1950 r. Nagrodę Literacką m.st. Warszawy, w 1952 r. Nagrodę Prezesa Rady Ministrów, pośmiertnie – Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. W 1955 r., gdy nastała odwilż, zmarła nagle i niespodziewanie w wieku 48 lat. Żartowano okrutnie, że to ze wstydu za to, co pisała. ©℗

eprasa.pl d662d706da

Świecka Madonna

fot. Jerzy Gumowski

Mija w bieżącym roku równo 500 lat od narodzin Jeana Fouqueta, pierwszego wielkiego/głośnego malarza Francuzów (Jean Leymarie: *„Fouquet to prawdziwy założyciel narodowego francuskiego malarstwa”*, 1951). Przywołuję tę okrągłą rocznicę felietonem równocześnie z funeralną rocznicą Rafaelowską (patrz mój esej wewnątrz numeru) nie bez przyczyny, o ile bowiem Rafael wymalował Madonnę *„najbardziej niebiańską”* (jak pisano) — o tyle Fouquet ukazał Madonnę *„najbardziej ziemską”* vel *„najbardziej świecką”* (jak pisano), a co śmielsi odważali się diagnozować: *„najbardziej erotyczną”*. W obu przypadkach modelkami były sławne metresy — Fouquetowi pozowała kochanka Karola VII Agnieszka Sorel, nieodmawiająca też swych wdzięków królewskiemu skarbnikowi, Stefanowi Chevalierowi, potentatowi finansowemu państwa.

Francuscy historycy, którzy piszą zazwyczaj cierpko o faworytach francuskich królów — o Agnès Sorel wyrażają się ciepło. Miała być nie tylko piękna, lecz i świetnie wykształcona oraz szlachetna. Na gnuśnego i podłego monarchę wywierała pono zbawienny wpływ, mobilizując go do rzadkich energicznych działań i równie rzadkich przyzwoitych czynów. Urodziła mu trzy córki, a on jej dał trzy zamki, m. in. zamek Beauté nad Marną, stąd zwano ją Dame de Beauté (jest to gra słów, gdyż znaczy nie tylko: Pani na Beauté, ale i: Pani Piękności, Piękna Pani; zwano ją także: *„La bella”*). Delfin, późniejszy Ludwik XI, zazdrosny o jej wpływy u dworu i wściekły, że jej rola upokarza królową–matkę, spoliczkował faworytę publicznie w Chinon, rzuciła więc dwór (1442) i osiadła w swym zamku Loches, separując się na kilka lat od monarchy. Właśnie wtedy do jej łoża wkroczył oligarcha Chevalier. A kiedy zmarła (1450; mówiono, że otruł ją Ludwik), Chevalier wezwał mistrza Fouqueta, zlecając mu malowanie dyptyku religijnego z jej Maryjnym portretem jako rodzajem miłosnego hołdu (o czym świadczy chociażby fakt, że pierwotnie dyptyk miał ramę obitą cennym aksamitem i zdobioną imiennym inicjałem Chevaliera plus haftowanymi pętelkami, które zwano *„sidłami miłości”* — *„lacs d’amour”*).

Panna Sorel grająca Madonnę trzymającą nagie Dzieciątko budzi od setek lat zdumienie jednych i wkurzenie drugich, tych silniej dewocyjnych, przyzwyczajonych do mistycznego uduchowienia Madonn Gotyku i transcendentalnej słodyczy Madonn Renesansu czy Baroku. Patrząc na nią zaznają — w najlepszym razie — *„mieszanych uczuć”*. Ta zmysłowa, dekoracyjna, niemacierzyńska, oschła wobec Dzieciątka Jezus, zimna kobieta — to ma być Rodzicielka Boża? Ta wyzywająca kurtyzana z królewskim płaszczem gronostajowym, z królewską koroną nad modnie (wysoko) podgolonym czołem, z uwodzicielsko rozpiętym stanikiem, z wyszminkowanymi wargami i gołą piersią wypiętą brawurowo, wręcz prowokacyjnie — to Matka Zbawiciela? Wolne żarty! Obnażyła pierś lewą, a w tradycji chrześcijańskiej strona lewa to strona diabła, aczkolwiek Fouquetowi być może chodziło też o to, że w pogańskim Antyku lewa strona stanowi pierwiastek żeński. Znane są opowieści o chrześcijańskich świętych, którzy jako niemowlęta odpychali ze wstrętem lewą pierś matczyną, przysysając się tylko do piersi prawej. Równie erotycznie mógł Fouquet obnażyć pierś prawą lub cały biust — czemu wybrał lewą? Itd., itp. Tego rodzaju zarzuty trudno zbijać, Fouquet bowiem istotnie z całą bezczelnością zaprezentował samicę biologiczną, nieprzyzwoicie udrapowaną, jako Madonnę — wyczarował pędzlem Dziewicę Marię służącą erotycznemu podnieceniu miast modlitewnemu skupieniu. U Rafaela kochanka artysty dała swoją twarz Madonnie, zaś u Fouqueta kochanka donatora i monarchy udaje Matkę Boską. Owszem, Madonna służyła już w historii do gorszych rzeczy, i służy wciąż — członkowie wielu zbrodniczych gangów (od Cosa Nostry i Camorry, po dzisiejsze kartele narkotykowe) biorą Ją za swą patronkę i używają Jej wizerunku podczas ceremonialnych przysiąg nowych członków, ale to nie rozgrzesza Fouqueta. Alibi daje mu raczej — zwłaszcza w oczach historyków sztuki i koneserów — świetny późnogotycki warsztat tej temperowo–olejowej *„deski”*, zwanej obecnie **„Madonną Antwerpską”**, gdyż wisi wewnątrz antwerpskiego Królewskiego Muzeum (Koninklijk Museum voor Schone Kunsten).

Wisi poza Francją, co nie zmienia faktu, że Francuzi uważają tę Madonnę za najbardziej francuską ze wszystkich, i całkowicie lekceważą Jej formalną religijność. Dla nich to świecki symbol bezwstydno–niewinnego wdzięku kobiet wszystkich ras i czasów, lecz tylko kiedy oceniają generalnie, natomiast lokalnie/patriotycznie odbierają ten symbol jako *„idealny model Francuzki”*, *„najbardziej francuską z Francuzek”*, *„pierwszą Mariannę”*, etc. Historiografia sztuki nigdy nie zamierzała się z nimi spierać, już na początku XX wieku niemiecki spec Richard Muther pisał: *„Dzieło to owiewa dojmująca woń paryskich perfum”*, a parę dekad później holenderski spec Johan Huizinga przezwał Fouquetowską Madonnę *„modną francuską laleczką”*.

U Francuzów obraz nosi również „ksywkę” *„Trójkolorowa Madonna”* (*„Vierge tricolore”*), nawiązującą do barw narodowych dzięki trójkolorowej chromatyce dzieła (jeśli za biel przyjmie się typowo średniowieczne, szarawo–żółtawe *„grisaille”*). Chromatyczna harmonia tych trzech głównych barw stanowi (obok pysznej kompozycji i „architektury” figur) urzekający walor malowidła. *„Grisaille”* to serweta (lub prześcieradło), zewnętrzna strona gronostajowego płaszcza i karnacja skóry Dzieciątka oraz Madonny–Agnieszki. Natomiast czerwone i niebieskie są anioły. Podobne anioły dnia (czerwone) i anioły nocy (niebieskie) znamy z wcześniejszych miniatur franko–flamandzkich i z twórczości innych ówczesnych mistrzów, ale nikt poza Fouquetem nie splótł ich tak genialnie, że sprawiają wrażenie rytmicznej tapiserii jako tła dekoracyjnego dla figur. To bajeczne tło z cherubinków pąsowych niby róże i ciemnobłękitnych niby smutek lub nostalgia — nadaje obrazowi charakter surrealistyczny i czyni Agnieszkę istotą ponadczasową. Nie ponadczasową Madonną — ponadczasową Kobietą, czyli taką, dla której erotyczne profanum zawsze będzie ważniejsze aniżeli biblijne sacrum.

Wszystkim Czytelnikom, których mogłoby oburzać sprofanowanie przez Fouqueta Matki Bożej zeświecczeniem paraerotycznym, przypominam, że jego daleki od bluźnierstwa „wyskok” to *„pryszcz”* vel *„pestka”* w porównaniu z tym co robili Moderniści kilka wieków później (vide **„Madonna z plemnikami”** Edvarda Muncha, 1902), a jeszcze później choćby animatorzy kultury masowej, filmowcy (exemplum **„Upadła Madonna z wielkim cycem”**, groteskowy bohomaz stanowiący rekwizyt serialu **„’Allo ’Allo!”**), czy wreszcie dzisiejsi porąbani harcownicy LGBTQ, którzy publicznie waginalizują/penisują/tęczują Matkę Bożą. Niech ich piekło pokłonie! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl d662d706da

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER: PPL Porty Lotnicze

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy

eprasa.pl d662d706da